Szan. Red. „Czasu" od Autora

277

MICHAŁ ORŁOWICZ

Majówka

Wspomnienia z ławy studenckiej.

PRZEMYŚL.
Z drukarni Mikołaja Dżułyńskiego
1900.

MAJÓWKA.

Wspomnienia z ławy studenckiej

NAPISAŁ

MICHAŁ ORŁOWICZ.



PRZEMYŚL.
Z drukarni M. Dżułyńskiego.
1900.

PRZYGOTOWANIE.

Czy święto dziś, że wszystka młodzież
Ubiera się w świąteczną odzież?
Czy dziś nadeszła straszna pora
Oględzin pana Inspektora,
Że z taką miną tajemniczą
Guziki u ubrania liczą?
Czy mają witać Dygnitarza,
Czy Namiestnika lub Cesarza,
Że wystrojeni i opięci
Wystąpić myślą dziś studenci?
Czy...? — Ale nie! — Nie do kościoła
Tak dziś się stroi cała szkoła,
By tu w pokornej cichej skrusze
Polecić Bogu młode dusze,
Poprosić Go o wszystkie cnoty,
A przytem — o zegarek złoty, —
By Duch Najświętszy ich oświecił
I miłość prawdy w sercu wzniecił,
Dał pamięć bystrą, wolę silną,
Pojętny rozum, głowę pilną,
By wreszcie wszystkie szkolne troski
Gorąco zlecić Matce Boskiej,
I ofiarując trzy pacierze
Poprosić Ją w najgłębszej wierze,
„By nauczyciel dziś nie pytał,
Lecz sam tradował, albo czytał,
Bo jak mnie zechce capnąć z greki,
Przepadłem już na wieków wieki!"

Nie do kościoła dzisiaj młodzież
Ubiera się w świąteczną odzież,
Bo dziś nie święto: odgłos dzwonu
Nie wzywa dziś przed stopnie Tronu
Pobożnej trzodki wiernych owiec
Uboga wdowa, nędzny wdowiec,
Ułomni starce, i sieroty,
I matki! — obraz wszelkiej cnoty, —
Co tłumnie spieszą do kościoła.
Jak tylko wielki dzwon zawoła,
Ci wszyscy w niesprzątniętej chacie
W powszedniej dziś pracują szacie,
A młódź się stroi, czyści, myje,
Obciera ręce, twarze, szyje,
Zagarnia włosy, tnie paznokcie,
Przetarte w sukniach zszywa łokcie,
Przeczyszcza suknie, kamizelki,
Krawatki ściąga, pręży szelki,
Koszule czyste i chusteczki
Dobywa z kufra lub torbeczki
I jeszcze tylko dwie minuty,
Niech wyglancuje sobie buty,
A wnet zakończy ubieranie,
Nie tak, — jak nasze modne panie,
Co przy strojeniu pięknych główek
Z pięć zatrudniają pokojówek,
A choć się wszystkie strasznie spieszą,
Aż trzy godziny włosy czeszą, —
Bo student sług nie potrzebuje
I wcale braku ich nie czuje,
Bo student nic nie puszcza w najem,
Sam sobie panem, sam lokajem,
Sam ekonomem, sam pisarzem,
A nawet krawcem i kucharzem,
Więc sam się zbiera, czyści buty,
Wydaje obiad, — zrazu suty,
Bo cóż to przecież komu szkodzi,
Że w końcu trochę się przegłodzi,
Gdy tak wymiecie swe spiżarnie,
Iż nic a nic nie pójdzie marnie?
Zdobyta w osobistej biedzie
Nauka nigdy w las nie idzie,
A jak dokładnie później liczy,
Gdy głód cokolwiek go przećwiczy! —
Niekiedy sam naprawia spodnie,
A choć nie gładko, choć nie modnie,
Ha! kiedy go na krawca niestać,

To musi i na tem poprzestać,
A szydzić z niego się nie godzi. —

Choć student bez sług się obchodzi,
Nie zbiera się i pół godziny,
A i to — nigdy bez przyczyny,
Niejeden jeszcze w łóżku leży,
Gdy zegar na pobliskiej wieży
Na ośmą bije trzy kwadranse,
I wstać, czy nie? oblicza szanse:
Za tak! — przemawia rozum, głowa,
Nauka, lekcja nie gotowa, —
Do nie! — nakłania zaś leniuszek
I ciśnie głowę do poduszek,
I na swą stronę chyli szalkę,
I — już zwycięzko kończy walkę...
Za — wstać, nareszcie mus rozstrzyga,
A choć się jeszcze leniuch wzdryga,
Już student nań się nie ogląda,
Odrzuca kołdrę, wody żąda,
Zaciąga spodnie, wzuwa bucik,
Już kamizelkę, już surducik,
I umyć się piorunem skoczy
Bodajby tylko ręce, oczy,
I czapkę włożył już na głowę,
Pod pachę wsunął ksiąg połowę,
Dopiero w drodze je śniadanie
I pędzi, — ile sił mu stanie,
Lecz — punkt o ósmej jest już w klasie. —
Co prawda, poznał po niewczasie,
Że jeszcze nie uczesał głowy,
Że nie wziął książek i połowy,
Że butów też nie wypucował,
Bo już naganę w kieszeń schował.

Lecz dziś nie czeka ich nagana,
Bo dzisiaj wszyscy wstali z rana
I włosy wyczesali ładnie,
I wystroili się — paradnie!
Czy pan Inspektor dziś się zjawił
I taką pilność w uczniach sprawił?
Ej!... Gdyby o nim student wiedział,
Z pewnością by nad książką siedział,
Bo pan Inspektor taki groźny,
Że wiatr po szpiku ciągnie mroźny,
Gdy kogo zmierzy strasznym wzrokiem,
Lub idąc chyłkiem abo bokiem

Nastrzępi wąsy, brwi, powieki,
I „Tłumacz mi ten ustęp z greki!“
Zawoła przejmującem głosem,
Lub jeśli psim prawdziwie nosem
Wytropi taki kraj na mapie,
Że choćby nie chciał, przecież złapie!
Ot, raz Inspektor w złą godzinę
Pokazać kazał kraj — Krainę!
A student omal nie osłupiał!
Bo albo pan Inspektor zgłupiał
I nie wie, że od kraj — kraina
Pochodzi, jak od kot — kocina,
Lub wypił kilka szklanic piwa...
A wtem przychodzi myśl szczęśliwa,
Odchrząknął, potarł swą czuprynę
I pokazuje — Ukrainę.
„Krainę wskaż!“ Inspektor woła
I bystro wodzi wzrok dokoła,
Nie Ukrainę głuchy żaku!“
A w klasie jakby posiał maku,
Bo ledwie szepło jakieś licho,
A już Inspektor groźnem „Cicho!“
Jak suchym gromem pierś uderzył
I występnego błyskiem zmierzył.
Każdemu z strachu twarz pobladła
I czarna troska na nos wsiadła,
Bo czyż to nie wyraźne drwiny,
Że każe szukać mu krainy
Na mapie, gdy jej pełno wszędzie!
Oj! co to będzie, co to będzie?
„Źle!“ myśli sobie zagadnięty,
„Już wszystek humor pcha się w pięty!
Utkwiłem w mapę wzrok jak w tęczę,
Napróżno jednak głowę męczę...
Przeszedłem wszystkie już przypadki,
Lecz nie rozwiążę tej zagadki...
I któż mi dzisiaj dopomoże?
Nikt, chyba Ty Wszechmocny Boże!
Straciłem wszelką już otuchę,
Bo w klasie słychać nawet muchę,
Tak wszystkim oddech krtań zatkała...
Ach, jakaż ze mnie ośla pała!“
Pomyślał w duchu już wesoło
I dłonią klasnął tępe czoło:
„Tu austryjacka jest Kraina!“
A w klasie już weselsza mina:
Minęła burza, błyskawice,

Jaśniejsze klasa ma już lice
I żywsze pokozuje oko,
Gdy — cha! — odetchła pierś głęboko,
To jedno — cha! — jej pierś ulżyło
I czarną troskę z nosa zmyło,
To jedno — cha! — zamarłe oczy
Po jamie ocznej żywiej toczy,
To jedno — cha! — by kraśnym wieńcem
Otacza zbladłą twarz rumieńcem,
To jedno — cha! — pokrzepia ducha,
Przemienia nawet tchórza w zucha,
Bo pan Inspektor z klasy wyszedł
Bodajby więcej już nie przyszedł!
I cóż się dziwić dziatwie żywej,
Niedoświadczonej i wrażliwej,
Że skoro pan Inspektor wejdzie,
Każdemu dreszcz po skórze przejdzie
I język kołkiem stanie w gębie?
Lub, że trwożliwa jak gołębie
Jastrzębia widzi w Inspektorze,
Co samym wzrokiem zabić może?
Że bardzo im się często zdarza,
Iż lada głupstwo ich zatrważa
I zaraz jakby błędne owce
Na oślep pędzą przez manowce
I czują w ciele zęby wilka,
Gdy ich zadraśnie choćby szpilka?
I cóż się dziwić dziatwie żywej,
Niedoświadczonej i wrażliwej,
Gdy nawet pana Profesora
Zatrważa widok Inspektora!
Więc gdyby o nim student wiedział,
Z pewnością by nad książką siedział,
I kuł a kuł by bez przestanku,

Lecz dzisiejszego im poranku
Nauka, książka, ani w głowie!
Dziś z Inspektora kpią uczniowie
I porównują z Hannibalem,
Co — z bardzo wielkim uczniów żalem —
Za mało Rzymian skropił jeszcze,
Bo gdyby w trąby był złowieszcze
Uderzyć kazał tuż nad Rzymem,
To byłby samym strachu dymem
Wydusił wszystkich co do nogi
Bez głodu, mordu i pożogi,
A tak — napędził tylko Piotra,

I za to Rzym go jakby łotra
Tak długo ścigał, prześladował,
Aż biedak się — w podziemia schował
Żartuje więc przemyska młodzież
W świąteczną dziś się strojąc odzież,
A o książeczkę ani spyta:
Więc dziś nie czeka ich wizyta
Groźnego pana Inspektora.
Do książki młodzież dziś nie skora,
Przeciwnie — na bok rzuca książki,
A do rąk bierze jasne wstążki.
Zielone liście, wonne kwiatki,
Narcyze białe, barwne bratki,
Bukiety składa, tnie kokardy,
A jaki każdy butny, hardy!
Jak gdyby siadł na wzniosłym tronie
W królewskich szatach i w koronie,
I z berłem w ręku zbierał hołdy,
Rozdawał łaski, sypał żołdy...
Czy dziś którego Dostojnika
Ministra albo Namiestnika
Powitać ma w przemyskie mury,
Że tak zadziera nos do góry?
Czy Cesarz sam tu dziś się zjawi?
Hm! — Ależ on we Wiedniu bawi
I czuwa ztąd nie szczędząc trudów
Nad dobrem zespolonych ludów,
I otoczony gronem radnych
Nie skąpi prac ni ofiar żadnych,
By wrócić pokój pożądany
I królogradzkie zgoić rany,
Co chytry Prusak Austryi zadał,
Choć każdy Austrjak głośno gadał,
Że zje Prusaków na śniadanie,
Że skoro tylko Austrjak wstanie,
Już Prusak z samej przed nim trwogi
Pokaże tył — i hajda w nogi!
Lecz pokazały im Prusaki,
Że na śniadanie twarde szpaki,
Dlatego Cesarz z Ministrami
Wrzekomą siłą się nie mami,
Lecz chce prawdziwej błysk wolności
Darować ludom swoich włości,
I znieść różnicę wszystkich stanów,
Powołać chłopów, mieszczan, panów,
Do steru nad burzliwą nawą
I liberalną tą ustawą

Zagasić iskrę niepokoju,
Przytłumić chętkę wszczęcia boju,
Zapewnić Austrji pokój wewnątrz
I groźną zrobić ją na zewnątrz, —
Dlatego Cesarz zatrudniony
Potęgą całej swej korony
Galicji zwiedzić dziś nie może,
Szczególniej, gdy — pożal się Boże! —
Galicja jest sierocą córą,
Płaczliwą, smętną i ponurą,
Żyjącą tylko we wspomnieniach,
W stepowych dumkach, w tęsknych pieniach
Za Matką, którą prawo pięści
Rozćwiertowało na trzy części,
A przeto cesarskiego oka
Ni miasto lwa, ni grota smoka
Nie zdoła zwabić swoją twarzą. —
Gdy o przeszłości wszyscy marzą
Tak z ponad Pełtwi jak z Nadwiśla
Czyś miałby tylko gród Przemyśla
W ponętnych się okazać piórach
I witać Władzcę w starych murach? —
Lecz ani Czas z poważną brodą,
Zgarbiony wiekiem, zbity modą,
Ni Kraj, protektor Izraela.
Co srebrem brduy swe zabiela,
Ni wolnomyślna Narodówka.
Ognista, bitna, młoda wdówka,
Ni Dziennik polski, demokrata,
Wartogłów, godzien ręki kata,
Ni ciocia Uńja, jak dewotka
Tiarę czczącą, psa i kotka.
Ni marne Słowo Swiętojurców,
Moskiewskiej w Rusi szyzmy twórców,
Ni wreszcie Dziennik urzędowy,
Gazeta lwowska, nie bez głowy,
Nie piszą słowa Publiczności
O zjeździe Ich Cesarskiej Mości
Lub Ich podróży do Galicji,
I w żadnej nie ma tam pozycji
Najmniejszej o Przemyślu wzmianki,
A jednak młodzież wije wianki,
Przystraja świetnie swoje ciała,
Jak gdyby kogo witać miała!
I cóż to się właściwie znaczy?
Ha! — Pan Bóg to tam wiedzieć raczy,
Bo o papieskim delegacie

W przepysznej kardynalskiej szacie
Z pewnością Uńja by doniosła,
A gdyby cesarskiego Posła
W Przemyślu dziś powitać miano,
Żołnierze wstali by dziś rano,
A oni jeszcze spią w kasarni
Lub dopijają noc w piwiarni,
Podobnoś przeto ich nie czeka
Parada, musztra, pot i spieka,
A pan Starosta i Komisarz,
Konsyljarz, Sędzia, Adjunkt, pisarz,
I wszyscy zgoła urzędnicy,
Pan Burmistrz, Rajcy, Politycy,
W galowe szaty się nie stroją,
Nie brzęczą rożenkową zbroją,
Pierogów też — uczciwszy uszy —
Czy stosowanych kapeluszy
Nie biorą z koguciemi póry:
W ukryciu leżą ich mundury,
Na kołkach wiszą cienkie szpady,
A więc, — nie będzie dziś parady.
Dziś wszyscy zwykłą biorą odzież,
Jedynie tylko szkolna młodzież
W świąteczne dziś się stroi szaty,
I w wieńce splata wonne kwiaty,
Lub wydobywa trąby, flety,
I śpiewa huczne tryolety
Wesołym, świeżym, dźwięcznym głosem,
Lub nucąc marsze po pod nosem
Zabiera kwiaty i kokardy
I z czołem pełnem butnej wzgardy,
Już, już gotowa do wychodu.
Z jakiegoż przecie to powodu
Tak uwijają się studenci? —
— Coś niedobaego tu się święci:
Wszak święta nie ma w kalendarzu
I ani słychu o Cesarzu.
Przemyska jednak szkolna młodzież
Ubrała się w świąteczną odzież;
Wszak nie nadeszła dzisiaj pora
Wizyty pana Inspektora,
Choć z taką miną tajemniczą
Guziki u ubrania liczą,
Wszak nie przyjedzie dziś nikt z gości
Cesarskiej lub Wysokiej Mości,
By hucznie Go powitać miano,
Dlaczegoż wstała młódź tak rano?

Dlaczegoż wije wonne wianki?
I czemu jak do pohulanki
Studenci dzisiaj się ubrali?
Dlaczegoż, skoro tylko wstali,
Z obawą patrzą się w obłoki?
Wszak jak sklepienia krąg szeroki
Nie dojrzeć na nim żadnej chmurki!
Dlaczegoż skocznie jak wiewiórki
To tu, to tam biegają w pędzie?
Co też to będzie? Co to będzie?



POCHÓD.

Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tam boska toń, tam oddech boży
Promieńmi słońce cuda tworzy.
Do dłoni dłoń: Hej naprzód w las!
Dziewicza woń otoczy nas
Zieloną błoń ku nam rozłoży,
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tam boska toń, tam oddech boży!

Przecudny Maj zawitał nam,
Przyroda rajskie wdziała szaty,
Wonnemi kraj zakwitnął kwiaty,
Przecudny Maj zawitał nam!
Z zielonych raj wygląda ram,
Słowiczy gaj szle ton bogaty.
Przecudny Maj zawitał nam,
Przyroda rajskie wdziało szaty;

Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią,
Żywiczną las wytryśnie wonią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd!
Noc zwabi nas do strojnych gniazd
By igrać wraz zalolów bronią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią.

Rozkoszy słój, miłości czar,
Tworzenia zdrój przenika nerwy
Przyrody strój wabi bez przerwy
Rozkoszy słój, miłości czar!
I życia rój rozpala żar!
Dodaje bujnym płodom werwy,
Rozkoszy słój, miłości czar,
Tworzenia zdrój przenika nerwy!

Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tam rajska woń otoczy nas:

Tak śpiewa dziś przemyska młodzież
Ubrana w odświąteczną odzież,
Po czterech idąc w marsz miarowo
I zachowując się — wzorowo!
Na czele wszystkich sam chorąży
Z chorągwią szkolną w rękach dąży.
Postawa silna, chłop wysoki,
Na wszystkie wystrojony boki
Tak bystry w koło wzrok rozwodzi,
Że przed nim gawiedź z drogi schodzi
I korne okazuje względy.
A za chorążym w cztery rzędy
Po czterech z bębnem i trąbami,
Z fagotem, fletem, klarnetami,
Kapela marsza tnie od ucha,
Że aż nerwami rozkosz bucha. —
Muzycy nie są wynajęci,
Lecz sami, sami to studenci,
A mimo to niech się wojskowa
W podziemia banda przed nią schowa.
Za bandą klasa tuż za klasą,
Wiosenną ustrojona krasą
Podąża w takcie cała szkoła.
U wszystkich dzisiaj myśl wesoła,
Z kazdego wargi zdrowie tryska,
Z każdego oka radość błyska,
Z każdego serca tchnie swoboda,
Na każdem czole dziś pogoda,
Na każdem licu jest rumieniec,
A wszyscy jeden tworzą wieniec
Uwity z różnobarwnych kwieci,
Bez kolców, bez szatańskich sieci,
Bez kłów, pazurów, żądeł, jadu,
Bez trującego wnętrza czadu,
Harmońja dzisiaj im przyświeca,
Harmońja grzeje wszystkich lica,
Harmońja jasne koło kreśli
I harmonijnie splata myśli,
Polaka stawia przy Rusinie,
Jakiego właśnie los nawinie,
Rusina dłoń z Polaka dłonią
Dziś jeden takt z muzyką dzwonią,
Nikomu szemrać dziś się nie śni;
Czy polskie, czy też ruskie pieśni

Dziś wszyscy jedną piersią nucą
I o pierwszeństwo się nie kłócą. —
Tak przeszli w marszu krok za krokiem
Od swojej szkoły po pod bokiem
Klasztoru niegdyś Jezuitów
Zamienionego nie bez zgrzytów
W magazyn ubrań wojskowości
Z nakazu Józefińskiej Mości,
I dalej obok Franciszkanów
Kościoła, w którym Pana panów
Studenci polscy zwykle chwalą
I przed Nim z trosk się swoich żalą,
I rynkiem w dół po pod strażnicą,
Gdzie bagnetami straże świecą,
Po przed Starostwo ku mostowi!
W około towarzysze nowi
Zwabieni skoczną marszu nutą
I uczniów uroczystą butą.
I bandą, bandą wykapaną,
Rozkoszną, huszną. niewidomą,
Na wyścig sypią się szarańczą,
Biegają, gwiżdżą, skaczą, tańczą,
Służące, mamki, niańki, dzieci,
Ku bandzie wszystko pędzi, leci,
Kupczyki, czeladź, chłopcy, żydki,
Opuszcza wszystko towar brzydki,
Co w stęchłem już mu obmierzł bagnie,
I ładny, dźwięczny ujrzeć pragnie,
I postanawia z słodkiej czary
Muzyki rajskiej ssać bez miary,
Bo wie, że rżnięcie go nie minie,
Czy wróci w tej, czy w tej godzinie,
Gdy głód porządnie go przyciśnie
I chęć słuchania muz rozpryśnie
I znagli do dawnego stanu.
Przemyski moście pstrego Sanu
Łączący miasto i Zasanie,
Ty nic nie jesteś mówić w stanie!
Pokażesz wreszcie swemi boki,
Czy Sanu poziom jest głęboki;
Pokażą wreszcie twe kobyły,
Że twarde lodu łamią bryły,
Lecz nic a nic nie zdradzi w świecie,
Co dzieje się na twoim grzbiecie,
A przecie właśnie ci studenci,
Co wystrojeni, uśmiechnięci
Dziś marszem w takt twój grzbiet przechodzą,

Na tobie nudne chwile słodzą.
Nie jeden wprawdzie cicho siedzi
I wtedy tylko cię odwiedzi
Gdy pędzą Sanem grube lody,
Gdy walczysz z igrzyskami wody
Wezbranych fal spienionej rzeki
Niosących szybko w świat daleki
Co raz to dalej, hen do morza,
Dobytek ludzki, sterty zboża,
Istoty żywe, martwe trupy,
I brogi siana i chałupy
A nawet kamieniste mury.
A widząc taką moc natury,
Jak marnie ludzkie dzieła giną,
Maluczką czuje się drobiną,
Stworzeniem słabem, mdłą jednostką,
W natury ręku igrzysk kostką,
Swe życie nikłe jak motyla,
I kornie czoło swe uchyla
Przed Majestatem Bożej siły.
Co utworzyła świat ten miły,
Nadludzką nim kieruje mocą
I nad nim czuwa dniem i nocą....
Niejeden jednak twardszej duszy
Marzeniem głowy swej nie suszy
Nad potęgami sił natury,
Lecz woli ludzkie widzieć córy,
Podziwiać kibić, płeć. urodę,
Pulchniutkie włosy, strój i modę,
I widzieć uśmiechnięte usta,
I badać, która bardziej pusta
Do miłosnego skłonna strzału,
I tutaj szuka ideału,
I szuka, bada, medytuje,
Aż znajdzie — oblewaną tróję!
O ileż smutnych trój rok rocznie
Na twoim grzbiecie się rozpocznie!
Wszak prosto miejski łączysz rynek
Z klasztorem Sióstr Benedyktynek,
A ten panieńską szkołę mieści
I wychowuje ród niewieści!
A więc po tobie ich anioły
Do swej panieńskiej chodzą szkoły
A więc na tobie ideały
Ku sobie wypuszczają strzały,
A których skutkiem oczywista,
Niechybna trója, trója czysta. —

I takie to nieczuły moście
Studentom w oczy rzucasz oście?
Tak czuwasz, by przedwczesny zapał
Świeżego puszku cer nie zdrapał?
Ej! — Czy nie szkoda moście stary
Dla ich aniołków tej ofiary?
Czy z nich nie jedna w ślad za matką
Nie posypuje mączką gładką
I tak swej nie odświeża cery?
Czy każdej uśmiech prosty, szczery?
Czy każda tak niewinna, święta,
Że jej unikać trza studenta?
„Hej Broniu! Jakiegoż to osła
Miłosny liścik żeś przyniosła?
I jakiż to gorący zapał
Na lep twych wdzięków dziś się złapał?“
„„Co? gdzie? jak?“ Bronia pyta boska
Do góry zadzierając noska
Nad gminnym tłumem koleżanek.
„A tu! Poczekaj! — Ha, kochanek
Przyszpilił go szpilkami dwiema.
Na masz! Podpisu nigdzie nie ma,
A więc anonim oczajdusza
Do boskiej Broni rwać się skusza.“ —
„„Przeczytaj głośno, co tam pisze!“ “
„Pst! Proszę o niezmierną ciszę! —
Do Ciebie złoty ideale
Me serce lgnie i rwie się stale,
Ku tobie dusza moja cała
Gorącym ogniem zapałała.
Czy spać się kładę, wzbudzę wcześnie,
Na jawie w dzień, czy w nocy we śnie,
Twój obraz widzę przed oczyma,
Twój obraz mnie się zawsze trzyma,
Twój obraz jakby na kobiercu
Spoczywa wiecznie w mojem sercu,
Pod skrzydłem tylko boskiej Broni
Uroczo tentno serca dzwoni,
Przed tobą klękam więc aniele
I błagam, błagam choć nieśmiele,
Ach przyjmij, przyjm mnie pod Twe skrzydła,
Bez Ciebie bowiem jaźń mi zbrzydła:
Gdy Ty pragnienie me odczujesz,
Nademną biednym się zlitujesz
I spuścisz z swoich białych rączek
O ósmej wieczór róży pączek
I słówek parę z okna swego

Dla sługi, niewolnika Twego.“ —
„„A oczajdusza!““ Bronia rzecze,
„„Poezja ze łba ci wyciecze,
Gdy cię pokropię memi skrzydły!
Ot, student jakiś, żak przebrzydły!
To na tom się posmarowała,
Że aż mi skóra pęka cała,
By rwał się do mnie lada szuja?
Poczekaj! Skropię tego zbója,
I odżałuję kilka centów
Na zimną kąpiel dla studentów.“ “
— „I cóż mu zrobisz?“ — „„W jego myśli
Słów parę rączka moja skreśli,
Lecz prozą, jędrnie, zrozumiale:
— Do książki głupców ideale,
A nie do panien rwać się żaku! —
I spuści z pięknym pączkiem laku
Z drugiego piętra na dziedziniec,
Gdzie ptaszka schwyci jakiś kliniec
I tak przetrzyma po przed kłodą,
Aż zleję go porządnie wodą!
Zobaczyć zresztą możesz dziatwo,
Mieszkamy w rynku trafić łatwo!“
I cóż cię żaku mój ochroni
Przed takiem laniem boskiej Broni?
Ha! — Może strumień zimnej cieczy
Przed tróją jeszczeć zabezpieczy?
Wspomnienie zimnej tej kąpieli
Fantazję twoją rozanieli
I zimno, twardo liczyć każe
W niepoetycznym życia jarze?
I może właśnie takie lanie
Zarodkiem sławy ci się stanie,
Gdy zwróci myśli od czczych marzeń
Do głębszych świata zjawisk, zdarzeń,
Do wysnuwania prawdy wątka?
Lecz dziś panieńskie niewiniątka
Na dobre może jeszcze chrapią
Lub kuciem lekcyi głowę trapią.
Zawcześnie jeszcze iść do szkoły
Ich oczu umknie marsz wesoły,
Ich uszu miną dźwięczne tony,
Ich nerwów ujdzie rytm pieszczony,
Ich strzał unikną więc studenci,
Ich wzrok spokoju im nie zmęci.
Dziś tylko święte zakonnice
Wybladłe okazują lice

Zbudzone nagle dziwną pieśnią.
Niepewne, czy żyją, czy nie śnią,
Czy ludzkie tony, czy nadziemskie,
Anielskie, boskie, betlejemskie,
Rozkosznie nerwy przenikają,
Bezwiednie rozmarzone wstają,
Bezwiednie odsłaniają twarze,
Bezwiednie w ziemskiej toną czarze.

Dwie studentki wydziałowe
Hulaj dusza, hulaj ha!
Wymyślają figle nowe,
Tra, la, la!
Jakie by studentom sprawić,
Hulaj dusza, hulaj ha!
I ich kosztem się zabawić,
Tra, la, la!

Uchwyciły w obertasy
Naprzód żwawo, tu i tam,
Dwu studentów z ósmej klasy,
Tra, ra, ram!
Musimy ich za nos wodzić,
Naprzód żwawo, tu i tam,
Muszą w naszej uździe chodzić,
Tra, ra, ram!

I studenckie ich nawyczki,
W prawo, w lewo, hulaj ha!
Na swe naginają stryczki,
Ca, ca, ca!
W różnej gimnastyce ćwiczą,
W prawo, w lewo, hulaj ha!
Machinacją tajemniczą,
Ca, ca, ca!

Jakieś licho tu się kręci,
Hula żywo, hula ha!
Rzekli zgodnie wnet studenci,
Tram, ta, ta!
Różne płata nam figielki,
Hula żywo, hula ha!
Psuje nam porządek wszelki,
Tram, ta, ta!

Trzeba schwytać tylko cicho,
Hulaj jeszcze, hulaj, laj!

Nasze zagadkowe licho,
Aj, aj, aj!
Tak się dzielnie zaczaili,
Hulaj jeszcze, hulaj, laj!
Że na figlu przycupili,
Aj, aj, aj!

Hej panienko żywa, giętka,
Nie chcę więcej, nie chcę, nie!
Gdy cię figlów porwie chętka,
Nie, nie, nie!
To ci student figla spłata,
Nie chcę więcej, nie chcę, nie!
Że go popamiętasz lata!
Nie, nie, nie!

I naprzód jarosławskim traktem
Podąża przyspieszonym taktem
Wesoło kalwakata cała.
A droga kwieciem zabielała
I biało błyszczą wszystkie sady
Ubrane jakby do parady
W urocze, odświąteczne stroje,
W kwieciste suknie, śnieżne zwoje,
Gdyż wszystkie owocowe drzewa
Wspaniały maju czar oblewa.
Jabłonie, grusze, śliwy, trześnie,
Brzoskwinie, wiśnie i czereśnie,
Wzniesioną w górę swą koroną
W porannym blasku słońca płoną,
Dzisiejszy ranek mile święcą
I na się wzrok studentów nęcą.
Ej, czy na prawdę sądzisz kwiecie,
Że student na cię wzrokiem miecie?
Pożąda ciebie? Twych warkoczy
Tak tęsknie pragną jego oczy?
Do twej nęcącej świeżej woni
Tak pożądliwie noskiem goni?
Lub twoja słodycz język łechce?
Ej! — Ciebie student wcale nie chce,
Pragnieniu jego ciebie nie trza!
Twe listki zda na los powietrza,
Twój miód zostawi ssawkom pszczółek
Bez jakichkolwiek z niemi spółek.
Od kiedy zbadał twe składniki,
Podstawę, słupki i pręciki,
Sukienką swoją go nie zwabisz,

Pozorem zmysłów nie zagrabisz,
Zewnętrzną szmatkę dziś błyszczącą
Niebawem wiatry tobie strącą,
Rozpładniający pył omszony
Rozwieją ci na wszystkie strony,
Lecz grunt zostanie, owoc wyda,
A ten się studentowi przyda. —
Owoców to roskoszne soki
Studentów wywołują cmoki,
Owoców zapach wonny, boski,
Studentów czujne łechce noski,
Owoców urodziwe wdzięki
Nadają oczom wyraz miękki,
Owoce pulchnym, miękkim miałem
Wstrząsają całem jego ciałem.
Za niemi student żądzę czuje,
Do nich go tak tęsknota pruje,
Do nich obficie płynie ślina
I już wakacye przypomina,
Gdy rzuci w kąt mizery szkolne,
Tak ołowiane, tak mozolne,
I wolny od rygorów nudnych,
Wysiłku myśli, zajęć zmudnych,
Na miękkiej trawie się pokładzie
W domowym, owocowym sadzie.
Ach, co za rozkosz, co za chłódek,
Jak swojsko pachnie ten ogródek!
Jak wszystko, wszystko tu znajome!
Niewielki stawek, brzegi strome,
Dogodne zimą do jazd walnych
Na saniach całkiem naturalnych...
Poniżej stawku, koło rzeczki
Usadowiły się porzeczki
I jeden wielki krzew agrestu:
Najlepsze, kiedy bez szelestu,
Ukradkiem zrywać je potrzeba,
Gdy trudno po nich ugryźć chleba,
Gdy cierpko po nich zęby zgrzycą,
Kołczeje język, oczy świecą,
Bo gdy ich już pomiękną skóry,
Nie dobre i na konfitury,
Tembardziej zwłaszcza, że czereśnie
I elastyczne, gibkie trześnie
Szeroko tu rozgałęzione,
Okrągłe, białe i czerwone
I czarne świeże swe jagody
Wydają mu już dla osłody,

A takie miłe, tak pulchniutkie,
Soczyste, miękkie i słodziutkie,
Że strasznie w obec nich kwaśnieją
Porzeczki, agrest, choć dojrzeją,
Więc hurtem je z pestkami bucha
Niepomny na boleści brzucha. —
Nad mchem porosłym stajni dachem,
Po którym stąpać trzeba z strachem. —
Rumiane, okrąglutkie brzuszki
Do słońca wystawiają gruszki
Z pozoru piękne, lśniące, harde,
A w gruncie kamieniste, twarde,
Bledziutkie przy nich papierówki
Padają prosto do gnojówki!
W lot się dobywa owoc kruchy,
Obciera trawą z czarnej juchy
Kosztuje — smaczny! wącha — pachnie!
I zjada, ani się nie zżachnie,
Z ogryzkiem, skórą, het — na czysto!
A wśród ogrodu rozłożysto,
Szeroko jakby gospodyni,
By wszędzie patrzeć, co kto czyni,
Podniosła w górę swe ramiona,
By każdy wiedział, co to ona,
Najstarsza pewnie z wszystkich grusza,
Owocu jednak nikt nie rusza,
Bo tak niesmaczny murdz okrągły,
Jak gospodyni zgrzyt przeciągły.
Ku ziemi zgjęta, kosturbata,
Gdyż murdza ciężko ją przygniata,
Soczysta, zółta muszkatela
Naokół zapach rozpościela,
Miodówka niżej nudnosłodka
Wcisnęła mocno się do płotka,
Zanadto słodka, lepka, miękka,
A takich się unika, lęka.
Ponad agrestem w dobrej tuszy
Konary gną się starej gruszy
I w rzece swe owoce gubią,
A szkoda, bo je wszyscy lubią,
Te wielkie gruszki, dziś w zieleni,
A żółkniejące aż w jesieni.
Tu małgorzonki, tam pachniączki
Wpraszają same się do rączki,
Zapachem łechcą powonienie,
Słodyczą wabią podniebienie,
Tam znowu długa, sypka gdula

Rumianym kształtem wzrok rozczula
Ach, jak tu dobrze! Jak tu miło
Dziecinne lata się pędziło!
Po kiego licha profesorzy
Wybledli zawsze, zawsze chorzy,
Mający zżółkłe, zwiędłe puszki
Jak gdyby zasuszone gruszki
Chodzący jak ponure mruki,
Powymyślali te nauki?
Poco się ludzie niemi szczycą?
Czy kogo zbawią? czy nasycą?
Czy cały łeb Pitagorasa
Popuścił wolniej komu pasa?
Czy cały zlep ontologiczny
Wart choćby jednej gruszki ślicznej?
A śliczne gruszki w tym ogrodzie,
Że aż apetyt do nich bodzie!
Z pewnością wszelką nikt nie liczy,
Jak wiele student tego śćwiczy.
A jabłka? — Jak ich czuć zdaleka!
Jak tęskno do nich ślinka ścieka!
Jak to ten woniejący puszek
Przywabia, nęci do jabłuszek!
A rożne jabła w tym ogrodzie!
Przy stawku w przeźroczystej wodzie
Pstro przeglądają się buraczki,
Czy im rumienią się buziaczki,
Zielony na nie i ponury
Spogląda wielki śliczak z góry,
Na każdy umizg pilnie zważa
I swoim kwasem je zaraża. —
Oliwki słodkie i soczyste,
Miejscami całkiem przeźroczyste,
Nie mogąc podnieść swych gałęzi,
Gdyż zbyt je mocno murdza więzi,
Do ziemi kornie się schylają
I gospodyni zalecają
W kąciku cichym, na uboczu,
Niczyich nie zwracając oczu
Stanęły trzy renety w kupce,
Spokojne, że ich nikt nie schrupce,
Skrywają jabłko wątłe, spiące,
Lecz kiedy choć ze dwa miesiące
Poleżą, przespią się na słomie,
Jak pysznie pachną, jak łakomie!
Opodal pokazuje białka
Bezwstydne, całkiem nagie ciałka

Zarumienionej mocno gduli —
W pobliżu kurczy się i kuli,
Ku ziemi chyli swe konary
Starością zgięty winnik stary,
Spruchniałe, wyschłe ma pacierze,
Gdy jednak go ochota zbierze
Pokazać jeszcze, co on umie,
Wybornym smakiem wszystkich zdumie.
Sztetyny wreszcie w szarym końcu
Owoce wygrzewają w słońcu,
Aż twarz smagławo im opali
I kolor nada im korali,
I twardo w środku mięśnie skuje,
Paradnię jabłko to smakuje!
Gdy przyjdzie Boże Narodzenie!
Ach, gdyby tylko zaświadczenie
Wykazać dobre na wakacje,
To smaczne będą rekreacje!
Cóż, kiedy i przy stęchłych mapach
Jabłuszek zalatuje zapach!
Cóż, kiedy greka i łacina
Ogrody często przypomina
I od bębnienia twardych słówek
Do kruchych pędzi papierówek!
Cóż, gdy chemiczny niedokwasek
Owoców zaraz wonny kwasek
Na myśl przywodzi mimochodem
I każe zająć się ogrodem!
Cóż, kiedy lada wyraz nowy
Nie chcący zmieścić się do głowy
Odrywa myśli od dowodów
I pędzi, pędzi do ogrodów!
A co tu miękich, pulchnych śliwek,
Jak cudny mają przyodziewek!
Tam śliwki nad stodołą ranie,
— Najprędzej z dachu je dostanie!
Na który się po węgłach włazi, —
Wenetki tam o czarnej mazi,
Tu zaś skrónatki, a tu psiórki
Rumiane wystawiają skórki,
By je też czule pocałować,
Pawąchać, ścisnąć, pokosztować,
Jedyna, rzadka śliwa biała
Pod samę murdzę się zapchała,
A ta kapryśna gospodyni
Bynajmniej krzywdy jej nie czyni,
Lecz tu ramiona swe wygjęła,

By jej przypadkiem nie pomięła. —
A przy renetach dwie ryngloty
Powystawiały do pieszczoty
Czerwone, utuczone, duże
Owoce, jakby jaja kurze.
Przy płocie stoją we trzy rzędy,
A zresztą rozrzucone wszędy
Węgierki bardzo, bardzo liczne,
Podłużne, smukłe, elastyczne,
A wszystkie, wszystkie bardzo dobre!
Najlepsze, kiedy jeszcze chrobre,
Twardawe, gjętkie mają ciała,
Gdy jeszcze skóra nie zczerniała
W niebieski pył się nie ukrywa,
Lecz gdy młodziutka, świeża, żywa,
Wstydliwie jeszcze się rumieni,
Lecz choć na czarną barwę zmieni,
Zmarszczkami zbruździ, schudnie, zmięknie,
To jeszcze jej się nikt nie zlęknie,
To przecież jeszcze wszystkich sidło
I zda się — choćby na powidło.
Jedynie tylko śliwki czarne
Jak gdyby polne tarki marne
Swą barwą zwodną i połyskiem,
Bo aż zachodzą oczy błyskiem,
Gdy ją się uje, zanim zmięknie,
Lecz później — jak smakuje pięknie!
Ach, co za rozkosz, co za chłódek,
Jak swojsko pachnie ten ogródek!
Jak w nim przyjemnie spocząć sobie,
Wyciągnąć nogi, ręce obie,
I dumać, marzyć o fijołkach,
Bukietach, strzałach i aniołkach,
Kapelusikach, wstążkach, piórach,
O kołomyjkach i mazurach.

Kukułeczka w lesie kuka,
Jakąż, jakąż głosi wieść,
Pewnie, pewnie gniazdka szuka,
Gdzie by swoje jajo znieść,
Kręci się w około
I kuka wesoło!

Hej paniczu urodziwy
Do mnie, do mnie śmiało chodź!
Nie bądź, nie bądź tak leniwy,
Żwawo, chyżo, kroki wodź!

Nie kręć się tak w kole
Orle i sokole!

Panicz w górze pod obłokiem
Szuka, szuka, błądzi wciąż:
Przeszył, przeszył go swym wzrokiem
Jakiś czarujący wąż!
Patrzy się do koła,
Kto na niego woła?

Hej paniczu, zbyt wysoko
Hardy, hardy buja wzrok,
Niżej, niżej spuść twe oko,
A zobaczy moje wskok!
Nie skacz nie, w około
Bo rozbijesz czoło!

Panicz spuszcza wzrok ku ziemi,
Duchu, duchu, drogę wskaż!
Może, może, oczy swemi
Czarodziejki ujrzy twarz?
Lecz widzi do koła
Same tylko zioła!

Hej paniczu, w poniewierce
Nisko, nisko chylasz się,
Wyżej, wyżej podnieś serce,
Bo tak nisko nie ma mię.
Ku błotnemu kołu
Nie pójdziem pospołu.

Panicz spojrzał wprost przed siebie,
Spotkał, spotkał oko jej,
Ujrzał, ujrzał się jak w niebie,
W oku czarodziejki swej,
I śmiało w około
Wywija wesoło!

I naprzód, naprzód co raz wyżej,
A ku lasowi bliżej, bliżej,
Studenci żwawo maszerują
Zmęczenia wcale dziś nie czują,
Bo ono tam się nie udziela,
Gdzie tak cudownie gra kapela,
I kiedy młodzież urodziwa
Wesołe w pauzach piosnki spiewa.
By jednak szczerą prawdę wyznać,

To każdy w duchu musi przyznać,
Że gdy minęli kwietne sady,
Co różnej słały woń pomady,
Kwiatami drogę uścieliły
I cień, i cień rzucały miły,
A wyszli już w otwarte pole,
Że nieco go słoneczko kole,
Że kurz tu wcale nie oczputy
Nie tylko grubo pokrył buty
Lecz także już i w nosie wierci,
— A przecież drogi nie ma ćwierci,
Więc co to dalej, dalej będzie?
Że w zwartym mu za ciasnorzędzie,
Że więcej wolał by swobody,
I że go ciągnie coś do wody:
Lecz o tem dziś się nikt nie dowie,
Bo głośno tego nie wypowie,
Na śmiech się ludzki nie narazi,
Studenckiej sławy swej nie skazi,
Wytrwale przeto, wyprężony
Dobywa z siebie dźwięczne tony
I prosto się i ostro trzyma. —
A po przed jego się oczyma
Przeróżna ścieli panorama
I różne myśli budzi sama.
Na prawo kabłąk jak ogórek
Podnosi się zielony wzgórek,
Na którym dosyć często bywał
I z kolegami się ukrywał
Za wzgórkiem w przepaścistych jarach
Pamięta dobrze, jak raz tarach!
Z łomotem, z trzaskiem brzegu kawał,
— Co nad potokiem tam wystawał,
A który się ponętnie chruścił, —
Tak szybko z nim się na dół spuścił,
Że nie miał się przestraszyć czasu.
Jak potem cicho, bez hałasu,
Sza, wygramolił się z załomu,
Nie pisnął o tem nic nikomu,
Popatrzył w górę z tego lochu,
Obtrzepał chrustem surdut z prochu,
Zmył wodą glinę po pod okiem
I w górę puścił się potokiem;
Dopiero, gdy do domu wrócił
I do zwierciadła okiem rzucił,
Zobaczył siniec po pod okiem,
A jeszcze później, samym zmrokiem,

Gdy już kolację swoją spożył
I spać do łóżka się położył,
Obmacał się po całym ciele
I odkrył zadarć, guzów wiele.
Lecz dziwny, dziwny ten przypadek
Sprowadził go na wodospadek,
O którym przedtem nić nie wiedział,
Choć nad nim w górze często siedział,
I dał mu pole do zaszczytu,
Do podziwienia jego sprytu,
Bo gdy niebawem guzy zgładził,
To wnet tu innych przyprowadził,
Niepowściągliwy, niedyskretny,
Okazał wynalazek świetny
Zdumionym oczom swych kolegów,
I wziął się do badania brzegów,
Gdzie, które, jaką mają postać,
Którędy by się na dół dostać,
A potem zabrał do roboty,
Wyrobił schodki, słupki, płoty,
Wyżłobił w dole wnet wanienkę
I wstawił w górze tak rynienkę,
Że ma paradną kąpiel w lecie
Nie lada kąpiel, z tuszem przecie!
  Pod wzgórkiem leży u podnóża
Ni kwaśna łąka, ni kałuża,
I połyskuje swym szuwarem,
I wabi swym błotnistym czarem,
I nęci zgniłym swym zapachem
I jakimś nieuchwytnym strachem
Niestety bardzo wielu ludzi,
Co praca ich porządna nudzi,
Do tuż przyległej karczmy brudnej,
Śmierdzącej, stęchłej, ale — ludnej.
Mordownia się ta karczma zowie,
Gdyż różne zbrodnie rodzi w głowie,
I wszędzie pełno nieczystości
Próżniaków zwykle w sobie gości,
A te próżniacze, chlewne hordy
Plugawe zalewają mordy
Gorzałką, gorzką i śmierdzącą,
Dopóki im się nogi plącą.
A ciągnie tutaj chuć bezbożna,
Bo tanio tu się upić można. —
  Na lewo poza dużą łąką
Do słońca błyszczą jakby mąką
Domeczków ściany wybielonych

Wśród wierzb, topoli, lip zielonych,
Co uczepiły się pagoru,
Na którym są budynki dworu
Już wiejskie gminy Kazanowa.
Na górze drogi już połowa
Tam siedzi zwykle ludzi para,
Zgarbiony dziad i baba stara.
Za chlebem ręce wyciągają,
A pomieszkanie w ziemi mają,
Z którego tylko komin duży
Na wierzchu czarnym dymem kurzy.
Ta smutna para starych ludzi
Studentom strach i trwogę budzi,
Bo musi się tu dobrze chować
By dziada, baby nie całować,
Gdy tędy go do szkoły wiozą. —
Ponad wzgórkami ciemną łozą
Szeroko leśna się wyrzyna,
I tęskno wabi wzrok czupryna,
Bo do niej student dzisiaj dąży,
Bo do niej wiedzie ją chorąży
I bandy uroczysty trabant.
Mijają karczmę, moczar, szlabant.
I już na górze są niebawem
Po nad doliną, łąką, stawem.
Na lewo droga do Pruchnika
W pobliskim lesie prędko znika.
Dokładnie znają ją studenci,
Gdyż ciekawością zawsze zdjęci
Do szańców tędy wychodzili,
Do których nie ma — nawet mili;
Tam idzie się — wolniejszym czasem, —
Bukowym, wielkim, gęstym lasem
Obfitującym w różne grzyby.
Tu więc zrzuciwszy szkolne tryby,
Praktycznie się rozróżniać uczą,
Czy które z nich ciecz mają suczą,
Szkodliwą zdrowiu i trującą
I już zapachem przykrym trącą,
Czy wonną, zdolną do trawienia,
I tu praktycznie się ocenia
W tej leśnej, żywej botanice,
Jak wyglądają wierzchnie lice.
Jak ich muszkuły i cięciwy,
Jak to wygląda grzyb prawdziwy,
Co suchy cały ma kadłubek
— Wypukły, jędrny, ciemny czubek,

I twardy, gruby, krótki korzeń
Odróżnia go od bratnich stworzeń, —
A jak maślaczek żółty, lepki,
Ze ściągłą skórką jak u rzepki,
Jak gorzko wielkie, białe bile
A jak smakują krówki mile,
Aż je się zaraz świeżo zjada,
Jak główka się barania składa,
Wystaje z ziemi jakby gąbka,
A jak się skręca liszki trąbka
I spaja często w jeden krzaczek,
Jak po złamaniu wnet kozaczek
O długiej tyce, czapce małej,
Przechodzi w barwę czarną z białej,
By ktoś schwycony na intrydze,
A jak się stale krwawią rydze,
I które dobre są gołąbki,
— Mające tak strzępiaste rąbki.
Że nawet je rozpozna głupiec, —
By je na wolnym ogniu upiec,
A które znowu muchomory,
Wołowe pyski i znachory,
I inne liczne i trujące
Zbyt brzytko się nazywające.
A nieco dalej za tym lasem
Rozciąga się szerokim pasem
Przy samych szańcach zrąb lesisty,
— Gdzie dawniej dąb stał wiekuisty
Wycięty teraz co do znaku, —
A w tymże zrębie jakby maku
Poziomek moc na gęby czeka.
Cóż, kiedy droga zadaleka
I często tutaj przyjść nie mogą.
Czy może pójdą dziś tą drugą
Oglądać resztki wielkich szańców,
Tych świadków — nie zabawnych tańców,
Lecz krwawych walk i starć z wrogami?
Czyż tu zabawa ich nie splami?
Czy krew poległych tu rycerzy
Do głów młodzieńczych nie uderzy?
Czyż choćby jakie skoczne tańce
Ich nie oniemia jak kagańce?
Nie, nie! — Nie skręca tu chorąży,
Lecz prosto, prosto dalej dąży,
A za nim w krok drużyna cała.
Zielenią ziemia sie ubrała
I przystroiła suknią nową.

Zielone listki lśniąc perłowo
Wilgotne wystawiają lice,
Ku słońcu łzawe swe źrenice
I mokre wychylają czuby
A słońce podarunek luby
Z lubością wielką dziś wysysa.

Niebieskie słońce, wstań już, wstań!
I przyćmij mgliste gwiazd połyski,
I osusz nocny porost śliski.
Niebieskie słońce, wstań już, wstań!
Z ochotą przyjm miłości dań
I otocz pieczą od kołyski,
Niabieskie słońce, wstań już, wstań
I przyćmij mgliste gwiazd połyski!

Ogniste słońce, parz już parz!
Oczyszczaj z brudów miękie ciemię,
Ożywczem ciepłem ogrzej brzemię,
Ogniste słońce, parz juz parz!
W obraną swą i czujną straż
Racz przyjąć całą naszą ziemię,
Ogniste słońce, parz juz parz,
Oczyszczaj z brudów miękie ciemię!

Zwaśnione serca żarem spój.
By źródłem szczęścia wzajem trysły,
Źrenice miłe im zabłysły,
Zranione serca razem spój
Niech twych promieni jasny strój
Harmonją zdobi nam umysły,
Zwaśnione serca żarem spój,
By źródłem szczęścia wzajem trysły!

„Stój!“ — gdzie na prawo góra łysa,
Na lewo las się rozpoczyna,
Wychodzi hasło, a drużyna
Posłusznie staje. — „Tu spoczniemy,
A potem wody napijemy!“
Cenzorzy hasło im tłumaczą,
Bo wszędzie na porządek baczą
w ryzach go trzymają wodze,
stotnie tuż przy samej drodze
Krzyż stoi dla postrachu czarta,
Przy krzyżu słup, na słupie kwarta,
U spodu słupa źródło wody
Wypływa ludziom dla ochłody
I zechsłe usta zwilżyć nęci. —

Już rwią do źródła się studenci!
Przezorni jednak ich cenzorzy
Tak prędko puścić tu nie skorzy. —
„W tył zwrot!“ — Ach! — z piersi się dobywa.
I jeszcze, jeszcze — ach! — wyrywa,
Ach Przemyśl, zamek, góry, brama.
Co za wspaniała panorama,
Jak uroczysta, jaka miła!
Na samym stoku gór mogiła
Nad równią wznosi się wysoko
I najpierw każde chwyta oko. —
Swojego tu Tatarzy chana,
Dowódzcę, najwyższego pana,
W wycieczce jednej utracili
I taki pomnik wystawili,
A taka ćma tu tego była,
Co na ten pogrzeb pospieszyła.
Że każdy tylko grudkę ziemi
Na grób wyrzucił, jednak niemi
Tak wielki usypali kopiec! —
A kiedy, żaden nie wie chłopiec,
Tatarscy bowiem długo wodze
Trzymali ludność w ciecnej trwodze
I w niepewności życia, mienie....
Po nad Przemyślem, to Zniesienie
Potężnym garbem się wysuwa
I grozą swoją wzrok przykuwa.
U stóp Zniesienia szumne gmachy,
Wyniosłe wieże, domów dachy,
Wydają się jak szczypty sera,
Na które góra się spoziera
A ile w sera tem mrowisku
Zabiegów, wrzawy, tłumu, ścisku!
Jak hardo patrzą na swe domy,
Choć w gruncie każdy jest znikomy
Jak cacko, co u stóp Zniesienia
Co chwila w inne się zamienia:
Ej, popatrz bliżej na to cacko!
Na samym rogu sterczą chwacko
Niedogryzione czasu zębem
Dwie baszty swym okrągłym rębem,
Po nad drzewami wznoszą czoła,
Co je, zieleniąc się dokoła
Ze wszystkich stron obwiodły tłumnie!
I wprost na siebie patrzą dumnie,
To zamek! Jakiż on ztąd mały!
Jak niski! — Ani nie znać skały,

Na której przecież stanął szczycie,
A z której wszyscy słodzą życie
Widokiem srebrnej wstęgi Sanu
Wijącej się wśród łąk i łanu,
Widokiem gór naprzeciwległych
I zewsząd ku Sanowi zbiegłych,
Widokiem wielkiej równi Wiaru
I jego krytych mostów paru,
Widokiem domostw rozrzuconych,
To pojedynczych, to skupionych,
Ostrowa, Błonia i Zasania.
Tu nic a nic ich nie zasłania
I zewsząd widok jest wspaniały,
Czy ze ślimaku, czy ze skały,
Co znacznie się nad miastem wznoszą
I gości na się szczerze proszą. —
U stóp zielonej zamku skały
Gmach stoi bardzo okazały,
A wprost gościńca jakby strzelił,
Tak wśród zieleni się zabielił,
Że każde oko zwrócić musi.
Pochyły grunt go dziwnie dusi:
Dwa piętra okazują z góry,
A cztery z dołu jego mury
Ubrane całym topól rzędem.
Psim czują go studenci swędem,
Ubożsi zwłaszcza, wygłodzeni,
Bo ztąd na księży wyświęceni
Osiągną karmne stanowisko
I staną Boga blisko, blisko!
Poniżej nieco dach wysoki
Katedry polskiej kryje boki,
A jej wieżyczka trwożnie mierzy
Czerwony czub potężnej wieży,
Co chwałę Bożą miastu głosi
I ludzi do katedry prosi. —
Biskupi pałac przy katedrze
Wysoko wprawdzie głowy nie drze,
Zasłania jednak swym pułapem
Kałedrę samą pod okapem
Za wieżą liczne okien rzędy
Odsłania prowadząca tędy
Do rynku prosto w dół ulica.
To kapitulna kamienica,
A przy niej klasztor jezuicki
Wysoko spiętrzył styl gotycki
I w górę wieże dwie wystrzelił.

Do swych go rząd majątków wcielił,
Gdy Jezuitów wypędzono
Podobno pro publico bono.
Tu student dłużej wzrok swój pieści,
Bo tu się jego szkoła mieści,
A na dziedzińcu żołnierz ćwiczy,
Aż się dwadzieścia pięć naliczy. —
U spodu kościół Franciszkański
Tak śliczny wewnątrz, taki pański,
Zaledwie szczyt swój okazuje,
Natomiast się szeroko duje
I szumnie głowę pnie kopuła,
Jak gdyby swoję godność czuła,
Po nad murami cerkwi świętej,
Katedry ruskiej, górno wspiętej,
A wprost za szkołą, jakby w bramie,
Gdzie prostopadle brzeg się łamie,
Czernieją dzwony z swym Iwanem,
Tak wielkim, szumnym, hucznym panem,
Że chętnie tylko wtedy bryka,
Gdy nabożeństwo ma Władyka.
Ta wielka cerkiew dumnie wzrasta
Po nad dachami środka miasta,
A jej kopuła z góry mierzy
Najwyższy szczyt pobliskiej wieży,
Co wśród kamienic się wysuwa
I z ganku swego pilnie czuwa,
Czy gdzie przypadkiem się nie pali,
Czy to w pobliżu, czy w oddali,
A o czem trąba jej złowieszcza
W około głośno ztąd obwieszcza;
A iżby alarm w porę znaczyć,
Dokładnie musi stróż ztąd baczyć
I pokazywać się na ganku
We dnie i w nocy bez ustanku
I trąbić wkoło co godzina,
— Ażeby nie spał starowina,
Lub nie chciał obowiązków zbywać. —
A znów co kwandrans przyświstywać.
Budynków mnóstwo tu się tłoczy,
A z pośród nich przywabia oczy
Czerwony, wązki dach klasztoru,
Co nisko usiadł, bez splendoru,
Bez wież, bez hojnych antenatów,
I mieści — Ojców Reformatów,
Co od ubogich strawę mają
I ją ubogim udzielają. —

Pod nosem kolejowy dworzec,
— Czy im przyjemny, trudno orzec, —
Szeroko dość się rozprzestrzenia
I dawną cechę miasta zmienia,
Roznosi gwizd i szum i wrzawę,
Odbiera ludziom swojską strawę
I innej ich fabrycznej uczy,
A z której tylko żyd się tuczy,
Bo tak tam praca roździelona
Do maszyn i do ludzi grona,
Że człowiek się maszyną staje
I co ta praca jemu daje,
Co żydom, nie potrafi zliczyć, —
A w służbę, to się musi wćwiczyć
Tak, jak wskazówka na zegarze.
Poniżej Mnisze i Garbarze
Na samym brzegu Sanu leżą
I złotem placów swych nie mierzą,
Gdyż pełne trawy i swobody
Są wszędzie place i ogrody.
Za dworcem na równinie nudnej,
Przy drodze lwowskiej, bardzo ludnej,
I przy gościńcu z Dobromila
Już więcej domów się wychyla. —
Przedmieście lwowskie one tworzą
I szybko się przez kolej mnożą. —
A za Reformatami w głębi
Już tylko się maleńko zębi
Bakończyckiego zamek dworu,
A potem wszystko w mgle przestworu
Uchyla się przed zwykłym wzrokiem,
Aż znowu kopiec go podskokiem
Napowrót zajmie, dumać każe,
Dlaczego tej pogańskiej marze
Zachciało wznieść się nad krzyżami
I to pomiędzy katedrami?....
Gdzie w grzbiet się już Zniesienie zniża
I więcej ku zamkowi zbliża,
Wystaje mniejszy tam pagórek
Mieszczący w sobie słynny ciurek.
Tu każdy student często chodzi,
Pragnienie zimną wodą chłodzi,
Winduje się popod trzy krzyże,
Oczyma i uszyma strzyże,
Że tak tam stromo i tak ładnie,
A chociaż czasem i upadnie,
Choć mu zamroczy przed oczyma,

To przecież nic go nie powstrzyma
Uganiać tu po stromych górach,
Zaułkach, skałach, jamach, dziurach...
  Poniżej na spadzistym stoku
Domeczki się z każdego boku
Co raz to liczniej góry czepią,
Im niżej w dół, tem wyżej sklepią.
Podzamcze jest ich tutaj miano,
Gdyż popod zamkiem je stawiano.
Z niem zaraz już się łączy rynek.
Wygląda, jakby z poza skrzynek,
Co zewsząd go tu otoczyły,
Lecz przecież całkiem nie zakryły,
Bo na pochyłym gruncie leży.
A prosto katedralnej wieży
Widnieją nieco wielkie schody,
Po których tylko naród młody
Od mostu pnie się ku katedrze,
Bo tędy się najprędzej wedrze.
A dalej, bez zieleni świeżej,
Co raz to gęściej, co raz szerzej,
Co raz brudniejsze kamienice
Żydowskie tworzą już ulice
I tuż żydowskie tworzą miasto
Cuchnące jak zatęchłe ciasto
Lub jak szpitalne zgniłe prycze.
  Pod górą ruskie już Władycze
Od cerkwi aż ku wieży schodzą.
Studenci po nich okiem wodzą,
Bo tu najliczniej się osiedli,
A którzy większą nędzą zbledli,
Ci tęsknym spozierają wzrokiem
Na dom pod samym cerkwi bokiem,
Gdyż tam są ruscy teolodzy,
A przy nich żywią się ubodzy.
  „Do wody!“ hasło im wychodzi,
„Już teraz ona nie zaszkodzi!
A więc ją pić możecie śmiało!“
Lecz im się wody odechciało,
Bo każdy szuka swego kątka,
Lub gdzie go jakaś prze pamiątka,
W widoku miasta cały tonie,
Aż mu się zapłoniły skronie
I nim nie może się nacieszyć! —
„Pod górę naprzód! a nie spieszyć!“

Tam na górce brzoza płacze
I gałązki zwiesza,
A na brzozie wrona kracze
I powietrze miesza:
Smutny brzoza chyli czub,
Wietrzyk po nim gra,
Tępy wrona ostrzy dziób,
Wrzeszczy głośno — kra!

Naprzeciwko jest kaplica,
Która serca koi,
Pod kaplicą jakby świéca
Rusałeczka stoi.
Biało się kaplica lśni.
Jasno błyszczy krzyż,
Czarno Rusałeczka śni,
Z włosów skubie piérz.

Ciężko wzdycha coś niewiasta,
Włosy rwie na głowie,
Drogą jadą prosto z miasta
Jacyś dwaj panowie:
Rusałeczkę ściska ból,
W oczy pędzi łzy,
Panów toczy żądzy mól,
Wywołuje gzy.

Za kaplicą ludzie wiejscy
Pługiem ziemię orzą,
A panowie patrzą miejscy
Na Rusałkę hożą:
Ludzie znoszą ciężki znój,
Bogu modły szlą,
A panowie krzyczą — stój!
Oczy im się szklą.

Jeden się w kubraczku biedzi,
Co ogonem myrda,
Drugi futro ma z niedźwiedzi,
Co po ziemi fyrda:
Jeden ma zgolony pysk.
W nogach skoczny pląs,
Drugi w ślepiach dziki błysk,
Nastrzępiony wąs.

Rusałeczka w Bożej męce
Całą duszą tonie,
To do krzyża wznosi ręce,
To pociera skronie:

„„Wielki Boże, ratuj mnie!““
Wzdycha, wzdycha wciąż,
„„Nie daj zginąć dziatkom nie!
Jak mi zginął mąż.““

„Gołąbeczko, czy się boisz?
Pokaż przecie oczy!“ —
Czemu tu tak smutna stoisz,
Co ci duszę tłoczy? —
„Patrz, jak ciepły wietrzyk dmie
Z południowych gór!“ —
Coś mi twoja skóra schnie,
Zbladła jakby mur.

„„Pany życie mi zatruły,
Ciężko serce boli,
Bo niewinnie męża skuły,
Wzięły do niewoli!
Przepadł, przepadł mi mój stróż,
Ręce wiążą mu,
Odtąd nigdy, nigdy już
Nie mam, nie mam snu!““ —

„Czemu trują twe zaranie
Takie widma czarne?“ —
Co się stało, nie odstanie,
Porzuć myśli marne! —
„Wszakżeż cię ten mąż twój bił,
Ja zaś serce mam!“ —
Szkoda twoich młodych sił,
Ja ci służbę dam!

Rusałeczkę przeszło mrowie!
Gdy spojrzała w ślepia,
Jakie im też głupstwa w głowie,
Co za żądza czepia:
Ten z ogonem jakby wąż
Ma zatrutą ciecz,
A ten tyran a nie mąż:
„„Precz mi z oczu, precz!““

Za kaplicą ludzie wiejscy
Pług na ziemi kładą,
A panowie drogą miejscy
Już z powrotem jadą:
Ludzie chwalą Bożą moc,
Z miejskich panów drwią:
Nie mów panie naprzód hoc!
Bo zapłoniesz krwią! —

I naprzód po pod górę zwolna
Drużyna maszeruje szkolna,
A kurz jej teraz nie opyla,
Gdyż droga ciągle się nachyla
Towarzyszący tłum gawiedzi
Już także więcej ich nie śniedzi,
Bo od małego ich spoczynku
Pobiegło wszystko w dyrd do rynku
I nię ma nic — jak gdyby splunął. —
   Na lewo las się już wysunął,
Z wąwozu już na brzeg się tłoczy,
Zielenią poi wyschłe oczy.
Powietrzem świeżem czyści płuca
I z flegmą dawny kurz wyrzuca,
W nos bije woń żywicznej sosny,
A w ucho ptasząt śpiew radosny.
Studenci dobrze las ten znają,
W nim bowiem często przebywają
Wspinając się na wszystkie żberki,
Że aż ich nieraz bolą nerki,
Za orzechami laskowemi,
Gdy ich nie można dostać z ziemi,
A które też po żberach rosną.
Czy to jesienią, czy to wiosną,
Czy skwarnem i gorącem latem,
Tu kamrat schodzi się z kamratem,
By w piłki zagrać na polanie,
Gdy jeszcze wolną się zastanie,
Lub w inny się zabawić sposób,
Jak więcej tu się zejdzie osób.
   Pociesznie skaczą tu wiewiórki:
Dopiero liże swe pazurki
Spokojnie siedząc na gałązkach
A już bądź w susach, bądź też w pląskach,
Na drugiej, trzeciej, czwartej sośnie
Z podełba się spoziera skośnie,
A gdy ją student chyżo ściga,
To tylko mu ogonem miga.
   Sośniną u swych nóg zarosła
Na Prawo góra się podniosła;
Pod jej osłoną karczma stoi,
Tłumami jednak się nie roi,
W około puste są jej ławy,
W kręgielni nawet pełno trawy,
Ze słupów zdjęty gjętki reczek,
Widocznie jeszcze brak wycieczek,
Widocznie brak uroczystości,

Co tu sprawiają ludzie prości!
I student czasem tutaj zajdzie,
Gdy tylko parę centów znajdzie,
Bo tu go pędzi skwarna spieka,
By wypił choćby szklankę mleka.
Powszechnie jednak u studentów
Kieszenie opróżnione z centów,
Na wodzie musi więc poprzestać,
Jeżeli go na mleko niestać.
A źródeł mnóstwo tu w tym lesie
Ku strumykowi wodę niesie!
A karczma nieraz za daleko
I słono każe płacić mleko!
A może dadzą mu pomyje
Lub też popłukowiny czyje?
Pfe! — Woli wodę, woli, woli,
Bo karczma soli, brudzi, goli,
A nawet ludzi kładzie w rowie.
  Widaczem się ta karczma zowie,
Bo ztąd się Przemyśl już odsłania
I kusi wciąż do oglądania
I wstecz ku sobie głowy kręci,
Na miasto często więc studenci
Pod górę idąc krok za krokiem,
Dorywczym spozierają wzrokiem.
  Jak też ta cerkiew dmie się górno!
A jak szeroko, jak czupurno!
Zasłania całą Cebulankę,
Jak gdyby marną jaką ściankę;
Nad samym rdzeniem stojąc miasta
Spogląda z góry jak niewiasta,
Czy też dziateczki się nie czubią,
Czy żyją w zgodzie, jak poskubią,
Czy nie potrzeba ich przywołać,
Pod swoję ich przytulić połać,
Gdy bole swoje jej wynurzą,
Lub skarcić gniewnie, gdy zasłużą. —
A dzwony? — Aż się serce kurczy
Na widok sam, Jak Iwan burczy,
Porusza się u swego dylu,
By święto grzmieć starego stylu,
I patrzysz się z wewnętrznym strachem,
Czy nie rozniesie swym zamachem
Calutkiej wieży ze dzwonami,
I oczy ci zachodzą łzami,
Czy głowy temu nie roztrzaska,
Co pod nim trzyma koniec paska

I na nim serce dzwonu wodzi,
I dreszcz po ciele cię przechodzi,
Kurczowym serce ściska lękiem,
Czy nieustannym strasznym jękiem
W około wszystkich nie pogłuszy....
Aż lżej się robi w sercu, w duszy,
Gdy grzmieć nareszcie już przestanie.
A grzmisz, przemożny ty Iwanie,
Na Jordań, takie wielkie święto,
Że także strojnie i opięto
W paradzie wszystko występuje,
Co tylko w mieście się znajduje
Z gimnazjum, sztuby i normałki,
Z panieńskiej szkoły i realki,
I wśród mundurów, futer, pluszów,
I stosowanych kapeluszów,
Wśród błysku szabel, szpad pobrzęku,
Migotu świec i dzwonów jęku,
Wsród flaszek, garnków, dzbanów, stągwi,
Obrazów, krzyżów i chorągwi,
Ogłuszającej gry moździerzów
I brawurowych salw żołnierzów,
I tłumów bez różnicy stanu,
Prowadzi z cerkwi aż do Sanu
Władykę, aby wodę święcił,
Z procesją całą tu się skręcił,
Gdzie wyrąbany krzyż na lodzie
I pełno ludzi jest w obwodzie,
Że aż się lód pod ludem zgina,
A choć się mrozem oddech ścina,
Snieg krzepko pod nogami chrupi,
Chce każdy słyszeć głos biskupi,
Zobaczyć jego świetne szaty,
Infułę, berło i ornaty,
Być świadkiem ceremońji całej
Tak uroczystej i wspaniałej,
I mało wzroku nie wytęży
Ku orszakowi ruskich księży.
  Na Nowy Rok starego stylu
Poruszasz się u swego dylu
I grzmisz przemożny ty Iwanie,
Następnie w ruskie Zwiastowanie,
I w dzień patrona na Iwanka,
Na kiermarz wołasz chłopa, panka,
I zewsząd ściągasz sadowników,
Kupczyków, żydków, rzemieślników,
Co mają towar do pozbycia

Lub grosz potrzebny do nabycia,
Co chcą przeczyścić swe sumienia
Lub tylko gasić swe pragnienia,
Potężnie najeść się, upoić
Lub inną żądzę zaspokoić,
Gromadzisz zewsząd różne tłumy
I każesz modlić się do sumy,
Po sumie zaś w te trzy dni w roku
Wypuszczasz lud od swego boku
Na jarmark, kupna i gościny,
I w górę wznosisz ruskie miny,
Bo najwyraźniej, jasno, śmiało,
Każdemu serce twe zagrzmiało,
Że Przemyśl był już protoplastem
I pozostanie ruskiem miastem!
A wszędzie się znajomych spotka!
Pod cerkwią zaraz wita ciotka:
O mój gołąbku, pójdźżeż do mnie!
A gdy się ku niej zbliżysz skromnie,
Z całego serca cię całuje
I wszystkim w koło pokazuje,
Jak chwacko urosł jej siostrzeniec.
Jak piękny zdobi go rumieniec,
Jak wąsy mu się zaczerniły,
I by pokazać, jakeś miły,
Pieroga ciągnie ci okruchy
Z pod serca prosto, z za pazuchy,
I do jedzenia cię zniewala,
I w obec wszystkich ci przechwala,
Jak dobrze piróg upieczony,
Jak zcytwarzony, pieprzny, słony,
I oko łzami jej zachodzi,
I z płaczem dalej ci wywodzi,
Coś w życiu kiedy od niej dostał
I jak ją za to swak wychłostał,
Jak ona bardzo ciebie kocha!
I co raz głośniej łka i szlocha,
I puścić cię z uścisków nie chce.
Wyrywasz się, — w tem ktoś cię łechce
Znacząco z tyłu. — Któż to taki?
To — swak podaje ci tabaki,
Z radości sam donośnie kicha,
Że tak cię z tyłu podszedł z cicha.
Obciera sobie wąsy połą,
Co lśni przesiąkłą czarną smołą,
I — jeszcze z tobą się nie wita.
Zażywasz — psich! — „Mnohaja lita!

Na zdrowie!“ swak ci ciągle życzy
I co raz głośniej, silniej krzyczy
Udając jednak, że na ucho:
„Ta swak nie wita się na sucho,
Bo ma tabakę na swych wargach!“
Po długich wreszcie — długich targach
Kupuje żółte dwie kokiołki
Zczerstwiałe, twarde jakby kołki,
I do pruchnickiej ciągnie lady,
„Ze swakiem nie ma, nie ma rady!
Tabakę pierwej spłukać trzeba,
Pytlowanego zjeść też chleba
Potrafi student z każdej klasy!“
I tu kupuje sztuk kiełbasy,
Co czuć ją nie tak bardzo wieprzem,
Lecz za to czosnkiem, za to pieprzem!
I ciągnie dalej aż do rynku
Do jak najbrudniejszego szynku,
I tu częstuje cię nieboże,
Czem tylko dusza jego może,
Tabaką, piwem kwaśnem, zgrzanem,
Kiełbasą, wódką, octem, chrzanem,
Kokiołką, fajką, papierosem,
Co tylko zwęszy swoim nosem,
Traktuje wszystkiem choćby trocha
By ci pokazać, jak cię kocha!
I kochał by cię tak do rana,
Na szczęcie jednak zadyszana,
Spocona wpada twoja siostra
I mówi śpiewnie chociaż z ostra:
„Ta dzież wy macie rozum swaku?
Ja szukam go jak w korcu maku,
A wy go żeście tu przywiedli?
Spokojnie sobie tu usiedli,
Zabrali się do poczęstunków,
Jakby nie było już sprawunków!
Ta bracie, chodźżesz do mamuni!“
I kroczysz z siostrą w starej guni
I znów mamuni szukasz wszędzie,
A gdy zmęczona siostra siędzie,
Popuści z guni nieco krajkę,
To musisz chwalić kacabajkę,
Co sobie tanio dziś kupiła
I wciąż zgadywać „a za siła?“
Przypadkiem węzeł ten rozcinasz,
Bo naraz sobie przypominasz,
Że swak żegnając ciebie czule

Coś w rękę wsunął ci w bibule,
Lecz „żeby ciotka nie wiedziała,
Bo nawet by mi spać nie dała!“ —
I liczysz w myśli: pięć od ciotki,
Od swaka dziewięć jak błyskotki,
Więc dotąd przyniósł mi odpustek
Gotówką już „czternaście szóstek!“
Niechcąco głośno się wyrywa,
„Przezedwu,“ — siostra się odzywa,
„Przezedwu dutków z ledwą biedą!
A wo! mamunia tamok idą,
Tu, dzie ujanka stoją w dzwierzach,
Wo tu; pod wieżą przy kuśnierzach!“
Pod wieżą wujko zaperzony
Na wszystkie się wykręca strony,
I na wujankę kożuch wsunął,
Ogląda, mnie, nareszcie splunął,
Dopada majstra, z hukiem klaska,
— Aż sprzączka pęka mu u paska, —
„Półosiemnasta!“ — „Jutro, jutro!
Za taki kożuch, takie futro!“
I w kołnierz z całej siły wali,
Aż pękł wujence sznur korali.
„Ostatnie słowo: osiemnaście!“
„Po pierwej portki se przypaście!“
Odburknął majster z wielkim gniewem,
I ochłódł wujko po za drzewem,
Zawiązał pasek na dwa guzy,
Obtrzepał kredę z siwej bluzy,
Koszulę ściągnął po kolana
I znowu nagle zbladł jak ściana,
Gdy między ludźmi majstra zoczył,
Pomiędzy nich piorunem skoczył,
„Bodajżem dziś nie wyszedł z miasta,
Jak więcej dam! — Półdziewietnasta!
Nie chcecie jeszcze? — Dziewietnaście!“
„Tam dostaniecie za szesnaście
I taniej jeszcze — z Husakowa!
Dwadzieścia trzy! — ostatnie słowa!
Z Pruchnika nikt wam taniej nie da.“ —
„Za półdwadziesta majster sprzeda?
To gadaj przecie! — panie! — mów no!
Nie? — Macie już dwadzieścia równo!“
I z całej siły majstra huknął,
Za rękę szarpnął, butem stuknął,
Odtrącił gniewnie do framugi,
Odskoczył, splątał, padł jak długi,

A wszystko w jednem oka mgnieniu. —
Powstaje, siada na podsieniu,
Rozgląda chwilkę się dokoła,
Palcami pot obciera z czoła,
Wyciera ręce o nadołek,
Przewraca koło majstra stołek
Ze złością mu pod nosem spluwa
I do wujanki się przysuwa:
„Dwadzieścia nie chce! twarda dusza!“
Wujanka ramionami rusza
I pewnie każe coś nałożyć,
Bo czyż musiała tego dożyć,
By kożuch miała lada plucha
A ona marzła bez kożucha?
I pewnie kożuch mocno chwali,
Bo pchnięty jak sprężyną z stali
Do pana majstra pędzi cwałem:
„I jeden! — Dość już, dość już dałem!
No, panie majster, będzie zgoda?“ —
„Nie będzie! Szkoda was też, szkoda!“
I obaj przy wujence stają
I wprzód i w tył ją wykręcają,
Na wszystkie boki szarpią, siepią,
Pukają, skubią, trzepią, klepią,
Chwytają wreszcie jak koguty:
„Opuśćcież przecie coś na buty.
Dwadzieścia i półtora chcecie?“
„Dołóżcie jeszcze jeden przecie!“
„I dwa!“ Łup! Łup! — i w jednej chwili
W okółko obaj się skręcili.
Odsapnął wujko, spostrzegł ciebie:
„I klejnot znajdzie się w potrzebie!“
Z zapałem wita temi słowy,
I czeka cię traktament nowy,
„Bo gdy się trafi dobrze kupić,
To można już się nawet upić,“
Wujaszek ci we wierszach głosi
I z majstrem cię na litkup prosi.

W nowym pałacu, w przepysznej sali
Strojnej w weneckie zwierciadła,
Kręci się służba w frakowej gali;
Wina roznosi i jadła.

Pod mnóstwem sreber stół się ugina,
W koło lsnią złote puhary,
W pośrodku butle słodkiego wina,
Słodkich łakoci bez miary.

Goście bogaci przy stole siedzą,
Znać po ozdobach z brylantów,
Z rzędu już piątą potrawę jedzą,
Pieczeń przyprawnych bażantów.

Wszyscy należą do jednej kasty,
Wszystkich Mamona jest bogiem,
Wszyscy na jej cześć wznoszą toasty,
„Mnożyć!“ jest wszystkich nałogiem.

Bankier gospodarz suto częstuje,
Prosi, zachęca i gości,
Radość się w jego oku maluje,
Ręce zaciera z radości.

„Mnóż nam pałace, brylanty, krocie!
Gość się doń pierwszy odzywa,
„I tak opływaj w srebrze i złocie.
Jak pączek w maśle opływa!“

Toast przyjęto hucznym okrzykiem,
Puhar o puhar zastukał,
I jednym do dna spełniony łykiem
Sflegmione gardła przepłukał.

„Za te życzenia dzięki o dzięki!“
Bankier rzekł pełen wesela,
„I wam fortuna niech z szczodrej ręki
Hojnie swych darów udziela!“ —

I co raz bardziej ochota wzbiera,
Wciąż się podsyca tokajem,
Bankier swych gości, goście bankiera
Wnoszą toasty nawzajem.

Już tokaj szumieć zaczyna w głowie,
Wrzawa, uciecha, gwar rośnie,
W tem „Puhar w górę! zacni Panowie!“
Krzyknie ktoś z gości donośnie.

„Niech żyje giełda z pyłkiem motylim,
Lotnej fortuny narzędzie,
I niech tu, gdy jej toast wychylim
Z skrzydłem złocistem przybędzie!“

„Niech żyje giełda!“ z rykiem wyleci,
„Wi-i-wat!“ w sali zagrzmiało,
„Wi-i. . . .!“ powtórzyć chciano raz trzeci,
„Wat!“ jednak w krtani zostało.

Bo nagle strach im zęby wyszczerzył,
Dziko ślepiami zabłysnął,
Pulchniutkie włosy jak szczeć najeżył,
Gwałtownie gardła ich ścisnął;

Bo nagle jakby piorun uderzył,
Grom tuż w powietrzu zawisnął,
Każdy struchlały w duchu już nie żył,
Więcej już słówka nie pisnął;

Bo nagle jakimś piekielnym czarem
Wrosły w posadzkę ich nogi,
Każdy jak wryty stanął z puharem,
Ruszyć nie może się z trwogi!

Bo nagle wszyscy zbledli jak chusta
W nieme się głazy zmienili,
Rozwarte oczy, rozwarte usta,
We drzwi bezwładnie wlepili.

A we drzwiach stoi syn gospodarza,
Twarz mu pożółkła boleścią
I zmięta postać jasno wyraża:
Z straszną przybyłem tu wieścią!

Gdyż z natężenia w głowie mu mroczy,
Szum głuchy roi się w uszach,
Drgają muszkuły, krwią zaszły oczy,
Swiadcząc o strasznych katuszach.

Gdyż jakby w febrze dzwonią mu zęby,
Oczy się kręcą w około,
Trzęsą się wargi, pieni się z gęby,
Pot występuje na czoło

A przecież darmo, darmo się sili,
Język go jakoś nie słucha,
K..kr..kra..kch..krach! — po długiej chwili
Jęknął i upadł bez ducha.

„Krach!“ jednem w sali jęknęło echem,
„Krach!“ zawtórzyły mu mary,
„Krach!“ wyrzucone z dziwnym pospiechem
Dziwnie zabrzękły puhary.

I nagle goście jak oparzeni
W drzwi się rzucili bez ładu,
Za chwilkę nie ma ani ich cieni,
Znikli gdzieś wszyscy bez śladu.

Tylko gospodarz w krwi własnej broczy
Wieścią okropną rażony,
Ziewa śmiertelnie, zamyka oczy
I już opuszcza miliony. — —

W nowym pałacu, w przepysznej sali
Strojnej w weneckie zwierciadła,
Przed chwilką goście biesiadowali,
Teraz śmierć głucha usiadła.

I został pałac, zostały krocie
Sztucznie zbierane do kupy,
A przy klejnotach, srebrze i złocie
Martwe zostały — dwa trupy!

I naprzód po pod górę zwolna
Drużyna maszeruje szkolna.
Na prawo droga się skręciła.
Tu góra miasto zasłoniła,
Odkryła jednak swoją pozą
Zasańskie góry z całą grozą,
Ku nim więc idąc krok za krokiem
Dorywczym student patrzy wzrokiem,
Jak one stromo w wiecznym cieniu
Zbiegają zewsząd ku Zniesieniu
I z niem się łączą jakby z głową
Majestatyczną i surową,
Jak kryje widok ich opończa
I jak je kopiec znów zakończa
Wystając z boku jakby ucho. —
Naokół teraz głucho, głucho!
Nie widać nigdzie twoich ojców,
Nie rżą już konie twych mołojców,
Nie słychać nigdzie broni szczęku,
Ni głosu chanów, ofiar jęku,
I austryjacki teraz żołnierz
Aż po pod sam ci wylazł kołnierz,
I, by tem pewniej cię zbezcześcił,
Prochownię swoją tu umieścił.
Straszliwe cię tu wzniosły hordy
Siejące w okół strach i mordy,
A które często swe zagony
W przemyskie zapuszczały strony,
Znaczyły szlak kłębami dymu
I uwoziły aż do Krymu,
Co tylko im pod łapy wpadło,
Słoninę, mięso, tłuszcze, sadło,

Owoce, chleby, miód, bydlęta
A nawet dzieci i dziewczęta
I ludzi brały do niewoli,
A taki miały wzrok sokoli,
Że już na milę wszystko zoczył,
A pęd, co tylko koń wyskoczył,
A słuch, że już rozpoznał zdala,
Kto w którą stronę się ocala,
A kto naprzeciw i zkąd goni,
I z jakiem wojskiem, w ile koni,
A węch, co zawsze łupy wykrył,
Choć ziemią byś je nawet przykrył,
A żądza ich nienasycona
Bydlętom, ludziom pruła łona,
Gdzie jakie tylko Tatar zdobył,
Pragnienie Tatar mlekiem z kobył
Apetyt końskiem mięsem sycił,
Gdy głód go nieco więcej schwycił,
Nie wiedział jeszcze co zdobędzie,
A które gniótł w największym pędzie
Po nieprzejrzanem stepów błoniu
Pod siodłem na spienionym koniu
Dopóki nieco nie skruszało!
Kto z duszą tylko wyszedł cało,
Dziękczynne Bogu zsyłał modły,
Że Tatar go nie schwycił podły,
Przed którym skrył się w jakiej jamie,
Niebawem jednak ręce łamie
I ciężko jęczy w niebogłosy,
Bo wszędzie tylko gruzów stosy!
Gdzie były stajnie i chałupy,
Tam teraz tylko węgla kupy,
Gdzie brogi z sianem i stodoły
Ze zbożem, które tak wesoły
Tam składał; — teraz sterty zgliszczy,
Po których wiatr przeciągle piszczy
Roznosząc odór spalenizny.
Oj, z dymem poszły ojcowizny!
Oj, z dymem poszło wszystko zboże!
I bydląt nie ma! Boże, Boże!
Zabrane wszystko przez Tatarów
Do niedościgłych stepu jarów!
  Przed Tatarami na wyścigi,
Gdy ich zapowiedziały migi
Błyszczących, smolnych znaków w górach,
Chroniono się w przemyskich murach
Ze wszystkiem, co kto zabrać zdołał,

Bo tu ich mocny zamek wołał,
Bo miejskie ich wabiły mury,
Zaciężne wojsko i ich ciury
I tu wraz z wojskiem choć z ukrycia
Bronili swego mienia, życia;
Tu także Tatar swe namioty
I swój błyszczący sztandar złoty
Ze szczytu góry pokazywał
I często się do szturmu zrywał
I wojsko utrzymywał w szachu
I ludzi w gorączkowym strachu,
Tymczasem jednak swe zagony
Na wszystkie ztąd rozsyłał strony,
Na łup pokaźny zewsząd czekał
I tak ztąd długo odwrót zwlekał,
Aż łup opłacił podróż długą
Zgliszczami tlącą i krwi strugą,
Lub gdy liczniejsze wojsko zwietrzył,
Bo wtedy sam już trwogą pietrzył.
Hej, przetrzebiły już się lasy!
Nie wrócą się dawniejsze czasy!
I śladu nie ma już z Tatarów....
Zniknęli jakby dym z pożarów! —
A wy, dawniejsi cni rycerze
W głębokiej wychowani wierze,
Co szliście skocznie jak do tańca
Zatwardziałego chrzcić pohańca
W żelaznej takiej ciężkiej zbroi,
Iż w niej dziś nikt się nie ostoi
I nikt się nawet jej nie ima,
Rycerze dziarscy z pod Chocima
I z pod Grunwałdu i z pod Wiednia,
Co jasno czoło wam rozwiednia
Swietlaną zdobiąc aureolą,
Gdybyście tak Wszechmocną wolą
Powstali teraz z grobów waszych,
Rozglądli się po ziemiach laszych,
Powiedźcie prawdę cni rycerze.
Czy wielka litość was nie zbierze,
Gdy miast rycerzy tylko ciurów,
A zamiast zbroi płat mundurów
Zdziwione ujrzą wasze oczy?
Wy, coście w mig jak koń wyskoczy
Ze strasznym chrzęstem i łoskotem
Stanęli nagle pod namiotem,
Przed którym sztandar lśnił proroka,
I z tym sztandarem jak epoka

Z pośrodka Turków wyszli dzielnie
Na wszystkie boki tnąc piekielnie,
Wy, coście z chęcią i podniosło
Bój traktowali jak rzemiosło
I od dzieciństwa w nim ćwiczyli
I nim przesiąkli, weń się wżyli,
Wy, których nawet już turnieje
Ochoczo opiewają dzieje,
Powiedźcie prawdę cni rycerze,
Otwarcie, śmiało, jasno, szczerze,
Co teraźniejszy wojak warta? —
Ot, ludzi się do kupy zgarta
I pędzi to jak stado wołów
I z luf wyrzucać każe ołów....
  Puf! puf! puf! moździerz się odzywa
I od zadumy cię wyrywa.
Chorągiew górą zajaśniała
I „wiwat“ huczy szkoła cała,
I „wiwat!“ jeszcze dmie w powtórkę,
Gdy wyszła na ostatnią górkę,
Już bliskim cel jest tej podróży,
Nikogo ona już nie znuży,
Nagrodzą się pochodu trudy.
Bo w dali tam już Budy! Budy!
I „wiwat!“ krzyczą lasy echem.
A młodzież śpiewa już z pośpiechem:

Z tamtej strony Sanu pluska w wodzie wrona
A studencik myślał, że to właśnie ona:
Pije wodę wrona i skrzydłami trzepie,
Student się znacząco po kieszeniach klepie.

Po kieszeniach klepie i cencików szuka,
A aniołek z okna filuternie kuka:
Znalazł student centy, szybko siadł do łodzi,
Ona zaś po schodach prędko na dół schodzi.

Prędko na dół schodzi, biegnie wskok do brzegu
I studenta widzi w jak najszybszym biegu;
Już na środek Sanu chyżo przywiosłował,
Podniósł wzrok przed siebie, mocno zafrasował.

Mocno zafrasował, bo tam siedzi wrona,
Jeśli wzrok nie myli, nawet bez ogona.
A cóż to za licho wronę tę przyniosło?
Aby ją napłoszyć, w górę podniósł wiosło.

W górę podniósł wiosło, wrona nie wzlatuje,
Student przeto ku niej wodę wiosłem pruje,
Patrzy się w około, w dali tylko żydzi,
Macha znowu wiosłem, — wrona z niego szydzi.

Wrona z niego szydzi, szydzi najwyraźniej,
Już go złość porywa, pędzi przeto raźniej.
Może ją kto splątał, może ją co boli?
Ja cię wnet wybawię, wyrwę z tej niewoli.

Wyrwę z tej niewoli, ogon ci rozwiążę,
Gdy wysiędę na brzeg i do ciebie zdążę
Student przeto na brzeg łódkę swą popycha,
Biedna, biedna wrona, ledwie jeszcze dycha!

Ledwie jeszcze dycha, student ból jej czuje
I z zapałem całym ogon rozwiązuje,
Nie spostrzega wcale, że tu z po za czaty
Milczkiem się przysuwa groźny pan brodaty.

Groźny pan brodaty b'czyk w ręku trzyma
I studenta spłasza mierząc go oczyma:
„Nie rusz mego ptaszka! Gapiu ruszaj sobie!“
A aniołek marchew paluszkami skrobie.

Oj, wy aniołki, aniołeczki!
Kładziecie pewnie do torbeczki
Kajety, pióra i ołówki,
Martwicie małe wasze główki,
Czy wam sukienka leży ładnie,
Lub, jak tam w szkole dziś wypadnie,
Czy dzisiaj która dobrodziejka
Nie będzie syczeć znów jak żmijka,
Gdy świeżą grzywkę twoją zoczy,
Lub, czy profesor cię nie spsioczy,
Nie nazwie jakim sowizdrzałem,
Zakładu śmieciem i zakałem,
Lub innych rzeczy się nie dowiesz,
Gdy lekcji dobrze nie odpowiesz,
Czy w domu nie sklną nieprzyjemnie,
Gdy suknia się cokolwiek zemnie
Lub w ławkach szkolnych się zapruszy;
Nie pomyślicie nawet w duszy,
Co porabiają też studenci,
Jak każdy żywo głową kręci,
Rozgląda się na wszystkie strony,
I jakim każdy rozpalony

Zabarwił się prześlicznym różem!
A jak zabawnie przesiąkł kurzem:
Jak skoczna u każdego mina!
Jak każdy się na palcach wspina
I patrzy po za karczmy mury,
Zkąd jeszcze mu zabłysły z góry
Przeróżne barwne chorągiewki!
Jak wtórzą lasy jego śpiewki!
Jak chyżym na dół idą krokiem
A nawet z pląsem i podskokiem!
Oj, biedne, biedne aniołeczki!
Nie macie żadnej dziś wycieczki
I waszej nic się nie śni główce
O żadnej pewnie dziś majówce,
A tu, za karczmą dla popasu,
Przy drodze wychodzącej z lasu
Prześliczna dzisiaj brama stoi,
Chorągiewkami aż się roi
I wszystkich oczy na się zwraca.
Studencka ją tu wzniosła praca,
Lecz pod nadzorem profesorskim
Przesiąkłym bardzo duchem dworskim,
Więc każdy wie, że — ot na zbycie —
Największa i na samym szczycie
Chorągiew czarno-żółta wieje.
Co krwi nikomu nie rozgrzeje,
Polakom mile zajaśniała,
Chorągiew ta — czerwono-biała,
Niebiesko-żółta wśród zieleni
Rusinom oczy barwnie mieni,
A ileż to tam barwnych wieńców
Jaskrawo lśni do óczmłodzieńców!
A w jakież zamaszyste kiście
Splecione różnobarwne liście!
Ta brama nas ku sobie woła,
Więc „wiwat!“ krzyczy cała szkoła.

Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tu boska toń, tu oddech boży
Promieńmi słońca cuda tworzy,
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Dziewicza woń otacza nas
A swieża błoń u nóg się korzy,
Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tu boska toń! Tu oddech boży!

Przecudny Maj zawitał nam,
Przyroda rajskie wdziała szaty,

Wonnemi kraj zakwitnął kwiaty,
Przecudny Maj zawitał nam!
Z zielonych raj wygląda ram,
Słowiczy gaj szle ton bogaty,
Przecudny Maj zawitał nam,
Przyroda rajskie wdziała szaty!

Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią,
Żywiczną las wytryśnie wonią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Noc zwabi nas do strojnych gniazd,
By igrać wraz zalotów bronią,
Gdy błysną pasma nocnych gwiazd,
Co świat przed jasnem słońcem chronią.

Rozkoszy słój, miłości czar,
Tworzenia zdrój przenika nerwy,
Przyrody strój wabi bez przerwy
Rozkoszy słój, miłości czar!
I życia rój rozpala żar.
Dodaje bujnym płodom werwy,
Rozkoszy słój, miłości czar,
Tworzenia zdrój przenika nerwy!

Do dłoni dłoń! Hej naprzód w las!
Tu rajska woń otacza nas!

ZABAWY.

I.

„Mój tatko...“ — „No, i cóż ten tatko?“
„Ma taki piękny zbiór jak rzadko
Przeróżnych chrząszczy i motyli!“
„To pamięć myli cię!“ — „Nie myli!“ —
„Założył bym się z tobą, że ma!“ —
„A ja najpewniej wiem, że nie ma!“ —
„Et, osłem jesteś!“ — „A ty wołem!“ —
I wzięli by się w capy społem,
Lecz ich koledzy otoczyli.
— O co wam chodzi? Kto się myli?
I czegoż wy się tu kłócicie? —
„Ja pewnie wiem!“ — „A ja niezbicie!“
„Nie rycz no tak!“ „A ty nie szczekaj!“
— Poczekaj chłopcze, prrr.. poczekaj,
I powiedz przecie, o co idzie?
„Zachciało twierdzić się tej gnidzie...“
„I twierdzę że ma!“ krzyczy Olek,
„A ja że nie ma!“ wrzeszczy Bolek.
„Nie gniduj jednak, zjeść cię mogę,
Gdy łeb postawisz w moję drogę!“
„I pęknąć musisz, gdy cię zgniotę,
Na śmieć wyrzucę jak hołotę!“ —
„Nie becz że ty płaksiwy Olku!“
„A ty nie wercz złośliwy Bolku!“ —
— Powiedźcie nam też raz już przecie.
O co się tak ze sobą żrecie?
Co ma lub nie ma? — „„Ta ogonek!““
— A któż to taki? — „„Ta jelonek!““
I myślą wszyscy: — trzyszcz, szczypica,
Poświętnik, pływak, kałużnica,
Różowiec, cieśla, żuk, biedronka,
Hm! — wszystko, wszystko bez ogonka,
I gdzież ogonki chrząszcze mają? —

„„A czyż z kałduna nie wystają
Pokątnikowi złowieszczemu
Lub chrabąszczowi majowemu,
Czyż także nie ma go grochowiec?
Oj, jakie z was też stado owiec!““
Krzyknęli Olek tudzież Bolko. —
„Ja was rozstrzygnę!“ wrzasnął Polko
I gardłem łyka jakąś duszność,
„Obydwaj wielką macie słuszność!
Ogonek samiec ma, lecz żonka
Wędrować musi bez ogonka!“ —
Po salamońsku spór rozstrzygnął
I kontent, najpocieszniej dygnął.
I myślą wszyscy: — suka, psięta,
Owieczka, baran i jagnięta,
Kocurek, kotka, byk a krowa,
Z owadów chrabąszcz, chrabąszczowa,
Z pustyni tygrys, tygrysica,
Gdy samiec ma, ma i samica....
Objaśnij mądry Salamonie
Na żywym jakimś nam ogonie
Baranią arcymądrość twoję. —
„O zbaranienie się nie boję,
Lecz wam na myśli tylko szkapy,
Barany, owce, kozy, capy,
A taka wam nie znana ryba!“ —
„Guzego psa wynajdzie chyba!“
Zakrzyknął z całej siły Bolek.
„Guzego psa!“ zawtórzył Olek.
Parsknęli wszyscy. — „Wiesz mój drogi,
Czy ma jelonek jakie rogi?“
Zapytał Bolek Polka naraz,
„A ma!“ krzyknęli wszyscy zaraz,
„A ma!“ z zapałem Polko krzyknął,
„I nieraz jużem z bolu syknął,
Gdym między rogi włożył palce!“ —
— A któż, z zdziwieniem krzyczą malce,
Pomiędzy rogi palce wsuwa? —
— A czy jelonek także fruwa?
— A fruwa! — Cukier liże? — Liże! —
Pytania idą w tłumnym wirze
I zaraz na nie odpowiedzie.
Zamilkli jednak wnet jak śledzie,
Gdy znowu Bolko pomysłowy
Pytaniem wbił im klin do głowy:
„A ma samica także rogi?“
Bo „toście osły co do nogi!“

Powiedział wszystkim całkiem śmiało,
Gdy „ma!“ powszechnie się wyrwało.
„A kiedy ma!“ zakrzyczał Olek.
„A kiedy nie!“ zasyczał Bolek,
„Mój tatko ma samicę w zbiorze
To wiem!“ — „To mylisz się nieboże!
Innego ci pokazał chrząszcza,
Bo przecież tak jak u chrabąszcza
Jednakie wszystkie mają rożki
Jednakie głaszczki, równe soszki!“
„Przestańcież już zębami zgrzytać!
Ja pójdę księży się zapytać,
Co prosto w nas swój wzrok utkwili,“
Powiedział Polko i w tej chwili
Ku księżom się galopem puszcza,
I pewnie kwestję im wyłuszcza,
I pewnie nie ma odpowiedzi,
Bo dziwnie się ze sobą biedzi.
I miną wszystkich swą zasmucił,
Gdy z konsultacji tej powrócił.
„Et, szkoda czasu! — Ani kęsu,
Ni odrobiny nie ma sensu,
Za grosz nie ma!“ pod nosem mruczy,
„Co kto od księży się nauczy?“ —
— I cóż tam myślisz tak głęboko?
A pokażże nam swoje oko
I gadaj zaraz, z czem powracasz!
I cóż się tak po nosie macasz!
Rzucają zewsząd mu pytania,
Lecz Polko długo im się wzbrania,
Nareszcie zaczął z wielką męką:
„Ot, ksiądz Katabas machnął ręką,“ —
Gdy to kolegom swym malował,
Pociesznie ruchy naśladował, —
„Pod brodą potarł faworyty,
Obojczyk zsunął nieumyty,
Odchrząknął, nos palcami zdusił
I — ani słówka niewykszusił.“ —
— A mówże raz, a ksiądz Kapota? —
„Zachmurzył się jak gdyby słota,
Bo zlepła mu się tabakiera,
Nareszcie z skrzypem ją otwiera,
Wyciąga porcję z niej tabaki....“
— A kończże raz a nie bądź taki!
„Et, nie ma sensu odrobiny,
Więc szkoda nawet mojej śliny!“
— I cóż takiego ci powiedział?

— Ot, pewnie zburczał go, zniedźwiedział,
Że nawet mówić tego nie chce!
Już w taki sposób ktoś go bechce.
— A może nawet go wyczubił,
Że niepotrzebnie nos tam wściubił? —
„Ej nie! — Paluchy swe podnosi
I taką mi sentencję głosi:
Gdyby samica — rogów nie miała,
To by ich samcom — nie przyprawiała!“
To mówiąc, wkładał co pięć zgłosek
Z grymasem palce po pod nosek
Jak gdyby sam tabakę niuchał,
„A jam sentencję tę wysłuchał
I wracam zaraz jakby zmyty,
Bo jakiż sens jest w tem ukryty,
I gdzież takiego znajdzie capa?“ —
„Mój tatko....“ — „Wiecznie ten twój papa!
I jakim on też dygnitarzem?“ —
„Nie wiecie? — Przecież sekretarzem!“
Nadęto odpowiada Bolek,
„A to figura!“ rzecze Olek,
„Do mojej także chodzi matki
Sekretarz jakiś na herbatki,
Więc muszę kiedyś go wybadać,
Co za nauki trzeba składać,
By takim sekretarzem zostać.
Co za figurka! Co za postać!“ —
„Mój tatko skończył....“ — Szkoda czasu!
Nie po to przyszliśmy do lasu,
By kłócić się lub dysputować,
Lecz by zabawy tu pilnować,
Powszechne zewsząd słychać głosy,
„A w co się bawić? — „Rzućmy losy!“
„W owieczkę — wilka!“ „Nie! W zająca!“
„W tygrysa może?“ ktoś natrąca.
„Najlepiej w menażerję całą!“ —
„Tak, tak, tak! w menażerję małą!“
Ze wszystkich krzyczą stron wesoło
I łańcuchowe tworzą koło.

W około się kręćmy, w około,
A chyżo, ochoczo, wesoło!
Przyjmijmy tę myszkę do środka,
Nie puśćmy z za koła tu kotka.
Bądźże cicho myszko mała,
Nie piszcz głośno — fiau, fiau, fiau!
Bo by kotka cię ujrzała,

Schwycić mogła, — miau! miau! miau!
Choć łaskawą tę koteczkę
Głaskać można, — mru-mru-mru!
Lecz łakoma na myszeczkę,
Ej, pochwyci! — fiu, fiu, fiu!
Widzisz, jużeś, już w niewoli!
Jak ci teraz! — fe, fe, fe!
Nie gryź kotku, bo ją boli!
Puść też, puść ją! — we-we-we!

W około się kręćmy w około,
A chyżo, ochoczo, wesoło!
Nie puśćmy tu pieska do środka,
Bo prędko by schwycić mógł kotka.
Jak pies gada? — No, zaszczekaj!
Widzisz kotka? — hau! hau! hau!
Zwolna piesku! Stój! Poczekaj;
Nie tak prędko! — miau! miau! miau!
Strzeżże piesku swego nosa,
Bo zadraśnie! pfu! pfu! pfu!
Ej, to patrzy się z ukosa
Jak się kuli! — psu! psu! psu!
Bardzo miłe to pazurki?
Gadaj piesku! hau, hau, hau!
Dobierz ty się mu do skórki,
Prędzej, prędzej! — mia-a-au!

W około się kręćmy, w około,
A chyżo, ochoczo, wesoło!
I strzeżmy koźlątek tych kilka,
Nie puśćmy do środka tu wilka!
Prawda, masz apetyt wilczy?
Co, nie? wilku! — heee?
Niechże jednak jeszcze milczy,
Koźląt nie ma! me-e-e!
Cicho kozy! — Wilk ponury
Może schwycić! — nie-e-e!
Ej, już ostrzy swe pazury!
Idzież ty ztąd! — heee!
Widzisz, widzisz, mały capie?
Jużeś w zębach! — be-e-e!
Już i drugie w zęby łapie!
Puszczaj wilku! — heee?

W około się kręćmy, w około,
A chyżo, ochoczo, wesoło!
Nie puśćmy niedźwiedziu do środka,
Niech naszych baranków nie spotka!

Umiesz mówić kłapiuchu?
Zarycz przecie! — e! — e! — e!
Nie masz, nie! dobrego niuchu,
Nic tu nie ma! — be! be! be!
Nie tak prędko, hej, powoli!
Tak nie można! — Nieee?
Wprzód barankom damy soli,
Będą lepsze! — mnie! mnie! mnie!
Już na zadnich stoisz łapach?
Coś zobaczył? — eee!
Miodu ci zaleciał zapach?
Oj baranku! — beee!

II.

„Nie przyjmujemy, bardzo krzywo!"
Na świni chłopcy krzyczą żywo,
„Masz prosto dać, jak gdyby świeczkę!"
„To odrzuć mi na metę kiczkę,
Dam prościej!" chłopiec krzyczy z mety
I puszcza prosto. — Oj, niestety!
Na świni Jaś się aż zasapał,
Lecz już w powietrzu kiczkę złapał.
„Na bok! na bok!" zakrzykli z świni.
Następny chłopczyk ręce ślini,
Patyczek tępo zastrugany,
By nie mógł łatwo zrobić rany,
Z obydwu stron oglądnął szybko,
„Poczekaj! mnie nie schwycisz rybko!"
Po cichu mruczy po pod nosem,
Układa nieco go ukosem
Na samym górnym krańcu rowka,
Dobywa długi kij ze schowka,
Okrakiem po nad rowkiem staje,
Cokolwiek ziemię kijem kraje,
Swym przeciwnikom wzrok zakłóca.
Podważa kiczkę i wyrzuca.
„Nie dawaj susa! Nie tak nisko!"
„To odrzuć, odrzuć, bo za blisko!
Uważać! — chciałbym ja wam dopiec! —
Musiała tęgo palce popiec?
Gorąco w rękę? — Dmuchaj, dmuchaj!" —
„Palestrę kładź! A czaruj, chuchaj!
Tak, niby ci to co pomoże!
Celować muszę, byś w pokorze
Ustąpić musiał." I celuje
Powoli, choć go drugi szczuje:
„A prędzej rzucaj, rzuć raz przecie!"

„Ej, nie popasiesz już na mecie!
Na bok! na bok! bo jużeś zbity!“
Z tryumfem głosy brzmią ze świty,
Gdy ich przewodnik silnym rzutem
Palestrę trafił kiczki gnutem,
Że aż nad rowkiem się skręciła,
„Najtęższa już jest zbita siła!
Ujrzymy prędko się na mecie,
Bo reszta już się sama zmiecie!“
Wesoło krzyki idą z świni. —
Następny chłopczyk ręce ślini,
Surducik zrzuca, pierś odsłania,
„Co nam też ta pokaże kania?“
Że świni chłopcy drwią zuchwale,
„Po drwinach idą gorzkie żale!“
Gdzieniegdzie z mety się wyrywa,
„Popiecze czasem i pokrzywa!
A widzisz? — Splułeś! — Trafiaj teraz!“ —
„Trafiłem już palestrę nieraz,
To teraz także trafić mogę!“
„Trafiłeś wróblu kanię w nogę,
Palestra leży zaś nietknięta!“ —
„Nikogo ta nie zbawi mięta
I szkoda tylko jego śliny!“
Ze świni ciągle słychać drwiny,
Gdy chłopczyk kijem źle wymierzył
I kiczki wcale nie uderzył,
I śliny znowu nie żałuje,
Palestrą ziemię w duczy kuje
I taką zawsze stroi minę,
Jak gdyby w rowku znalazł winę,
Że kiczka źle mu podskoczyła.
„Ej, bo ci pęknie jaka żyła!
I cóż tam ciągle dłubiesz w duczy?
Dopiero kiczkę kłaść się uczy?“
Z drwinami zewsząd głosy słychać,
„Do ziemi nie trza kiczki wpychać!
Na wierzchu w koniec trzeba mierzyć
I z lekka trzebą ją uderzyć!“
Naucza któryś go kolega.
„I któż to tam go tak przestrzega?
Niech bije sam o własnej sile!“ —
„Na świni bądźcie cicho gile!“
Zakrzyczał chłopiec w głos na mecie,
„Bo ani się nie spostrzeżecie,
Jak wytnę wam choć ze trzydzieści!“
I już na wierzchu kiczkę mieści,

Uderza w koniec i w podskoku
Do jej się chciałby dobrać boku,
Lecz chybia znowu. — „Już dwa razy!
Stoimy tu jak gdyby głazy,
Lecz kiczki nie widzimy wcale!
Już wnet cię wezmą gorzkie żale!“
Chłopczyna biedny się zasmucił
I z wielką złością kijem rzucił,
Gdy machnął nim już po raz trzeci.
„I czemuż kiczka tu nie leci?
Daremnie o trzydziestce śniłeś!
Na bok! na bok! ty sam się zbiłeś!“
Na świni krzyczą w niebogłosy
I w górę zadzierają nosy
Nadętą minę teraz stroją,
Że burdy więcej się nie boją. —
Następny chłopczyk pewny siebie
Chwileczkę małą ziemię grzebie,
I szybko, chociaż niby bokiem
Po przeciwnikach powiódł wzrokiem
I wszystkich z świni wnet zasmuca,
Bo nagle kiczkę tam podrzuca,
Gdzie nikt nie stoi, co by złapał.
I rośnie towarzyszom zapał,
Bo i w palestrę też nie zbity
Rozpoczął taniec wyśmienity,
Pietnaście prędko doliczono
I nikt nie krzyczał, iżby słono,
Gdy kiczkę po raz pierwszy podbił;
Choć ktoś następnie kiczkę odbił
I w silnym ją zatrzymał pędzie,
Co najmniej jeszcze dziesięć będzie,
A więc wykupić kogoś może....
Wykupił! krzyczą już w ferworze
Na mecie wszyscy towarzysze;
Wykupił! krzyczy chłopczyk w pysze,
Gdy trafił kiczkę po raz trzeci,
Aż tam, aż tam wysoko leci! —
Lecz wnet ich z świni hałas głuszy,
Bo „burda!“ krzyczą z całej duszy,
Gdy Jaś w powietrzu kiczkę schwycił,
I ciągle nią się w ręku szczycił,
I z krzykiem „burda!“ z świni pędzą,
„I po cóż tu pędzicie z jędzą?
I czego z dziobów wam się pieni?
Pytają z mety zadziwieni,
Gdy z wrzaskiem „burda!“ wszyscy wpadli

I „burda!“ krzyczą wciąż zajadli.
„Będziecie cicho, wy gawrony!“
Zawrzeszczał Staś już rozłoszczony.
„Wytłumacz nam powoli Jasiu,
Co to za burda?“ — „Policz Stasiu!
Czterysta było już sześćdziesiąt,
Schwyciłem teraz zaś pięćdziesiąt,
To pięćset będzie już z okładem!“
I „burda!“ wrzeszczy hurma z jadem,
„Wygrana nasza! burda! burda!“
Lecz Jędrek wrzeszczy: „furda! furda!
Dogrywka czyja, co, czy wasza?“
„Dogrywka przecież nasza, nasza!“
Do usz mu piskiem Szczepek wrzeszczy,
A na to Jędrek gniewnie trzeszczy:
„Do usz mi nie piszcz ty puszczyku!“
„Do ócz mi nie skacz ty indyku!“
I już gotowi wziąść się w czuby.
„Stulicie raz wrzaskliwe dzióby!
Dogrywka ich!“ tak Staś im prawi,
„Niech o nią w wulach was nie dławi,
Boś my na mecie pierwsi byli,
Tu coś innego zmysł im myli!“ —
„Cóż tobie zaświtało w głowie?“ —
Pytają po tej go przemowie,
„Cóż on nowego nam wyświęci?“
I ciekawością wielką zdjęci
W około stają już z spokojem,
„To pokrop zmysły zimnym zdrojem
I w czem się mylą, powiedz Stasiu!“ —
„Czyś słyszał kiedy o tem Jasiu,
By ktoś na mecie burdę dostał.
Niezbity jeszcze nam pozostał
Ten i ten, a ten wykupiony!
Więc pochowajcie wasze szpony
I tam na świnie maszerujcie!“
„Koledzy, stójcież jeszcze, stójcie!“
Jaś towarzyszom swoim kracze,
Niech Stasio jeszcze nam zagdacze,
I bliżej, powód nam rozwinie,
Dlaczego mamy iść na świnie,
Gdy grę jużeśmy zakończyli!“ —
Lecz o tem wszyscyście zabyli,
Że niepotrzebnie tu się drzecie,
Bo ten nie przegrał, kto na mecie,
A burdę tylko ten dostaje,
Kto przegra!“ Staś ich ostro łaje.

„A to ich skropił, nie trza mydła!
Rozwińcie tedy prędko skrzydła
I fru! na świnie! — A indyki!
Potrzebne były takie krzyki?" —
Na mecie chłopcy drwią z humorem,
Gdy kwestja być przestała sporem,
A przeciwnicy ustąpili.
I tęgo potem wszyscy bili,
I więcej się wykupywało,
Tak, iż nareszcie wyszli cało.
Nie przegrał nikt, więc „rozegrana!"
Brzmi pierś męczącą grą rozgrzana.
I znów się wszyscy razem schodzą
I na zabawę inną godzą.
„Najlepiej w wróbla i jaskółkę!"
„Nie! Lepiej w gospodyni szkółkę,
Bo tak się wszyscy zabawimy," —
„To czekać wtedy tych musimy,
Co w lesie jeszcze w ika grają." —
„A właśnie teraz grać przestają
I idą tu!" — I z wielkim wrzaskiem
Przyjęto projekt ten oklaskiem.
„Jam gospodynią!" Staś powiada,
Gdy rozpoczęła się narada,
Kto jąką przybrać musi rolę?
„Nauczycielem Jaś!" „Ja wolę
Najprostszym w świecie być kogutem,
Bo mogę zapiać nawet butem!"
Ze śmiechem Jaś powszechnym głosi,
Gdy im podarty but podnosi,
„To czysty zysk z dzisiejszych kiczek!"
I sam uderza się w policzek.

Hej stańcie tu dziatki koło mnie!
Popatrzcie, gdzie jest gospodyni,
I mówcie uważnie, a skromnie,
Co ona w podwórzu uczyni.
Staje teraz przy stodole,
Szuka czegoś niby tchu,
Ręką maca się po czole:
Tiu, tiu, tiu! tiu, tiu! tiu, tiu!
Rękę kładzie do fartucha,
I wyciąga czarny chleb,
Każda kura głosu słucha:
Cip, cip, cip! cip, cip! cip, cip!
Kwoka z kurczętami pędzi,
W gardle jej chrypliwie gra,

Często terczy, gdera, zrzędzi,
Kr-ka! kr-ka! kr-ka! kwa!

Czy daje nam drobiazg ten krasy
I z czego nam daje pożytek,
Do jakiej należy on klasy,
I z czego ich rośnie przybytek?
Wiemy wszyscy to o kurze,
Że to pożyteczny ptak,
Bo nam daje jaja duże:
Ko-ko-ko-ko-ko-ko-gdak!
Kiedy się nad kurą czuwa,
By siedziała kilka dni,
Z jaja pisklę się wykłuwa,
Pi-pi pi-pi-pi-pi-pi!
Kurczę smaczne do jedzenia,
Mnóstwo potraw mamy z jaj,
Kogut budzi nas z uśpienia:
Ku-ku-ry-ku! Ko-ko-kaj!

A co gospodyni porabia,
Czy poszła już z tego podwórza,
Czy jeszcze też kogo przywabia,
I czemże się komu przysłuża?
Teraz jakiś garnek wzięła,
Z czemsiś czarnem jakby maź,
I do ziemi się przygięła:
Taś, taś, taś! taś, taś! taś, taś!
Kaczki pędzą z kołysaniem,
Bo poczuły strawy smak,
Lecz czy dobrej jest pytaniem:
Tak! tak! tak! tak! tak! tak! tak!
Tam się w polu pasą gęsie,
Skubią trawę z świeżych pól,
Gospodyni sobą trzęsie:
Wul, wul, wul! wul, wul! wul, wul!
Gęsi skrzydła rozpuściły,
Zrozumiały wolę tę,
Pędzą do niej z całej siły:
Gę, gę, gę, gę, gę gę, gę!

Czy kaczki i gęsi jak kury
Do ptaków należą oddziału,
Czy różnią jedynie się pióry,
Powiedźcie z uwagą pomału.
Końce łab im skórka spaja,
Bo to pływający ptak,

Wykłuwają też się z jaja:
Ko-ko-ko-ko-ko-ko-gdak!
Kura u nóg ma ostrogi,
A na czubie grzebień ma,
Niemi dmie się kogut srogi:
Ku-ku ry-ku! Co to ja!
Z puchu gęsi są poduszki,
Piór do pism używa się,
Smalec ich wydają brzuszki:
Gę, gę, gę, gę, gę, gę, gę!
Krótka kaczka chodzi krzywo,
Pieczeń jej ma miły smak,
A nurkują w stawie żywo:
Tak! tak! tak! tak! tak! tak! tak!

III.

„Widzicie? Leci wprost na Miecia
Z mojego bicia kampa trzecia!“
Podmajster się wyszczyca dumnie,
„Wołałbyś kampę chuchnąć ku mnie,
Bo ten ją spluje dyjamencik!“
I zarumienił się studencik
I wzrokiem chciałby piłkę zdławić,
Lecz nie potrafił się ustawić,
I znowu piłka padła z boku
Przynajmniej o półtora kroku.
Ze wstydu już zębami zgrzyta,
W podskoku piłkę szybko chwyta
I silnie ją ku mecie rzuca,
„Nie forsuj się, bo stracisz płuca!
Dyjamenciku, przestań skakać,
Bo profesorzy będą płakać
I szkoda twej książkowej wiedzy!“
Z biednego Miecia drwią koledzy.
Aż tu ku niemu po raz czwarty
Nakręca piłkę bieg uparty,
Nie bardzo jednak już z wysoka,
Nie myli przeto jego oka
I — piłka w same ręce wpada. —
„Kto niepotrzebnie tyle gada,
Pozwala sobie jakichś drwinek,
I czyj to dymi tak kominek?“ —
Już znowu Miecio się wydyma
I z pompą wielką piłkę trzyma,
„Przed piłką także ja nie zblednę!“

„O! z czterech skwasił ledwie jednę
I już kominek tak rozpala!“
Wielkiego słychać głos drągala.
„Daremne z tobą me wysiłki!
Nie mierzyć mi się z tobą w piłki!
Przed twoją mistrzu silną łapką
To ukłon moją składam czapką
I życzę ci nauczycielu,
Byś gry wyuczał wielu, wielu!“
Zgryźliwie Miecio mu powiedział,
„Ot, cicho byś tam malcze siedział
I nie rozczyniał mojej łapki,
Bo słodkiej ci nie poda papki!“
Uważać! Kampa na drągala!
Ten wcale nią się nie zapala
I żadną nie wytęża męką
A chwyta piłkę jedną ręką.
Odrzuca mówiąc: „Już trzy kampy!
Zagasły jednak wszystkie lampy,
A teraz flaki następują,
Co drzemki już mi nie zepsują.
Spokojnie mogę się położyć!“ —
„Musimy mistrza upokorzyć,
By nas za takich nie miał żaków!'
Wykrzyki z mety słychać flaków.
Daremne jednak ich wysiłki!
Nie może żaden podbić piłki,
By aż do niego doleciała.
„Polecisz piłko jakby strzała!
Na bok! na bok! mizerne flaki!
Ustąpić miejsca dla tabaki,
Niech wszystkich wydobędzie z matni!“
Z bijących student rzekł ostatni,
Co nigdy nie opuszcza mety,
„O piłko! Z gustem idź na wety!
Wynagrodź to jedyne bicie
Dalekim lotem moje dziecię!“
Tabaka mówi co raz milej,
„Niech lśni wysoko mój przywilej,
I kiedym bicie dostał cudem,
Tabaki sławę głoś przed ludem!“
I — kropnął piłkę z całej siły,
A szepty — pst! — zaszeleściły;
Bez najmniejszego już łoskotu
W milczeniu śledzą piłki lotu,
Każdemu w krtani głos zamiera
I każdy w sobie dech zapiera,

Bo aż na mistrza prosto skręca
I — w samą jego głowę bęca.
Mistrz zrywa się na równe nogi:
„Dzień dobry! Sniłeś mistrzu srogi!“
Z dziwacznym głoszą mu naciskiem
Zachodząc śmiechem, wrzawą, piskiem,
Gdy groźnie grzywą swą najeżył
I ryknął: „Kto to mnie uderzył?“
„To ztąd pochodzi szczutek taki!
Odemnie mistrzu, od tabaki!
Pamiętaj mnie przez całe życie!“
I znów szalone bucha wycie,
Że aż nosami ziemię crzą,
I śmiech dopiero wtedy morzą,
Gdy starsi do nich się zbliżyli.
„Hej, może byście grzeczni byli
I nam zechcieli się ustąpić?“
„Nie trzeba starszym miejsca skąpić!
Zostawmy całą im polanę,
I ja tu nawet nie zostanę!“
Co był tabaką wszystkim głosi
I prędko gry narzędzia znosi,
„Uporu w was się nie spodziewam!“
„Ja coś nowego wam zaśpiewam!“
Powiedział Miecio i do lasu
Z polanki chyżo bez hałasu
Spokojnie wszyscy wnet pobiegli.
Gdy mistrza minę tu spostrzegli,
Na nowo głośny śmiech wybucha,
„Tabakę w górę podnieść zucha!
Krzyknęli wielkim wszyscy głosem,
I mistrz się zgodził z swoim losem,
Bo sam tabakę także dźwiga,
A nawet innych w tem prześciga.
Ucichła wreszcie młodzież dziarska,
Niejeden jednak jeszcze parska,
Gdy inni Miecia proszą ładnie
I otaczają go gromadnie,
By im nowego coś zaśpiewał. —
„Nie będziesz pereł pierwej siewał,
Dopóki gruntu ci nie sprawię,
Ja ich popierwej czemś zabawię!“
Tak mówi Wasyl z namaszczeniem,
„Bo śmiech nie idzie w parze z pieniem.
Popierwej muszę ich ukoić,
Poważniej wszystkim myśl nastroić,
Niech w uroczystym stroju ducha

Ludowych piosnek pilnie słucha
I niemi się zachwyca wielce!“
To mówiąc dłubie w kamizelce
I z niej wyciąga jakiś cencik....
Nie, nie! to jakiś instrumencik!
On pojedynczą swą oprawą,
— Obrączką z stali okrągławą,
A z której dwa wychodzą pręty
Mieszczące język w końcu zgjęty, —
Nikogo pewnie nie zachwyci!
A przecież Wasyl nim się szczyci
I wszystkim pokazuje dumnie,
A gdy się doń ścisnęli tłumnie,
„To drumla, moi,“ rzekł „koledzy!
By na niej zagrać, nie trza wiedzy,
Uczucia tylko tu potrzeba,
A czucie daje łaska nieba!“
I wkłada drumlę do swej gęby,
Jej pręty chwyta między zęby,
I trąca palcem jej języczek. —
Jak skrzypek, gdy próbuje smyczek,
Czy harmonijny ton dobędzie,
Po strunach go przeciąga wszędzie,
Nim zamierzoną grę rozpocznie,
Tak Wasyl drumli głos widocznie
Najsamprzód takiej próbie poddał,
Nim grze się całą duszą oddał,
Bo z słuchających nikt z początku
Odnaleść nie mógł pieśni wątku:
Lecz wnet połyka każdy tony
W swych własnych myślach zatopiony
I dech zapiera trwożnie ręką,
Gdy pieśń usłyszał czułą, miękką,
Żałośną, pełną smętnych jęków,
Wydętych, wątłych, dzwonnych dźwięków,
Gdzieś z serca wychodzącą głębi,
Gdyż wnętrze mu uczuciem kłębi:
Tak pewnie dusze w czyścu jęczą,
Gdy myśl wspomnieniem ziemi dręczą,
Sumienie przypomnieniem mącą
I węszą głownię czadem tlącą. —
I przestał, — lecz ton jeszcze jęczy. —
„Ach zagraj jeszcze!“ — „To mnie męczy,“
Powiedział Wasyl, „spocząć muszę,
Ukoić rozigraną duszę,
Niech Miecio teraz co zaśpiewa!“
I zaraz Miecio głową kiwa,

Na ziemię raptem plackiem pada,
Powoli potem już usiada,
Próbuje różnych gębą cmoków,
Po nosie palcem kłapie z boków
I tak przerywa brzęk nosowy,
Zdejmuje potem czapkę z głowy,
Z głębokiej piersi do niej chucha
I mieści ją na kraju brzucha,
Do góry podniósł swe kolana
Pod nosem mrucząc: „dana! dana!“
Wyżłabia potem w łydkach dołki
I niby do nich wbija kołki
I ręką jakby korbą kręci. —
Spokojnie patrzą się studenci
Na wszystkie te mimiczne ruchy,
Strojenie dudów, cmoki, chuchy,
Nikogo one już nie śmieszą;
Z głęboką wszyscy stają ciszą,
Bo każdy wie od dawien dawna,
Że żyłka Miecia niepoprawna
Najsamprzód musi dudy stroić.
Potrzeba z tem się już oswoić,
Bo nigdy nie zaśpiewa wprzódy,
Aż tak nastroi swoje dudy,
By na swem ciele jak grzechotce
Po każdej dudnił pieśni zwrotce.

Śpij dziecinko moja mała,
Ja przy tobie sobie siędę,
Gdy cię będę kołysała,
O królewnie śpiewać będę. —Mmmm...
Za górami, za lasami.
Pnie się skała tak wysoko,
Że każdemu oczy mami,
Choć pociąga każde oko. — Mmmm...
Na tej granitowej skale
Zamek stał przed wielu laty,
A w nim łowy, uczty, bale,
Sprawiał dwornie król bogaty. — Mmmm...
Miał on córkę jedynaczkę,
Swojem ją nazywał ziołem,
Dziś ogarnia lęk biedaczkę,
Smutek zawisł nad jej czołem. — Mmmm...
Król był panem licznych włości
I bogactwa miał nie mało,
Mnóstwo więc królewskich gości
O jej rękę się starało. — Mmmm. .

Dzisiaj z królewiczów grona
Wybrać miała męża pana,
Ciężko przeto zamyślona
Chodzi od samego rana. — Mmmm...
Chodźmy, chodźmy już do sali
Przystrojonej dziś bogato,
Już tam radni się zebrali,
Do królewnej rzekł jej tato. — Mmmm...
W sali król na wzniosłym tronie
Z wielką pompą już usiada,
Z berłem w ręku i w koronie
Słucha, co mu głosi rada. — Mmmm...
Na królewnę wszystkie oczy
Z ciekawością się zwróciły,
Każdy bada wzrok uroczy,
Czy nie będzie jej niemiły. — Mmmm...
Często kipi dziś w jej łonie,
Często się wewnętrznie wzdryga,
Wielkim ogniem twarz jej płonie,
Bo tu się jej los rozstrzyga. — Mmmm...
Z sobą rada się nie zgadza,
Każdy inne imię głosi.
Następnemu to zawadza,
Co poprzedni w szczyt podnosi. — Mmmm...
Widzę córko, moje zioło,
Że ci serce ciężko boli,
Podnieś jednak, podnieś czoło,
Nie postąpię wbrew twej woli. — Mmmm...
Każ im ojcze przyjść do sali,
Jeśli o to prosić można,
Byśmy z sobą porównali,
Rzekła tak królewna trwożna. — Mmmm...
I stanęło ich dziesięciu,
Co zjechali się do dworu:
Każdy w czułem przed nią zgjęciu,
Każdy pewny jej wyboru. — Mmmm...
Wszyscy są jej ręki godni,
Same to królewskie syny,
Wszyscy młodzi, cni, urodni,
Głoszą swe rycerskie czyny. — Mmmm...
Myśl królewnie serca strzeże,
Kiedy jej wybierać każą,
Gdy jednego z nich wybierze,
Czy się inni nie obrażą? — Mmmm...
W tem królewscy słudzy głoszą:
Jacyś ludzie aż z nad Wisły.

Posłuchania z płaczem proszą,
Z płaczu oczy im zakisły. — Mmmm.
Strasznym król zapałał gniewem,
Zmarszczył czoło, brwi nastrzępił,
Już, już grozi gniew wylewem, —
Czemuś ojcze się zasępił? — Mmmm...
Nie rzecz, nie rzecz złego słowa,
Oni nic nie zawinili!
Może przysłał ich sam Prowa
W tej straszliwej życia chwili? Mmmm. .
I rozjaśnił król oblicze,
Kiedy tę usłyszał swadę,
I gdy sami królewicze
Także tę poparli radę. — Mmmm...
Ach wysłuchaj to wołanie,
Na kolanach cię błagamy,
Ratuj, ratuj, królu panie,
Dłużej już nie wytrzymamy. — Mmmm...
Aby łaski twej nie minąć,
Całujemy kornie szaty,
Nie daj królu nam zaginąć,
Bo nas pożre smok skrzydlaty. — Mmmm...
I wśród płaczu, z wielkim jękiem
Smoka opisują czyny,
Wszystkich serca przeszły lękiem,
Przeszła dreszcz królewskie syny. — Mmmm...
Bo królewna z blaskiem oka,
Ja dziś, mówi, się nie poddam,
Kto zabije tego smoka,
Temu tylko rękę oddam. — Psssssss...
Słyszysz, słyszysz, skrzeczy sroczka,
Każe gości się spodziewać,
Kiedyś już otwarło oczka,
To ci ja przestanę śpiewać. — Ccccvcccc.

IV.

„Gdy głupiec jakieś głupstwo palnie,
To jest to całkiem naturalnie,
Dopiero wszystkie kraczą wrony,
Gdy jakiś mędrzec nabublony
W milczeniu długo myśli przędzie,
Aż — wielkie głupstwo wydobędzie!
Tak zwykł mój ojciec często mawiać!“
„Sentencję taką mógł objawiać,
Gdy odpowiednią znalazł porę.

Ot, wdaj się lepiej już w pokorę!
Dowcipem nikt się nie wykupi,
Bo nawet dowcip bywa głupi,
Gdy ktoś nie w porę go użyje." —
„I za cóż on go tak tam myje?"
Zapytał Walek Aleksego,
„Aj, aj! Coś bardzo ciekawego.
Od pół godziny tutaj stoję
I wytężeniem słuch mój znoję,
Bym nie mógł ani słowa stracić
I głowę nowem czemś wzbogacić,
Bo czeszą się piramidalnie!
Nabije jeden, drugi palnie,
Aż iskry się dowcipów sypią." —
„I o cóż oni się tak szczypią?
Z pewnością o jakiegoś bożka,
Lub piramidę, formę stożka?" —
„Aj, aj! nierównie czemś mądrzejszem,
Ot, co jest w gruncie foremniejszem,
Tessarakontaogdoeder,
Czy tetrakontaheksaeder!"
Jakkolwiek przedmiot to ciekawy,
Nie psujcie jednak nam zabawy,
Dysputy szkolnej dusznym gazem,
Lecz chodźcie dziś się bawić razem!"
„Aleksy, Walku, Wojtku, Janie!
Ciekawe mamy tu zadanie,"
Kolegów słychać liczne głosy,
„Z pospuszczanemi wszyscy nosy
Głęboko tu medytujemy,
Odgadnąć jednak nie możemy."
„I cóż to za zadanie? Dajcie!"
„Tu leży, bierzcie i czytajcie!" —
  Całem sercem, w świętej wierze
  Zmów przechodniu trzy pacierze,
  Każdej poświęć go osobie
  Tu leżącej w wspólnym grobie,
  A kto sobie wiedzieć życzy,
  Ile lat też wiek nasz liczy,
  Niech na chwilkę jeszcze wstanie
  I rozwiąże to zadanie:
  O trzy więcej niż połowę
  Wieku dziada miała matka,
  Kiedy jej czcigodną głowę
  W grób złożono obok dziadka.
  Gdy igrałem życia kartą
  W krwawej utarczce z wrogami,

Wówczas część liczyłem czwartą
Lat dziada z matki latami.
W trzy lat później w srogiej męce
Serce w piersiach bić przestało,
Duch uleciał w boskie ręce,
Tu spoczywa martwe ciało. —
Wreszcie jeszczeć powiem człeku,
Żeśmy przeżyli stulecie
O część trzecią mego wieku
Na tym miłym tobie świecie.
„Rachować? — Na co wam rachować?
Ja muszę to w kieszeni schować!“
Z żydowskim Walek rzekł akcentem,
„To trza być żydkiem nie studentem,
By wciąż rachować! — Po co tego?
I cóż w rachunkach ciekawego?
To dla szlachciców nie z honorem!
Ze swoją żonką i z bachorem
Wyginąć muszą wszystkie żydki,
Jak wy weźmiecie się do kredki,
A po co tego? — Aj waj, mijer!
Dla żydka tylko cwaj, drei, fijer!“
— „Idź precz ty żydzie! Nie zawadzaj
I nam w rachunkach nie przeszkadzaj,
Gdy nie chcesz dostać jakiej pacy!“ —
„Czy to wy żydy, czy Polacy?
Polacy nigdy nie liczyli,
Bodajby za to zdrowi byli,
Liczyli za nich żydki zawsze!
Do tego żydki najciekawsze,
A szlachcic musi się zadławić,
Jak zechce mu się w żydka bawić,
I na co miałby się okpiwać!
Nie lepiej tylko głową kiwać,
Jak żyd mu dorze porachuje?“
— „I należycie oszachruje
Co?“ „Aj waj, niechże Bóg ominie!
Jak sam rachuje, prędzej zginie.
Bo takie nasze przykazanie,
Że jak nam goim w drodze stanie,
To mamy go w rachunkach ćwiczyć,
Aż już nie będzie miał co liczyć,
I po co miałby być uparty?
Czy nie wygodniej zagrać w karty,
Lub pić i jeść wciąż doskonale?
Wyprawiać świetne uczty, bale,
Wyścigi, łowy, zjazdy, sejmy?

Dla takich zawsze żyd uprzejmy
Z ukłonem niskim się porusza,
Dostawia, co zapragnie dusza,
Najwybredniejsze poi żądze,
Potrzeba tylko mieć pieniądze,
Nie trzymać skąpo rąk w kieszeni,
Bo żydka nawet to rumieni
I takich to nie lubi żydek,
Żydowskich dla nich szkoda łydek
I kłaniać się jarmurek szkoda!“ —
— „Aż bodźca mu szturchańcem doda
I parchy jego mu przypomni.“ —
„Nie tacy to my teraz skromni!
Czy teraz mamy polskie rządy?
Czy wolno nam wytykać trądy?
Czy my puścimy szturki płazem?
Czy nie chodzimy wszyscy razem?
Kto takie ma w swej głowie żarty,
Do kozy będzie wnet zaparty,
Nie wolno żydka dziś obrażać!“ —
— „Ktoś na ten honor będzie zważać
I pewnie żyda się przelęknie!“ —
„Nu, jak pieniądzmi tylko brzęknie,
To żydek łatwo się przeprosi,
Za pieniądz tylko wszystko znosi,
A na to być potrzeba panem,
Nie hajdamakiem lub kapcanem!
Kapcana żydek się nie boi,
Co dudka z niego nie wydoi.
O, żydka dzisiaj nikt nie zdmucha!
On wszystko wie, o wszystkiem słucha,
I sprawiedliwość umie kupić,
Jak sam ktoś nie da mu się złupić.
Dziś mamy wszystkich my w kieszeni!
Goimy stoją u nas w sieni,
Goimów dziś się nie boimy,
Musicie służyć nam goimy!
Nadeszła wreszcie taka pora,
Że górą idzie nasza tora,
Otwarte dla nas wszelkie bramy,
Honory także wszelkie mamy,
I targ, i giełdę, obligacje,
A z niemi wszędzie mamy racje.
I przecież pora już nastała,
Że nasza będzie ziemia cała,
Jak w naszych pismach wszędzie stoi!
Żydkami już się ziemia roi,

A goim musi nam pracować,
I po co, po co wam rachować?
Czy duch wasz taki niespokojny,
Że w cyfrach z żydkiem pragnie wojny?
Rachować się nie nauczycie!
Rachunek nam wypełnia życie,
To broń i krew i dusza nasza,
A wam niech życia nie zakwasza!“
„To rozwiąż żydku to zadanie!“ —
— „A ile za to żyd dostanie?
Nad rozwiązaniem żyd nie ślęczy,
Jak zysk mu mile nie zabrzęczy,
Za darmo na co głowę suszyć?
Czy mogę ja go to osmuszyć,
Jak zgadnę, co on miał za lata?
Z tamtego po co ruszać świata?
Gdy już szczęśliwie umarł sobie,
To niech spokojnie leży w grobie,
Nie trzeba ruszać z cmentarzyska!
Z umarłych nic i żyd nie zyska.“
— „A masz ty żydzie dużo dzieci?“
— „Dziękować Bogu, jakby śmieci!
Na psa uroki! — Naród boży,
To dzieci bardzo szybko mnoży,
Bo Bóg powiedział: Abrahamie!
Potęgi twojej nic nie złamie,
Rozmnożysz się jak piasek w morzu!
Jak gwiazd na niebie, ziarnek w zbożu
Nie zliczy nikt oczyma swemi,
Tak ja rozmnożę cię na ziemi,
Zaczernię całą twem nasieniem,
A trudnić będą się — mnożeniem.
Słuchamy tego jak ustawy
I innej nie szukamy sławy.
Spokojnie nam się mnożyć dajcie
A siebie w wojnach zabijajcie!
Bez zwycięstw my się obejdziemy,
Odbierać laurów wam nie chcemy,
My sobie cicho chcemy pożyć,
I nic nie robić, — tylko mnożyć.
Mnożenie słodzi nam frasunek,
Mnożenie tylko nasz rachunek,
Mnożenie naszą krew otlenia,
Żyć nam nie wolno bez mnożenia!“
„A umiesz także śpiewać żydzie?“
„A czy to w takiej ja ohydzie?
Musiałem nieraz bożą czeladź

Żydowskim śpiewem rozweselać.
Ponieważ tak was dzisiaj wielu,
Iż być możecie na weselu,
Sam Pan Bóg by się na mnie gniewał,
Bym o Galicji nie zaśpiewał.
Utwórzcież w parach skoczne koło
I pomagajcie w chór wesoło,
Gdy mnie przypada pierwsza zwrotka,
Puszczajcie tedy mnie do środka.“

Patryarcha:

Widząc taką rzeszę
Mocno dziś się cieszę!
Gdyście się tu, moi mili,
Na weselu zgromadzili,
Niech każdego z moich dzieci
Głos do starych uszu wzleci,
Niech się dowiem, czy krew żywa,
Co porabia, gdzie przebywa,
Nim zamglone oczy
Wieczna noc zamroczy.

Boruch:

Najprzód niech Borucha
Tato nasz wysłucha:
Z mej krwi Icko jest w Ropczycach,
A Hudessa w Myślenicach,
W Bóbrce Pejzach, w Gródku Chana,
W Brzesku Nussim, w Brodach Trana,
Taube jest w Stanisławowie,
A Menasze w Żydaczowie,
Wraz z arystokracją
Żyją propinacją.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Jego Icko jest w Ropczycach i t. d.

Jojna:

Pan Bóg darzy hojnie
Dziateczkami Jojnie:
Miskiel w Żółkwi, Hersz w Buczaczu
Ajzig w Stryju, Szmul w Tłumaczu
Szojła w Krośnie, Małka w Turce
W Rawie ruskiej dobrze Surce

W Horodence z Mortkiem Brajndli,
A w Kossowie z Motiem Szajndli:
Wszystko dziatwa hoża
Trzyma handle zboża.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Miskiet w Żółkwi i t. d.

Rubin:

Rubin z Drohobycza
Pieniądz rozpożycza
Złoczów wspiera grosz Naftuly,
Stare miasto Zlaty czułej,
Kałusz Gerszon, Saul Dolinę,
Do Brzozowum wydał Binę,
Abrum z Gołdą jest w Grybowie,
Aron osiadł się w Rzeszowie,
Choć nie bez wykrętów
Żyje to z procentów.

Wszyscy

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Złoczów wspiera i t. d.

Szyja:

Wino w Kołomyi
Dobrze płynie Szyi:
Rajzlę wydał do Chrzanowa,
Chejwę zaś do Jaworowa,
Abisz z Ryfką mieszka w Lisku,
Lajb w Nadwórnie, Łajka w Nisku,
Fajwel z Fajgą w Przemyślanach,
Majlech gdzieś w Bohorodczanach,
W Jarosławiu Mina
Szynk prowadzi wina,

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Rajzlę wydał i t d.

Alter:

Taką jest karjera
Alty i Altera:

Zysie z Gitlą w Limanowej,
Ber w Kamionce strumiłowej,
Tu w Przemyślu Marachana,
W Zaleszczykach Uszer, Funa,
W Bochni Majer, w Białej Dora,
Arie idzie do Sambora,
Wszystko bardzo cenne
Sklepy ma korzenne.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Życie z Gitlą i t. d. i t. d.

Moszko:

Moszko niewypłatny
Trzymał sklep bławatny:
Teraz w Jaśle u Chaima
Lub w Wieliczce u Szulima,
U Lejzora w Cieszanowie,
Ela w Pilznie, Perl w Krakowie,
W Nowym Targu u Natana
Lub w Podhajcach u Süssmana
W dobrej siedzi skórze
Na emeryturze.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Teraz w Jaśle i t. d. i t. d.

Judka:

Judka w Husiatynie
Z handlu bydła słynie;
W Żywcu Jośko, w Sączu Mirla,
W Rudkach Dawid, w Mielcu Cirla,
Simche osiadł się w Gorlicach,
Mendel z Nechą w Wadowicach,
Srul w Zbarażu, Hirsz w Tarnowie,
Gad w Skałacie, Herc w Borszczowie,
Handel z łaski Bożej
Idzie nam niezgorzej.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
W Żywcu Jośko i t. d. i t. d.

Joel:

Liczne też Joela
Grono rozwesela:
Herman obrał miasto Śniatyn,
Bernard Sokal, Maks Rohatyn
Frydryk z Idą Kolbuszowę
Cna Matylda zaś Dąbrowę
Do Czortkowa ciągnie Wolfa,
Do Trembowli znów Adolfa,
Reszta na mej głowie,
Kantor mam we Lwowie.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci.
Herman obrał i t. d. i t. d.

Jankiel:

Jankiel domy z drzewa
Stawia i ogrzewa.
Lwu Tarnobrzeg odpowiada,
Z Tarnopola Sprinci rada,
Z Brzeżan kontent Berl z Pinkasem,
Z Mościsk nie rad Szloma czasem,
W Dobromilu skład ma Ruta,
Ruchla idzie do Łańcuta.
Reszta przy mym boku:
Tartak mam w Sanoku.

Wszyscy:

Całe koło niech się kręci
I powtarza dla pamięci:
Lwu Tarnobrzeg i t d. i t. d.

V.

„Zwołałem was tu na naradę
I na nią wielki nacisk kładę,
Bo od narady tej zależy
Tak nasz, jak wszystkich los rycerzy,
Nad samym bowiem dziś wieczorem
Uderzą całym swym taborem
Na szańce Tatarowie dzicy,
Musimy radzić więc setnicy,
Czy bić się mamy do ostatka!“ —
„Zwyciężysz lub zgiń! rzekła matka,

Gdy mnie na wojnę wysyłała,
A gdybym kiedyś ujrzeć miała,
Żeś ty sam broń wrogowi oddał
I dobrowolnie mu się poddał,
Z samego wstydu bym umarła,
Lub sama cię na miazgę starła!“ —
Tak jeden rzekł z setników grona,
„Przycisnę cię do mego łona,
Gdy jak zwycięzca tu powrócisz,
Inaczej — tylko mnie zasmucisz.
Zasmucać nie chcę mojej matki
I z wstydem wracać do jej chatki,
Ja wolę ofiarować życie!“ —
„I mnie Bartoszu nie ujrzycie,“
Z kolei mówi setnik drugi,
„Bym od tatarskiej mknął maczugi,
Lecz nas tu tylko taka garstka,
Że szkoda nawet krwi naparstka,
Gdy krew na darmo płynąć musi,
Bo Tatar nas na pewne zdusi!“ —
„Potrzeba myśli niedołęstwa,
By bez nadziei już zwycięstwa
Do końca się z wrogami ścierać,
By tylko ginąć i umierać!“
Tak dalej mówi setnik trzeci,
„Potrzeba na to chyba dzieci,
Potrzeba na to chyba osłów!
Zawołaj więc dowódzco posłów
I ułóż z nimi co potzeba,
Bo nam już brakło nawet chleba
I wojsko nam już z głodu ginie!“
„Nikogo nigdzie śmierć nie minie,“
Tak setnik wypowiada czwarty,
„Lecz duszę taką wezmą czarty,
Co z Tatarami się układa,
Bo w nich się mieści tylko zdrada!
I któż potrafi nam zaręczyć!
Że Tatar nas nie będzie męczyć,
Lub nie popędzi do niewoli,
Lub mieczem łbów nam nie wygoli,
Gdy dobrowolnie broń złożymy?
Układy z wrogiem? Marne dymy!
Tem lepiej, że już dziś uderzą,
Cierpienia nasze tem uśmierzą,
Gdy szturm śmiertelny tu przypuszczą.
Układów nie ma z taką tłuszczą,
Co nie ma i nie miała wiary!“

„Powiedźcie wy nam księże stary,“
Dowódzca mówi do opata,
„Co wasza w sercu kryje szata?
Gdy wy natchnienia macie z nieba,
Poradźcie, co nam czynić trzeba?“ —
„Udzielać łaski i pociechy,
Odpuszczać nawet ciężkie grzechy,
Gdy grzeszni skruchą się przejmują
I szczerze za nie pokutują,
To mojem świętem jest zadaniem,
Mym obowiązkiem, powołaniem,
A ono nawet mi zaprzecza
Do korda mieszać się i miecza.
Ja proszę tylko Pana Boga,
By żadna was nie dotkła trwoga,
Choć straszna, straszna wrogów przemoc!
Niech waszych serc nie ściska niemoc,
Niech głodu, śmierci zniknie mara,
Bo nas naucza święta wiara,
Że kogo Bóg ma w swojej pieczy,
Nie może bać się ludzkich mieczy.
Włos temu z głowy spaść nie może
Kto Bogu odda się w pokorze. ’
Ten, co Daniela podniósł czoło,
Iż mógł pogodnie i wesoło
Wśród dzikich bestji się przechodzić,
I kłom ich nie dał go uszkodzić,
I pokarm słał przez Habakuka,
Ochroni tego, kto go szuka
I sercem mu zaufa całem.
Obliczem jasnem i wspaniałem
Aniołów swoich go zasłoni,
Z najgłębszej go wybawi toni
I wyrwie z ręki potępieńców
Jak w Babilonie tych młodzieńców
Wyrwała z pieca Wszechmoc Pańska,
Co ich wrzuciła złość pogańska
Na pastwę ognia i płomieni.
Jesteśmy teraz uciśnieni,
Łańcuchem zewsząd wróg nas ściska,
Lecz Boża pomoc tam jest bliska
I wiernym nagle szle ratunek,
Gdzie ludzki niknie już rachunek
I na niechybną zgubę liczy.
O wyrwij nas z uścisków dziczy!
O racz rozwiązać nam już pęta!
Konieczna Twa już pomoc święta,

Wszechmocny, wielki, święty Boże!
Dziś modlę o nią się w pokorze,
Gdyż w sercu sług Twych już zwątpienie!“
Głębokie mowy tej znaczenie
Wywarło pożądany skutek:
Gniotący ustępuje smutek,
Pogodniej czoła zajaśniały,
Jak gdyby już tatarkie strzały
Nie miały żadnej mocy więcej
Ni żarłoczności wzrok zwierzęcej;
Jak gdyby wolność im zabłysła
I łańcuch wrogów już rozprysła,
Już każdy czuje się swobodnym
I wzrokiem patrzy się pogodnym:
Zupełnie niknie dawna trwoga,
A ufność silna w pomoc Boga
Napełnia serca ich radośnie:
Postanawiają jednogłośnie
Do upadłego szańców bronić
I na żołnierzów każą dzwonić
By im ogłosić tę uchwałę. —,
A w tem dziesiętnik wnosi strzałę:
Włos mu się zjeżył, twarz mu zbladła
Gdy „Właśnie jakby z nieba spadła!“
Wzruszonym wypowiedział głosem,
„Nikogo swym nie tknęła ciosem,
Choć w szańce wpadła wśród żołnierza.“
Każdemu włosy lęk najeża,
Pobożne z serca szle westchnienie,
I ciałem wstrząsa duszy drzenie,
Gdy pełni wiary i nadziei
Oglądli strzałę po kolei.
Nie od Tatara przyleciała
I nie tatarska to jest strzała,
Bo takich nie ma on rysunków
I takich nie zna wizerunków.
Lecz jakież ona głosi wieści?
Po jednej stronie krzyż się mieści;
Lecz miast napisu: „J. N. R. J.“
Widnieje jakichś cyfer perjod:
Jedynka, siedem, dziewięć, piątka,
I cóż to ma być za pamiątka?
Majestatycznej pełen chwały
Nad grobem Chrystus zmartwychwstały
O własnej mocy się unosi
I na ten napis palec wznosi;
Na krzyż ten błędny wzrok strażaków

Z pod brwi wysterczających krzaków
Z przestrachem wielkim jest zwrócony;
Kotwica zaś jest z drugiej strony,
W pobliżu dwie rozwarte ręce
Po długiej jakiejś się rozłące
Uścisnąć pragną niezawodnie
Lub chcą kotwicę schwycić zgodnie.
I cóż to wszystko może znaczyć? —
„Pozwólcie strzałę mnie zobaczyć,
A może dojrzy wzrok opata,
Co długie już pamięta lata
Coś, co przed waszym skryte wzrokiem,“
I — ledwie w strzałę rzucił okiem,
„Niech brzmi,“ wykrzyknął, „imię Pana!“
I pada student na kolana,
Co tu opata objął rolę,
„Oznajmia On nam swoję wolę!
Straszliwe nas czekają losy,
Smiertelne w nas ugodzą ciosy. —
Najświętsza Matko, niebios Pani,
Musimyż być rozkrzyżowani?
Czy już nie zdoła Twa przyczyna
Wyprosić łaski nam u Syna,
By nas od cierpień tych zachował? —
Nie? — Kogo Pan Bóg umiłował,
Na krzyżu musi być rozpięty
Tak jak Zbawiciel, Syn Twój święty?
Czy nasz jest przeznaczony naród,
By znów szatańskich sideł zaród
Wyplenił z świata swoją męką? —
Ach Boże! Kiedy nas swą ręką
Na krzyż przeznaczasz i cierpienia
Za czyjekolwiek przewinienia,
Nie dopuść, nie! nam upaść duchem
Pod ciężkim ciosów tych obuchem
I chroń od strasznej nas rozpaczy!
Gdy ręka Twa nas dotknąć raczy,
Niech krzyż cierpienia nam osłodzi,
Niech krzyż owoce zbawcze rodzi,
Niech wzniosły przykład Zbawiciela
W cierpieniu siły nam udziela,
Pokrzepia wiernych tą nadzieją,
Że krwi daremnie nie przeleją! —
Lecz wy się cierpieniami temi,“
Rzekł opat, gdy się podniósł z ziemi,
„Bynajmiej w sercach dziś nie trwóżcie.
Lecz korne Bogu dzięki złóżcie,

Bo odsiecz, odsiecz już się zbliża!“ —
Tu opat znacznie głos swój zniża,
I cichem głosem im tłumaczy,
Co ręce, co kotwica znaczy. —
Te znaki każdy wnet zrozumiał
I księdza się mądrością zdumiał.
I nowem życiem obóz trysnął,
Gdy promyk ocalenia błysnął.
Tatarskich posłów odprawiono,
Gdy wpierw im oczy zasłoniono,
I wśród łomotu, wrzawy krzyku,
W bojowym wojsko staje szyku,
Odbywa marsze i ćwiczenia,
Co chwila swe pozycje zmienia,
A las bojową pieśń rozbrzmiewa,
Co to ich wojsko żywo śpiewa:

Gdy zabrzmi w głos wojenna pieśń,
Ojczyzny los jest w naszym ręku,
Żołnierski trzos jest pełen dźwięku,
Gdy zabrzmi w głos wojenna pieśń.
I broni ostrzy nie żre pleśń,
I ni na włos nie znamy lęku,
Gdy zabrzmi w głos wojenna pieśń,
Ojczyzny los jest w naszym ręku!

Wesoły śpiew ożywia pierś,
Podnieca krew, pozbawia trwogi,
By smutku krzew nie splątał nogi,
Wesoły śpiew ożywia pierś!
Nie szukaj drzew, rowem się mierz,
Lecz jakby lew napadaj wrogi!
Wesoły śpiew ożywia pierś,
Podnieca krew, pozbawia trwogi.

Na ramię broń podnieśmy wraz!
Rycerska woń niech nas owieje,
A naszą skroń uwieńczą dzieje!
Na ramię broń podnieśmy wraz!
Własnemi dłońmi skruszmy głaz,
Wolności słońce już nam dnieje,
Na ramię broń podnieśmy wraz,
Rycerska woń niech nas owieje.

Najwyższy czas, by jarzmo znieść,
Co krople z nas już krwi wyciska,
Co kajdan pasmem ssie ludziska,

Najwyższy czas, by jarzmo znieść!
Znajdziemy jasnej sławy cześć,
Bo wolność w blasku lśni nam zbliska.
Najwyższy czas, by jarzmo znieść!
Co krople z nas już krwi wyciska.

Gdy zawrze bój, nie żałuj krwi!
Odważnie pruj ojczyzny pęta,
I wrogów kłuj jakby bydlęta,
Gdy zawrze bój, nie żałuj krwi!
Choć walki znój zapoci brwi,
Niech wróg cios twój długo pamięta!
Gdy zawrze bój, nie żałuj krwi,
Odważnie pruj ojczyzny pęta!

VI.

„I po cóż wciąż o jednem krakać?
I po cóż sobie do ócz skakać?“
Zapytał swych kolegów Zgoda,
„Na młyn to wspólnych wrogów woda,
Gdy my żyjemy sami w waśni!
Niech raz już kwestja się wyjaśni,
Co w naszej klasie spokój psuje,
Niech raz już jedność zapanuje,
Abyśmy tak jak inne klasy
Swarliwej nie tworzyli rasy
I w sporach się nie gryźli wzajem.
Czy ma Galicja tym być krajem,
Gdzie dwa ludności bratnie szczepy
Wzajemnie tłuc się na czerepy
W swarliwych kłótniach ciągle muszą?
Czyż łatwiej Niemcy nas nie zduszą,
Gdy nas zobaczą w wiecznej kłótni?
I profesorzy nawet smutni,
I bardzo, bardzo nam nieradzi,
Gdy nas aż taka kłótnia wadzi,
Iż po za obręb idzie szkoły
I pod ojcami kopie doły.
I po cóż ojców w spory mieszać?
Musiała brudy ich rozwieszać
Uparta żądza i swawolna,
By władza je ujrzała szkolna?
Musiały już na takie tory
Swarliwe zejść studenckie spory,
By je komisja aż badała?

Nie trafi zwykle tego strzała,
Na kogo ona się wymierzy,
Lecz ostrzem swojem tych uderzy,
Co biernie tylko stoją z boku,
Lub tym są właśnie cierniem w oku,
Dla których pocisk się przeznacza,
Gdy im procesy się wytacza.
A był tu proces ten potrzebny?
Czy pokój u nas niemożebny
Tak, jak we wszystkich jest on klasach?" —
„Wyraźnie w mowy tej nawiasach
Zwracają ku mnie się pociski,"
Zaczyna mówić student Niski, —
„Lecz nigdy, nigdy bez powodów
Ojcowskich ja nie tknąłem wrzodów,
A jeśli kiedy powiedziałem,
Że do Moskala lgną z zapałem,
Lub, że za nimi każdy wzdycha
I do nich całą Ruś popycha
I za to nawet ruble bierze,
By ku ich szyzmatyckiej wierze
Powoli całą ludność skłaniać,
To nikt mi tego nie śmie wzbraniać
Otwarcie głosić w każdej porze,
I nikt zarzucić mi nie może,
Bym kłamstwem skalał moje usta,
By ma fantazja czcza i pusta
Wyssała z palca to oszczerstwo,
Bym na publiczne ich szyderstwo
I hańbę podał u narodu
Lub niepotrzebnie tknął się wrzodu,
Bo nawet całe wzrusza Państwo,
Gdy sławi obce ktoś poddaństwo
I w ludzie grunt mu sprawia żyzny.
Nie kocha pewnie ten ojczyzny,
Kto takich rzeczy nie wyjawia,
Bo wrzodów tykać się obawia,
Choć na istnienie takich wrzodów
Pod ręką dosyć ma dowodów.
Komisji żadnych się nie boję
I przy twierdzeniu silnie stoję,
Że rubel kwestyę ruską rodzi
I od tej wiary lud odwodzi,
Do której przylgnął całą duszą,
A jeśli mnie powiedzieć zmuszą,
Wyjawię także i nazwiska!" —
„Ej, rzecz to zawsze trochę śliska!"

Łagodnie rzekł mu na to Zgoda.
„Nazwiska niechaj zaraz poda!“
Swarliwy słychać głos Rusinów,
„Niech między nas nie wbija klinów!“
„Nie drażnij ojców posądzaniem
I z takiem nie wyjeżdzaj zdaniem,“
Głos Zgody silniej się odzywa,
„Co parzy tylko jak pokrzywa
I niepot zebnie drażni nerwy,
W narodzie każdym są i czerwy,
Co najsilniejsze drzewa toczą,
I kiedy na manowce zboczą,
Uwiodą wielu swym przykładem,
Zarażą wielu swoim jadem,
I Polska by dotychczas stała,
Gdy żadnych czerwów by nie miała.
A tam, gdzie naród z snu się budzi,
Tam łatwiej takich znaleść ludzi,
Co uwieść się z łatwością dają
I dla szatana grunt sprawiają.
Choć mogą takie być jednostki,
Co Moskwie tu budują mostki
I ty je wskażesz po nazwisku,
To tem narobisz tylko pisku,
Hałasu, wrzawy i goryczy.
Najbardziej żmija wówczas syczy,
Gdy kto na ciało jej nastąpi,
I zębów, jadu nie poskąpi,
By z forsą zatrząść tym zachwalcem,
Co śmie dotykać jej się palcem.
Pochowaj twoje więc dowody,
Bo niemi im nie zrobisz szkody
I nie pomożesz tem nikomu
I na się ściągniesz iskry gromu.
To samo dobrą jest oznaką,
Że brzydzą się już myślą taką,
By lud odwodzić od jej wiary
Uznając tych za godnych kary,
Co lud w objęcia szyzmy pchają,
I gardząc taką podłą zgrają,
Co z wszelkich zasad wiary szydzi,
Co i przekupstwem się nie brzydzi
I ludzi sprzedać jest pochopną.
Gdy sami takich zdrajców kopną,
To o cóż my się mamy kłócić?“ —
„Gdy mnie uparłeś się nawrócić,“
Powiada Niski, „to przystanę

Z pokorą nawet na naganę,
Jeżeli wszyscy mi oświadczą,
Że będą kroplą tą zaradczą
I sami kopną jak Judasza
Każdego wroga, co rozgłasza
Z ogromnym do Polaków żalem,
Że trzeba bratać się z Moskalem,
I modlić się do Rosji cara,
Że carska a Rusinów wiara
Nie różnią prawie się ze sobą.“ —
„Dysputa niemożliwa z tobą
I nie wart będzie torby sieczki,
Jeżeli z tej zaczynasz beczki,“
Z Rusinów mówi student Kusin,
„Bo żaden się nie wyprze Rusin,
Że woli Rosjan niżli Niemców,
Że w tych nie widzi cudzoziemców,
Z którymi nas nie jedno łączy,
U których krew słowiańska sączy,
A którzy w pełni dziś są siły.
Wolimy niż na zachód zgniły
Do Rosji oczy zwracać nasze,
A że nam panowanie lasze
Tak ciężko dało się we znaki,
Iż trudno, by był Rusin taki,
Co tęsknił by za polskiem państwem
I chciał pod Polski być poddaństwem,
Jest przeto naturalną rzeczą,
Że tylko pod rosyjską pieczą
Przyjść może Rusin do rozwoju.
Zostawcie przeto nas w spokoju!
Nie opiekujcie już się nami!
Pozwólcie, byśmy teraz sami
O własnym pomyśleli losie! —
Nie dali byście nam po nosie,
Gdybyśmy chcieli wam dyktować,
Jak wy dziateczki macie chować,
Jak je i czego uczyć macie?
Czyż sami się nie oburzacie,
Jak inni wam dyktują prawa?
Nie rządzi polska już buława,
By was obawiać się potrzeba.
Obejdzie się już ruska gleba
Bez narzucanych z Polski mamek!
Do waszych nie pukamy klamek,
I ani was nie chcemy sądzić,
Ni wami nie myślimy rządzić,

Ni w wasze się obrządki mieszać,
Ni was zasmucać, ni pocieszać,
Żadnego nie szukamy boju,
Zostawcie tylko nas w spokoju!
Zostawcie pełną nam swobodę!
Nie uważajcie nas za trzodę
A siebie samych za pasterzy,
Bo w naszym interesie leży,
By nasz charakter narodowy
Rozwijać według własnej głowy
I samym sobie ścielić łoże. —
Inaczej — zgody być nie może!“ —
„Tak jest!“ niektórzy potakują,
Niektórzy jednak protestują
I za to się wśród ostrych krzyków
Przezwami chrzczą perekińczyków.
I sami teraz się kozaczą
I sami sobie do ócz skaczą. —
„Hej! Dosyć by tych kłótni było!“
Rzekł, gdy się nieco uciszyło,
Donośnym głosem Iwan Hrynik,
„Gdy taki tego sporu wynik,
Już dłużej milczeć mi nie można!
Dotychczas jak ptaszyna trwożna
Jak syn prostego tylko chłopa
Nie urzędnika albo popa,
Cichutko stałem na uboczu,
Jednakże nie spuszczałem z oczu
Najmniejszej fazy tego sporu. —
Gdy wreszcie przyszło do wyboru,
Czy my o własny rozwój czujni
Iść z Polakami mamy w spójni,
Czy przeciw nim rozwijać ducha
I znów do knutów lgnąć obucha,
Nie mogę już żałować trudu,
By dać wam poznać wolę ludu.
Chłop ruski żyje z polskim chłopem
Pod jednym i tym samym czopem
I żył z nim tak przez długie lata,
Że jeden w drugim widzi brata
Czy w szczęsnej doli czy niedoli.
To samo, co Rusina boli,
A coście w zbytniej gorliwości
Na karb Polaków kładli złości,
To samo polskich chłopów gniotło.
Za jednakowe chłop pomiotło
Uchodził w ręku możnych panów

I panujących wówczas stanów
Bez względu, czy on był Rusinem,
Czy Krakowiakiem, czy Litwinem,
A ruscy bojarowie sami
Woleli stać się Polakami
I gdy się w Uńję zjednoczyli,
Najdobrowolniej się spolszczyli,
I nikt do tego ich nie zmuszał,
Nikt ich obrządków nie naruszał,
Nikt nie narzucał im opieki.
I otóż już przez długie wieki
Przywykliśmy iść jedną drogą
I mamyż dziś się kopać nogą?
Czyż lepiej nierozważnym rzutem
Pod srogim się zobaczyć knutem,
Niż z Polakami żyć w niewoli
I lepszej oczekiwać doli?
Gdy taką czyja jest ochota,
Do carstwa ma otwarte wrota,
Lecz ludu niechaj nie pociąga!
Niech wierze jego nie urąga,
Bo lud nasz knutów nie zachciewa
I ciężko już głowami kiwa
I głośno już zaczyna stękać
Gdy nie pozwala mu się klękać
Tam, gdzie już przywykł do klękania,
Gdy podczas mszy się nie przedzwania,
Lub inne zmiany tu wprowadza
I gust tem szyzmatycki zdradza,
Bo lud nie pragnie zmiany wiary
I w takie nie uwierzy mary,
By za polskiego kiedy rządu
Gorszego on doświadczał prądu,
By gorszą jego była skóra,
Niż Krakowiaka lub Mazura,
By kiedykolwiek ruskie modły
Polaków do ucisku bodły,
Gdyż to już bajką jest wierutną.
Ludową podnieść dolę smutną,
Gdy lepsza mu zabłysła zorza,
To jest powinność nasza boża,
To świętem naszem powołaniem,
A w tym rozwoju mojem zdaniem
Nie stoją w drodze nam Polacy,
Nie przeszkadzają naszej pracy
Około podniesienia ludu
I oczyszczenia z złego brudu.

Gdy zaś z Polaków kto spostrzeże,
Oznaki szyzmy w ruskiej wierze,
Do szyzmy modły i owacje
Lub gorsze jakieś machinacje,
By rozdwojenia siać nasienie,
To zgubnem było by milczenie,
Gdyż to narusza już te węgły,
Co tak nas ściśle z sobą sprzęgły,
Gdyż to już zrywa uńji śluby!“ —
„Niech żyje Hrynik brat nasz luby!“
Polacy chórem wykrzyknęli,
Gdy go na ręce swoje wzięli,
„Niech żyje Hrynik!“ co raz głośniej,
Co raz dobitniej i radośniej
Z ruskiego kółka głosy słychać,
„My z uńji się nie damy spychać!“
„Niech żyje uńja, jedność, zgoda!“
Ryknęła pierś z zapałem młoda
Z Polaków i Rusinów grona,
Gdy już rzucili się w ramiona
Najzagorzalsi przeciwnicy.
I nie ma zadnej już ulicy,
Co ich dotychczas przegradzała;
Skruszyła się niezgody skała
W serdecznej spójni piersi bratnich;
Dobywać z siebie sił ostatnich
Nawzajem sobie przyrzekają
I ręce na to zgodnie dają,
By ślubów uńji nie rozerwać
I ich nikomu nie dać przerwać,
I aż się wszyscy zapłonili
W tej wielce uroczystej chwili,
Swietlany urok z nich uderza,
Gdy zaśpiewali pieśń przymierza:

Dziś przymierze bratnie głosim,
Co spoiło ściśle nas,
Wszechmocnego Boga prosim,
By po wieczny trwało czas:
Niech brat bratu rękę poda,
Niech nie będzie żadnych tam,
Miłość, jedność, bratnia zgoda,
Zawsze niech przyświeca nam!
Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

Jak niewiasta po zamęzciu
Dzielić musi męża los,
I czy w szczęściu, czy w nieszczęściu
Każdy jego czuje cios,
Tak spojonych unją świętą
Jeden niech przejmuje duch,
Niech intrygą jej przeklętą
Wróg nie zdoła rozbić w puch!
Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

W szczęsnej czy w nieszczęsnej doli
Trza nam zgodnie z sobą iść,
Jednej tylko słuchać woli,
Nierozdzielną tworzyć kiść,
Gdy nas bowiem wróg rozłączy,
Łatwo mu nas będzie zgnieść,
Wówczas naszą krew wysączy,
Sponiewiera naszą cześć!
Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

Niech na wieki to przymierze
W krwi ludności naszej tkwi,
I z rodziny przykład bierze,
Gdy ją spoi magnes krwi:
Wtedy wyda owoć dzielny
I obfity zrodzi plon,
Wtedy zblednie wróg piekielny
I szatański zadrzy tron!
Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

Bratnie unji świętej syny
Niech się strzegą ojców wad,
I przez poświęcenia czyny
Silny zaprowadzą ład,
Świat nam wówczas pozazdrości,
Zgrzytnie tylko piekieł wąż,
A więc w zgodzie i karności
Stańmy jakby jeden mąż!

Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy
Idźmy razem choćby w grób!

Gdy ma coś być doskonałem,
Ma się składać z liczby trzy,
Rzym przysłowiem głosił stałem,
A tę trójcę mamy my!
W trójcę tę się sprzęgły kraje,
A to: Polska, Litwa, Ruś!
Jedne prawa i zwyczaje
Przeszły w ludność już na wskróś!
Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

Wiara, miłość i nadzieja
To korona wszelkich cnót,
Trójka tę koronę skleja
Topiąc żarem serca chłód:
Gdy te chrześcijańskie cnoty
Ujrzy w nas zaciętg wróg,
Blask wolności da nam złoty
W Trójcy świętej jeden Bóg!
Razem ręce sobie dajmy
Kiedy nas połączył ślub
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

Kiedy trąbka rzuci hasło,
Każe wrogów pędzić precz,
W kim uczucie nie wygasło,
Kto udźwignąć zdoła miecz,
Głosu trąbki tej posłucha,
A choć wrogów będzie ćma,
Uńja nam podniesie ducha
I zwycięztwo świetne da!
Razem ręce sobie dajmy,
Kiedy nas połączył ślub,
Jedni drugich wspomagajmy,
Idźmy razem choćby w grób!

VII.

„Pojetes! Łepak!“ Gigas woła,
„Pokażcie tu nam wasze czoła,
Nie kryjcie się tam gdzieś za drzewa!
Niech wasza Muza tu zaśpiewa,
Poezji zdradzi tajemnice!“ —
I rozjaśnione mając lice
Pojetes przyszedł do kolegów.
„Powiedzieć muszę bez wybiegów,“ —
Rzekł Łepak całkiem dobrodusznie,
„Tak jak jest prawdą, tak jak szłusznie,
Że wcale nie mam tryoletu,
Bo jego składu i szkieletu —
Nie potrafiłem ja zrozumieć.“ —
„„A widzisz, trzeba więcej umieć!““
Z tryumfem mu Pojetes rąbie,
„„By na Apolla zadąć trąbie
I ze mną puszczać się w zawody.
Posłuchaj więc poeto młody:

Co jest francuski tryolet?
Poemat krótki lecz uroczy,
A forma sama bije w oczy,
Co jest francuski tryolet.
I pozna, kto od a do zet
Po wierszach, rymach wzrok potoczy,
Co jest francuski tryolet,
Poemat krótki, lecz uroczy!““

To rzekłszy, szyję wyprostował,
„Przy ośmiuś wierszach potrzebował
Do ułożenia tryoletu
Całego użyć alfabetu?“
Zarzucił Łepak choć nieśmiało.
„„Z pewnością, moja mądra pało,
Tysiące razy więcej warta,
Niżeli twoja biała karta,
Co? — Widzisz, jak spuściłeś głowę!““
„Zanadto dumną masz wymowę,
Lecz może ja ci w czem dojadę!“ —
— A ma kto jaką z was szaradę? —
Kolégów słychać liczne głosy.
Pojetes w tył zarzuca włosy:

„„Co to u ciebie pod wozem?
— Pierwsze trzecie. —

Co przyprzągnięte powrozem?
— Wszyćko przecie! —
A co ty wieziesz na wozie!
— Trzecią z drugą,
Baranie i koźle czy kozie. —
— Jedź papugo!

Co? — Daje nieco do myślenia?"" —
Po małej chwilce już myślenia,
„Ja wiem! ja wiem!" co raz to częściej,
Co raz to pewniej, co raz gęściej
Z kolegów się wyrywa koła
„„Lecz wiersz i rym!"" Pojetes woła,
„„Podnosi wielce moję pracę!""
„To przy niej ja nic nie utracę!"
Powiedział Łepak, i bez zwłoki
Chwyciwszy się za oba boki:

„Gdy się wszystkiego za mało
Chłopcu na śniadanie dało,
Wziął na pierwsze tak zawzięcie,
Że po kilkunastym pręcie
Drugie i trzecie
Poczuł po grzbiecie."

Tak szybko im wyrecytował
I prędko się za plecy schował,
Że wyszukiwać go musiano
I wciąż powtarzać mu kazano.
I myślą, aż odgadli przecie.
„A tę szaradę odgadniecie?

Pierwsze przeczy, drugie dowodzi,
Trzeci naprzód, to tyłem chodzi,
Pierwsze z drugiem cnota dostanie,
Wszystko znaczy: politowanie."

Wyrywa ktoś się z pośród tłumu,
Lecz tem narobił tylko szumu,
Że niepotrzebnie nos swój wściubił.
„„W szaradzie przecieś się nie zgubił,""
Pojetes do Łepaka rzecze,
„„Lecz czy ottawę masz człowiecze?""
„Mam!" — „„Wie kto z was co to ottawa?""
„A cóż ma być? Jesienna trawa,
Powtórny pokos!" Gigas krzyczy.
„„Ot, trzymał język byś na smyczy,

I nie przerywał byś mi w mowie,
Gdy tylko siano masz w twej głowie!

Ottawa, poemacik włoski,
Zaledwie ośm wierszyków mieści!
A każdy wiersz dziewięciozgłoski
Po cztery jamby czule pieści,
Używać można ją bez troski
Za formę pieśni i powieści,
Byle by rym był gładki, czysty,
Spleciony zgrabnie i troisty.““

„Nie bardzo,“ woła Gigas, „czysty,
Gdy jeden — isty, drugi — ysty!“
„Ottawa,“ Łepak woła głośniej,
„Jak sądzę zabrzmi najdonośniej,
Jak jej w toastach kto użyje,
Gdy są uroczystości czyje.“ —
„„Po co,““ Pojetes rzecze, „„wykład?
Bez wstępów daj nam jakiś przykład!““

„Gdy w wesołem wnuków gronie,
Pośród modłów i pacierzy,
Ksiądz połączy wasze dłonie,
Półwiekowy ślub odświeży,
Złotym wieńcem splecie skronie,
Niechaj zagrzmi huk moździerzy
I po całym niech kościele
Złote Państwa brzmi wesele!“

Wygłosił Łepak uroczyście!
— Nie pokpił się. — A może byście
Z sonetem teraz wystąpili?
Kto też się lepiej w tem wysili? —
Z gromadki zewsząd słychać głosy.
Pojetes w tył zarzuca włosy,
Zachodzą oczy mu ekstazą
I z wielką głosi im emfazą:

„„Kiedy wędrowca w głuchej pustyni
Ciemna noc zajdzie, zaćmi mu oczy,
Gdy naraz jakby w zamkniętej skrzyni
Straszna go duszność zewsząd otoczy,
Dotąd nie wiedząc nawet, co czyni,
Po błędnem kole bezwiednie kroczy,
Aż mu jutrzenka jak gospodyni
Ranny okaże wzrok swój uroczy:

Tak i ja błądzę w myśli choasie,
Darmo poezji szukam natchnienia,
Nikną wyrazy w zachrypłym głosie,
Długo je proza gorzka ocienia,
Aż twój jutrzenko odbłysk na rosie
Prozę w poezję słodką zamienia.““

A pięknie! krzyczą wszyscy żwawo,
Pojetes brawo! brawo! brawo!
Aurora Musis est amica,
Wyraźnie z wierszów tych wynika.
— Jak teraz Łepak się popisze? —
Milczenie wnet osiadło mnisze,
Gdy ledwie dosłyszalnym głosem
Wygłosił Łepak po pod nosem:

„Za prosięta, owce, kurki,
Szlachcic sto papierków wziął,
I schowawszy je do burki,
Na zły jarmark jeszcze klął:
Po ośm złotych za prosięta,
Za owce po złotych sześć,
Po pół ledwie za kurczęta,
A — to nie trza chleba jeść!
Lecz najbardziej mi na karku,
Żem przychowku aż sto sztuk
Sprzedał dzisiaj na jarmarku,
A pieniądze pożre dług!
Zgadnij teraz mądry Marku,
Ile z czego sprzedał sztuk?“

Pojetes w głośny śmiech wybucha:
„„Pokażcie no mi tego zucha,
Co aż w sonetu pięknej ramie
Rachunkiem ludziom głowy łamie!““
Jednakże inni się nie śmieją:
Nad rozwiązaniem głowy grzeją
Tak zadanego im zrównania. —
„„Łepaku! Skromność mi zabrania
Nad własnym tworem się unosić,
Pozwolisz jednak się poprosić.
Byś na to swą uwagę zwrócił,
Żeś w wielu miejscach rym ukrócił,
I że poezja rachunkami
Krytycznej głowy nie omami,
Poezja a rachunek — sprzeczność!““
„A czy osiągli kiedy wieczność,

Co drugich tylko małpowali?
Czy nic nowego na tej szali
Już więcej nie da się pomieścić?
Czy ma poezja tylko pieścić,
Rozczulać naród zniewieściały?“
„„Tak jest, tak! nowicjuszu śmiały!
Poezja zawsze jest złudzeniem,
Rachuby gardzi ona rdzeniem,
Rachunki niechaj proza siecze!““
„A kiedy,“ Łepak głośniej rzecze,
„Pomimo mej najszczerszej chęci
Rachunek zawsze mi się wkręci!
Zacząłem myśleć o dziewicy,
Najczystszej w świecie czarnolicy,
A nie jakiejś tam ladajakiej,
Lecz widzę ją w pozycji takiej:

Już mnie nawet bolą pięty!
Liczę, stoję kieby wrosła,
We sześć szóstek i trzy centy
Przeciem kopę jaj przyniosła,
Dwa po trzy... trzy po dwa centy...
A, to trzeba chyba osła!
Tak!... nie... nie... tak.. Boże święty!
Takać zawsze bieda posła.
I po ludzku, i po bosku,
Źle i dobrze dziewczę myśli,
I po włosach, czole, nosku,
W zamyśleniu palcem kreśli,
Wreszcie przychodzi do wniosku:
Wse trzy jaja djabliświśli!“

„Niech żyje!“ Gigas krzyczy, „Łepak,
Bo kapitalny z niego cepak!
Nie wiedział co to tryolety,
Lecz za to zmłócił dwa sonety!“ —
Koledzy jednak mu nie wtórzą,
Gdyż pracą myśli swoje nużą,
By wnet rozwiązać to zadanie. —
Lecz czy był kto z nich obu w stanie
Okrągły trudny wierszyk zrobić,
By całkiem przeciwnika pobić?
Co raz to częstsze głosy słychać.
Pojetes ciężko zaczął wzdychać,
Wypycha teraz wprzód Łepaka.
„Zkąd wzięła ci się grzeczność taka!“
Zdumiony Łepak zapytuje,

„Tak górno ślina ma nie pluje,
By aż pierwszeństwo ci odbierać
I głośną sławę twą zacierać!“ —
— Pojetes naprzód! słychać głosy.
Pojetes więc zarzuca włosy,
Odgarnia je z smętnego czoła
I znacznie ciszej teraz woła:

„„Okrągły wiersz na święty Jur
Masz zrobić mi, lecz w pięknej szacie,
A gdy mi doń kochany bracie
Dorobisz nutę na ce-dur,
To dam w podarku ze sześć kur,
Inaczej cię w twej własnej chacie
Zaszyję w wór i poszlę w bór,
Bo muszę mieć na święty Jur
Okrągły wiersz!
Ha, rób co chcesz! Bij łeb o mur,
A wiersze klej! Aż pięć na „acie,“
A resztę ośm ma być na „ur!“ —
Pisz dalej pisz! — I otóż macie
Bez wielkich łat, bez grubych dziur
Okrągły wiersz!“ “

„Aj, aj! Aż kur-ur-urcz mnie chwyta!“
Za brzuch się biorąc Gigas zgrzyta,
W tem Łepak całkiem pomalutku
Wygłasza z twarzą pełną smutku:

„W żołądku czczo! — Nie jadłem nic, —
Zaledwie zdołam nogi wlec! —
Mój pan przy tłustym podwieczorku,
Rumiany, pulchny jakby rydz,
Wysyła mnie każdego wtorku:
— Do miasta! kupić tuzin świec!
Co tchu ci stanie każę biedz! —
Choć pieniądz mam na brzuchu w worku,—
W żołądku czczo! —
Oj czczo! — Już głód zaczyna piec! —
Nie mogę iść... trza spocząć... ledz...
Aj, biedny, biedny Teodorku,
Kamienie chyba twarde jedz,
Bo w sercu mdło... i ciemno w borku...
W żołądku czczo!“

„„A bój się Boga, śmiały człecze!“ “
Pojetes z oburzeniem rzecze,

„„Jak można przedmiot tak tragiczny
W okrągły wiersz umieszczać śliczny?““
„Wolałbyś,“ Łepak odpowiada,
„By w nim miłości się tyrada
W uczucia objawiła grozie
Na przykład w jakiejś takiej pozie?

Nie kocham Cię! — Daremny trud!
Nie może być weselnych gód!
Choć Twa źrenica ogniem błyska,
Choć krew namiętnym żarem pryska,
Nie stopi się mój zimny lód!
Nie splami mnie parzący brud,
Nie dotknę ja Cię nigdy zbliska!
Ty bledniesz? — Powiedziałem wprzód:
Nie kocham Cię?
Ach Boże mój! Ten jeden cud:
Wyrównaj nasz nierówny ród,
Inaczej miłość bardzo śliska
I wcześnie grozi zimny chłód!
Lecz niech Ci serca ból nie ściska
Nie! — Kocham Cię!“

Wygłosił z taką ciętą werwą,
I z tak wyrachowaną przerwą
W ustępach pojedynczych wrażeń,
Z obliczem pełnem smętnych marzeń,
Gorąco, jednak bez przesady,
Że po skończeniu tej tyrady
„Niech żyje Łepak!“ wszyscy krzykli,
Nie tylko już koledzy zwykli,
Lecz i Pojetes niespodzianie
Wyraził mu powinszowanie
I złączył się z kolegów chórem,
Gdy wszyscy otoczyli murem
Łepaka uszczęśliwionego
I — całkiem już był kontent z niego.
„Panowie!“ rzekli im ósmacy,
„Musicie zaprząc się do pracy
I drugie jeszcze gniazdo zrobić
I choć cokolwiek przyozdobić,
Gdyż mnóstwo ma się zjechać gości!“
Na to w ochoczej wnet radości
Jak na komendę jednej chwili
Do pracy wszyscy się rzucili.

„„Najprzód ma być dan
Roboty plan!
Ja nad tem pomyślę
I plan wam określę,
Stańcie tylko w rząd
Ot ząd!

Kto dzieło zaczyna bez planu
I puści na ślepy się traf,
Jak okręt wśród burz oceanu,
Gdy nagle się znajdzie wśród raf,
Nabłąkać się musi bez końca,
Iść naprzód i cofać się wstecz,
I wstydzić jasności się słońca,
Bo wszędzie wynajdzie się — lecz!

Kłótnię, wrzawę, pisk,
Wyradza ścisk!
Rozstąpcie się z kupy,
Rozdzielcie na grupy,
A zajęcie wam
Wnet dam!

Posmakiem odtrąca niemiłym
Zaducha, i ciemność, i gwar,
Gdy w myśli choasie zawiłym
Bezładnie panuje wir war!
Lecz gdy się obrazy rozdzieli,
Wprowadzi porządek i ład,
Wspaniały widnokrąg uścieli
I wskaże uroku nam kwiat

Grupa ta ma iść
Po pręt i liść!
Ta niemi tu będzie
Uwieńczać narzędzie,
Ta donosić ma,
Co trza.'

A wówczas i sprzeczne jednostki,
Od których odrażał nas wstręt,
Ciekawość już budzą, jak krostki,
Bez których by znużył nas sprzęt,
A nawet łomotem i trzaskiem
Nie zrazi pożarów nas zgliszcz,
Gdy miłym harmonji odblaskiem
Okrasi prawdziwy je mistrz.

Trzeba najmniej trzech,
By szli po mech!
A reszta do rydli,
Niech gniazdo oskrzydli,
Grunt wyrówna mu,
Ot, tu!

Nie można jednakże bezkarnie
Zwierzęcość obudzać i chuć,
Okrywać potrzeba i tarnie.
By nagość nie mogła ich kłuć,
Lecz i niedobranym ubiorem
Najgładsza zeszpeci się twarz,
Dlatego przed każdym utworem
Dokładnie obliczać się masz!

Aby zrobić krąg,
Tu wbijam drąg!
Od tego to drążka
Pokaże wam wstążka,
Gdzie ma obwód być,
Zkąd ryć!

Kto środka we wszystkiem się trzyma,
Nie porwie skrajności go prąd,
Bo stały ma punkt przed oczyma,
Wie dokąd on zdąża i skąd,
I skrzętnie pilnując obwodu,
Wśród ostrych nie znajdzie się skał,
A prądy, co rwały za młodu,
Nie wprawią już w żaden go szał.

Ziemi nie trza krzyć!
Lecz głębiej ryć,
By większe kawały
Do siedzeń się zdały,
Wierzchnich strzec zaś traw
Dla ław!

Niesmaczne są takie potrawy,
Gdzie soli i przypraw czuć brak,
A cukier potrzebny do kawy,
By słodzić za gorzki jej smak.
Bez przypraw to każdy artysta
Wodnisty by stał się i mdły,
Lecz nigdy niech myśl przeźroczysta
Nie kryje się grubo za mgły!

Tędy ma być wchód
Na gniazda spód!
A teraz siódmacy
Ochoczo do pracy,
Bo to naszą cześć
Ma wznieść!

Czem myślą uniesiesz się świętszą,
Szatani nie dadzą ci tchu,
I różne trudności napiętrzą,
Na miękim nie spoczniesz tu mchu,
Lecz nigdy niech zapał młodzieńczy
Nie boi szatańskich się sił,
A wawrzyn ci skronie uwieńczy
I wiecznie ci będzie je wił!""

VIII.

„Hej, Hej! Panowie walturniści!
Zabraliście się tam do liści,
A tu minęło już południe!
Nasz obiad wprawdzie nie wychłódnie,
Lecz czas posilić nieco ciało,
By przecież głodu nie cierpiało,
Dawajcież do obiadu sygnał!" —
I zaraz ich od liści wygnał
Na wszystko ich przywódzca czujny.
I brzmi w powietrzu ryk potrójny,
Grzmocące trysły dźwięku bomby,
Gdy zgodnie naraz trzy aż trąby
Jedynym je wstrząsnęły rykiem. —
Zapewne takich trąb okrzykiem
Zatrzęsły mury się Jerycha;
Runęła groźna wrogów pycha,
Co z Izraela długo drwiła,
Gdy trąb w nie uderzyła siła.
Zapewne takich trąb tryllery
Powietrze ostrzej niż siekiery
W dniu ostatecznym będą pruły,
Swym grzmotem wskrzeszą słuch nieczuły,
Uśpione już sumienia wzruszą,
Zatrzęsą każdą ludzką duszą
I będą strasznie brzmieć bez przerwy,
Aż wskrzeszą obumarłe nerwy,
Rozniosą lament, postrach, trwogę,
I wskażą zmartwychwstałym drogę,

Gdzie Bóg ich będzie sądził czyny,
Rozdzielał ciernie i wawrzyny,
Aż straszny głos ten archanioła
Na Boży wszystkich Sąd powoła,
By każdy wyrok swój odebrał
I owoc życia swego zebrał....
Już walturniści grać przestali,
Ryk jednak po powietrznej fali
Co raz to dalej odgłos niesie,
I łamiąc się po gęstym lesie
Wybucha głośniej gdzieś w oddali. —
I jeszcze hasło raz zagrali
W przeciwną obróceni stronę,
By delikatną uszu błonę
W najdalszych lasu kątkach drasło. —
Studenci zrozumieli hasło,
Bo pojedynczo, lub w gromadkach,
Czy w większych, czy też mniejszych stadkach
Ze wszystkich stron nadchodzą spiesznie,
A wszystko żwawo i ucieszníe
Zabiera wnet się do obiadu,
Przy którym starsi strzegą ładu
Wybryki karcąc i swawole. —
Przy kwieciem ubarwionym stole,
Na białym, lśniącym się obrusku,
Na pierwsze zupa po francusku
Upstrzona jarzynami gęsto,
Wśród których jakaś kluska często
Okrągły pokazuje grzbiecik,
Na drugie kruchy zaś pasztecik
Zieloną okraszony trawką
Z móżdżkową jakąś w środku wstawką,
— Jak kucharz był wymyśleć w stanie, —
A po naczynia skrzętnej zmianie
Na trzecie mięso z jakimś sosem
Bijącym wonią po pod nosem,
Następnie pieczeń lecz nie tłusta,
A do niej marchew lub kapusta,
Buraczki lub sałata chłodna,
Następnie jakaś pianka modna.
Dla której nawet nazwy nie ma,
— Z francuska tylko zwie się krema, —
Na szóste bażant lub indyki,
Dubelty, kaczki albo kryyki,
Z kompotem słodkim, lepkim, wonnym,
Z urokiem miłym, zabobonnym,
Co bez zachęcań przecież nęci

I krew namiętnie w sercach męci,
Wśród tego wino co raz inne.
Z początku młode, lekkie, winne,
Następnie z co raz większą siłą,
Z przedziwnym smakiem, wonią miłą,
— A wszystko z jak najlepszej sorty, —
I wszelkie wreszcie słodkie torty,
Likiery, lody i andruty,
Więc taki nawet obiad suty,
Wyrachowane takie dania
I obliczone serc wylania —
Smakoszów tak nie zadowolą,
Jak dziś studentów rogal z solą,
Na drugie chleb razowy z masłem.
Z uczuciem głodu niewygasłem
Do jadła się jak wilczki biorą,
By tylko porcję dostać sporą
I jak najprędzej ją pochwycić
I głód piekący nią zasycić. —
I zaraz młodzież się skwapliwa
Z szklankami rwie ku beczkom piwa
I prosto w szklanki z beczek toczy,
Cenzorzy zaś zwracają oczy
We wszystkiem na porządek pomni,
By całkiem źle nie wyszli skromni,
Łakomi zbytnio się nie skuli, —
I wrze, jak gdyby koło uli,
Apetyt i pragnienie wzrasta, —
Gdy w tem nadwożą prosto z miasta
Tłustości pełne i rumieńców
Pachnących kiełbas kilka wieńców
I po kawałku wszystkim dają. —
I profesorzy często stają,
A ten apetyt małych ludzi
W nich samych już apetyt budzi,
I do nich zapach kiełbas leci,
A tylko obaj katecheci
Głowami smętnie coś kiwają,
Choć głośno nic nie objawiają. —
Zapewne duma ksiądz Katabas,
Jak mogą żydzi jadać w szabas,
I moi jedzą, choć sobota,
Pomyślał pewnie ksiądz Kapota,
Nikt dobrowolnie dziś nie pości,
Gdy ujrzał, w jakiej skwapliwości
Do kiełbas się zabrała dziatwa,
I — ciężko mu to myśli gmatwa. —

W pobliżu gniazd po trudnej pracy
Usadowili się ósmacy,
Do siebie profesorów proszą
I zaraz ich toasty wznoszą. —
Z początku chwiejnie i z rezerwą,
Lecz później z co raz większą werwą,
Na równi z studentami pili,
Gdy więcej się rozochocili
Stateczni zwykle profesorzy,
I do przyjaźni szczerszej skorzy
Traktują tych abiturjentów
Nie za zwyczajnych już studentów,
Lecz jak za młodych swych kolegów.
Nie szczędząc większych już zabiegów
Z poufałości tej kontenci
Starają szczerze się studenci,
By jak najsuciej ich traktować.
Zaczęto wkrótce już żartować,
Puszczono w różne się gawędki,
I wszczął się dyskurs lekki, prędki,
Gdy profesorzy się pytali,
Czy zawód życia już obrali. —
„Już me nazwisko,“ rzecze Redyk,
„By ze mnie, wróży, stał się medyk,
Lecz nie cielesną medycyną,
Od której często ludzie giną
Miast marne życie swe przedłużyć,
Lecz tą duchowną chciałbym służyć,
Co dusz cierpienia ludzkich słodzi
A nigdy żadnej nie zaszkodzi
Niebiańskiej udzielając rosy.“
I ja, i ja, dość liczne głosy
Do tego się zawodu chylą. —
„Gdy szyki mi się nie pomylą,“
Z kolei mówi student Sawa,
„To po skończonych studjach prawa
W mojego ojca wstąpię ślady
I prawnej chcę udzielać rady,
I ludziom spory przeć do końca
Jak ich adwokat i obrońca,
Ponieważ tego stanowiska
Sprężyna z góry nie naciska,
W niem można więc z sumieniem zgodnie
Pracować śmiało i swobodnie
I w pracy tej mieć niezawisłość.“
„Systematyczna pracy ścisłość,
Co was jej nauczono w szkole,

Otwiera piękne przecie pole,“
Powiedział któryś z profesorów,
„Do chleba, karjer i honorów
W rządowej służbie, — tej maszynie,
Co stoi jakby na wyżynie
Po nad ludności głowy wzrosła,
Po nad ich prądy i rzemiosła,
I z swojej podniesionej nawy
Ludzkiemi się zajmuje sprawy
I nad powszechnym czuwa ładem. —
Że władzy stroi ją dyadem,
Że pojedyncze jej czynniki
Poskramiać mają wybryk dziki
Łamiący władzę lub ustawę
Lub wstrząsający państwa nawę,
Że w takiej maszynerji rządu
Jednego trza się trzymać prądu
I przełożonych słuchać woli,
To serce pewnie nie zaboli,
Jeżeli o tem się pamięta,
Że jedna wola nieugjęta
Skutecznie tylko może rządzić,
Bo, że najłatwiej wtedy zbłądzić,
Gdy prócz natchnienia swego ducha
Innego się niechętnie słucha,
Zarządzeń wyższych się nie poprze
Lub nawet im się czynnie oprze,
Historja nasza nas poucza.“ —
„Tajnego rządów nie znam klucza.“
Powiada Licki im z kolei,
„Lecz niech mi wolno żyć w nadziei
Że nie ma takiej tam palicy,
By ją państwowi urzędnicy
Dotkliwie po nad sobą czuli
I najniewinniej ludzi kuli,
By wbrew ustawom i sumieniu
Jakiegoś słuchać mieli cieniu,
Sumienia gwałcić i ustawy
Z kaprysu tylko lub zabawy,
Upadku by to było wróżbą
I gardzić trza by taką służbą,
Co uśmiech w twarzy ma nieszczery
A w sercu żądła i chimery,
Któremi bliźnich uciemięża.
Z ambony nawet głoszą księża,
Że sługa nie śmie słuchać pana,
Gdy jego wola wyuzdana

Niewinnie kogo każe smagać
Lub inny zechce grzech wymagać!
Że jak i każda służba inna
Swych przełożonych czcić powinna
I ciężką się zajmować pracą,
To przez to przecież nic nie tracą
Z przymiotów najzacniejszej duszy,
Sumienia im to nie zagłuszy,
A z tą nadzieją w służbę rządu
Zamierzam wejść, i to — do sądu!“ —
„Jakkolwiek już przykłady mamy,
Że nie są nam zamknięte bramy,“
Następnie mówi Golden żydek,
„Jak przed szarańczą kantarydek
Do jakichkolwiek miejsc zaszczytnych,
Potrzeba jednak bardzo sprytnych,
By nie pozostać gdzie w ukryciu
Lecz wybić się w praktycznem życiu
Na zaszczytniejsze stanowisko.
To jest dla żydów bardzo ślisko
I łatwo można zwichnąć nogę,
Dlatego gładszą wolę drogę,
Po której zwykle chodzą żydzi,
Na której nikt się nim nie brzydzi,
Lekarzem chciałbym prostym zostać.
Tu chrześcijanom mogę sprostać
A nawet ich prześcigać śmiało!“ —
„A tobie co się podobało?“
Pytają wszyscy Łojewicza.
„Nie chciałbym słuchać tego bicza,
Co z forsą nawet mnie napędza.
Na księdza tylko i na księdza!
Dla mej familji niezawodnie
Przyjemnie bardzo i wygodnie
Mieć jakieś takie popychadło,
Co mogło by jej dawać jadło,
Lecz mnie boleśnie to dotyka!
Matematyka lub fizyka,
To lube dla mnie są przedmioty
A nie ewangeliczne cnoty!“ —
„Najgorzej!“ krzykli profesorzy,
„Bo filozofja głodem morzy.
Nie zbierze tutaj nikt dukatów!
Dwadzieścia jeden kandydatów
Do lubej twej matematyki
Już o posady wznoszą krzyki,
I naturalnie bez nadziei,

Bo w całej naszej Galilei
Jest dziewiętnaście posad takich!“ —
„To niech zawodów wielorakich
Osobno kandydaci staną
Ot tu, pod budką kręgielnianą,“
Łojewicz na to odpowiedział,
„A wtedy może będę wiedział,
Do której ja mam przystać rasy.“ —
Tę myśl gospodarz poparł klasy,
I wnet w osobnych grupkach stają
I do przeglądu zachęcają. —
„Nie widzę jeszcze tu oblicza
Celującego Łojewicza,“
Gospodarz mówi ósmej klasy.
„Jam zabrał tu się do kiełbasy!
Bogatszym świeci słońce jasno,
A biednym wszędzie bardzo ciasno,
Czekałem więc spokojnej chwili,
By wszyscy mnie się ustąpili,
I pod te strasznie ciężkie czasy
Dorwałem przecież się kiełbasy!“
I je z prawdziwym apetytem
Na miejscu, które zdobył sprytem,
I tylko im porusza rzęsą,
Gdy wszyscy się od śmiechu trzęsą. —
„Koledzy! Szczęście mi przyniesło
Na chwilkę prezydjalne krzesło! —
Czy pan Profesor mi pozwoli,
Że korzystając z szczęsnej doli
Mą myśl kolegom ztąd wyłuszczę,
Nim pierwsze miejsce to opuszczę?“ —
„I owszem proszę, bardzo proszę!“
„Słuchajcie tedy, co ogłoszę!“
Łojewicz mówi wzniosłym tonem,
„Przed trzystu laty wielkim dzwonem
Z Lublina ogłoszono światu,
Że brat podaje rękę bratu,
Że trzy słowiańskie bratnie ludy
Radośnie, szczerze bez obłudy
Spajają się w jedyny związek
Przyjmując na się obowiązek
Strzeżenia Rzeczypospolitej
Najszczelniej z ludów trzech spowitej,
By wszelkie jej podzielać losy
I w trzech odbijać wrogów ciosy.
Gdy jużeśmy się umówili,
By tu, koledzy moi mili,“

Rzekł uprzejmości pełen gestu,
„Po latach zebrać się dwudziestu,
Niech nam się przykrość ta nie zdarzy,
By nas tu spotkał widok twarzy,
Co by dla jakichkolwiek zysków,
Stanowisk, orderowych błysków,
Rozdzielał te spojone szczepy,
Lub był na rozdzielania ślepy
I dopomagał do ucisku
Na jakiemkolwiek stanowisku.
Niech każdy zawsze z nas pamięta,
Że nad jednostką unja święta,
Niech duch jej zawsze będzie z nami!"
Zakończą mowę już ze łzami,
„Niech w całem naszem życiu wszędzie
Pamiętaj! — hasłem naszem będzie!" —
„Pamiętaj!" hukło jednym chórem,
„My naszej unji będziem murem
I bronić w każdej jej potrzebie!"
A tylko Niemcy pewni siebie
Znacząco głową im kiwali,
Lecz krzyczeć im nie przeszkadzali.

Wesoło nam tu razem było,
Po koleżeńsku tu się żyło,
Ozłacał nas tu mir:
Stajemy teraz u tej bramy,
Przy której w świat się rozejść mamy,
By iść na życia wir!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

Nie było między nami panów,
Nie znaliśmy różnicy stanów,
Kolegą każdy był:
A jakie tam nurtują prądy,
I jakie tam panują rządy,
Przed nami kryje pył!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

Tu wszystkie nasze trudy szkolne
I wszystkie nasze chwile wolne
Ożywiał jeden duch:
Tam nowe życie się zaczyna,
Każdego inna pchnie sprężyna,
W odmienny wprawi ruch!

Śpiewajmy więc, trzymajmy się
Wspierajmy się, kochajmy się!

Tu nikt drugiemu nie zazdrości,
Gdy owoc zbiera swych zdolności
I celującym jest:
Tam może im szatańskie wpływy
Przez ciernie każą i pokrzywy
Odbierać życia chrzest!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

Dotychczas żyło się bez troski
I urok podziwiało boski
Harmonji twórczych sił,
Tam ludziom myśli zaś ugrzęzły
We familijne tylko węzły,
A ogół dla nich zgnił!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

Tu każdy odrobinę chleba,
Jakiego mu do życia trzeba,
Bez walk namiętnych miał:
Tam może chleba wydobycie
Zatruwać będzie całe życie
I wprawiać wielu w szał!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

Tu wszystkie uroczyste chwile
Ozłacał zawsze bardzo mile
Harmonji bratniej blask:
Tam może dzielić każą z góry
I burzyć tę harmonji mury,
By zmysł im poił trzask!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

Cokolwiek nas tam spotkać może,
Czy miękie, czy też twarde łoże,
Czy jasność, czy też cień;
Czy tam staniemy na świeczniku,
Na samym przodzie, lub w kąciku,
Pomnijmy na ten dzień!
Śpiewajmy więc, trzymajmy się,
Wspierajmy się, kochajmy się!

KONSTYTUCJA.

1 *Konwiktu zacna Kierowniczko,*
Z ozdobnem gronem dam,
Twych wychowanic świeże liczko
Racz tu okazać nom!
Bo jak bez kwiecia smutne pole,
Choć je porośnie źdźbło,
Tak było by i w naszem kole
Bez wonnych kwiatków mdło!
Witamy was, szczerze witamy.
Ozdobo naszej płci,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
Będziecie u nas w czci!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

2. *Czcigodny pan Dowódzca pułku*
Zaszczycić raczył nas,
Witamy Panów w naszym kółku,
Witamy mile was!
Dziś mocno na tem nam zależy,
By tu ubarwić grę,
A gdzie panowie Oficerzy,
Zabawa uda się!
Witamy was, szczerze witamy
Salonów naszych lwy,
Przestąpcie więc wejście tej bramy,
Zobaczcie nasze gry!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew! :|

2. *Witamy pana Konsyljarza*
Z rodziną jego cną,

Niech od młodości nam ołtarza
Do rodzin serca lgną!
Ofiarujemy chleb i wino,
Na jakie nas tu stać,
Ofiarą nie gardź tą rodzino
I serce sercem płać!
Witamy więc, szczerze witamy,
Rodziny wzniosłą kiść,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
Ku gniazdom raczcie iść!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

4. *Kochany panie Profesorze*
Witajże u tych bram!
Ty ziarna w serca siejesz boże,
Umysły kształcisz nam
Nieociosane sieczesz głazy,
By korzyść mogły nieść,
Wdzięczności za to przyjm wyrazy,
Składamy Ci tu cześć!
Witamy Cię, szczerze witamy,
Boś miły dla nas gość,
Przestąpże już wejście tej bramy,
Tu miejsca mamy dość!
Witamy Cię, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpże już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

5. *Podziękę panie przyjm Rejencie!*
Żeś tu odwiedził nas,
By udział wziąść w studenckiem święcie
Z córkami swemi wraz!
Niech ich zapłoną oczy żarem
I twardy topią lód
Ujmują wszystkie serca czarem,
Roztoczą woń i miód!
Witamy was, szczerze witamy,
Zabłyszczcie blaskiem gwiazd,
Przestąpcie więc wejście tej bramy.
I raczcie iść do gniazd!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

6. *Prosimy Cię Doktorze młody,*
Byś bramę zechciał przejść,
By ujrzeć panie jak jagody,
Do gniazd Ci trzeba wejść!
Pomożesz Ty nam Panie bawić,
Bo w tem rutynę masz,
I pary w tańcu jak ustawić,
Dokładniej od nas znasz!
Witamy Cię, szczerze witamy,
Boś miły dla nas gość.
Przestąpże już wejście tej bramy,
Tancerek mamy dość!
Witamy Cię, szczerze witamy,
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpże już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

7. *Powitać Mecenasa pana,*
Dostojnej Pani cześć!
Niech będzie ukoronowana
Ta ujmująca wieść:
Że serce sercem tu odgadło,
Gdzie szczęścia błogi raj,
I jaki serc dobrane stadło
Uroku zdobi maj!
Witamy was, szczerze witamy,
Niech lśni miłości czar,
A przykład wasz otworzy bramy
Do związku świeżych par!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy
By ujrzeć gry i śpiew!

8. *Dla cnego pana Inżyniera*
I dla łaskawych Pań
Studencka brama się otwiera
I wejść uprasza zań,
By być świadkami zabaw naszych
I wytężania sił,
Ażeby ogień w sercach waszych
Pamiętnie dla nas tlił!
Witamy was, szczerze witamy
U naszej bramy wrót,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
Otworem stoi wchód!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,

Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

9. *Witamy pana Dobrodzieja*
Z familją całą Twą,
Powita nasza was aleja
Z należną Państwu czcią!
Wesoło nam tu razem będzie,
Upłynie szybko czas,
Gdy grami się zaroi wszędzie
Żywiczny świeży las!
Witamy was, szczerze witamy
Przy dźwięcznem brzmieniu trąb,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
Prosimy dalej w głąb!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

Tak we dwa rzędy młodzież zbita
Uprzejmie swoich gości wita,
Aleje tworzy wprost od bramy
I śpiewa dźwięcznie wciąż „witamy!“
Ostatni czterowiersz powtarza,
Ukłonem radość swą wyraża
I mile gościom patrzy w oczy. —
Aż w głąb przenika wdzięk uroczy
Tym powitania hucznym wtórem,
Gdy w bramie powitani chórem
Dobranej dla nich zwrotki wdzięcznej
I echem ich kapeli dźwięcznej
Przechodzą goście wystrojeni;
I niejednemu twarz się mieni
W przechodzie przez aleję żywą,
Niejeden czuje uporczywą
Z młodzieńczych wspomnień łezkę w oku,
Niejeden ją obciera z boku,
Gdy silniej w oczach się zakłębi,
Niejeden z piersi westchnie głębi,
Gdy cięższy kamień mu ją gniecie,
A wszyscy w innym tu się świecie
I odmłodzeni tu się czują.
Z początku wszystkim asystują
Studenci strojni w pstre kokardy,
Co tu piastując urząd hardy
Witania zaproszonych gości,

Odznaką dmą się swej godności
I gości dalej w głąb prowadzą,
Dopóki ich gdzie nie usadzą.
A gdy moździerzów trzy wystrzały
Zbliżanie się zapowiedziały
Ukochanego Dyrektora,
Natychmiast staje jak zapora
Kapela z chórem w samej bramie,
I młodzież uczuć swych nie kłamie,
Gdy bez danego naprzód hasła
Jak jedną piersią „wiwat!“ wrzasła,
I jeszcze „wiwat!“ gardłem całem
Powtarza szkolna młódź z zapałem,
I radość lśni z każdego oka,
Gdy postać w bramę już wysoka
Ich Dyrektora się zbliżyła.
A choć się już przed wzrokiem skryła,
Choć grzmieć studenci już przestali,
To jeszcze lasy gdzieś w oddali
Wyraźnie: wiwat!-iwat-iwat!
Ostatnie powtarzarzają wiwat,
Jak gdyby lasy też w około
Podniosłe dyrektora czoło
Mieszczące umysł tak wspaniały
Okrzykiem swym powitać chciały.

Przezacny Księże Dyrektorze
Na chwilkę tutaj stań,
I przyjm niesioną Ci w pokorze
Wdzięczności naszej dań!
Ty pilnie nad tem czuwasz w szkole,
By nas nie toczył mól,
My za to Ci tu w naszem kole
Dajemy chleb i sól!
Witamy Cię, szczerze witamy,
Tyś pierwszy dla nas gość,
Niech raczy już wejście tej bramy
Przestąpić Wasza Mość!
Witamy Cię, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpić racz wejście tej bramy
By ujrzeć gry i śpiew!

I przez kapelę poprzedzany
Powoli kroczy pośród ściany
Studenckiej żywej tej alei,
I dziwnie mu się serce klei,

I łza wyraźnie w oku kręci,
Gdy mali wszędzie mu studenci
Z miłością miłe szlą „witamy!“
I choć powstrzymał się u bramy,
W alei wzrok się mu zamakał,
Aż w końcu już się w głos rozpłakał,
Tak byli mu studenci mili!
Gdy wyżej go podprowadzili,
Gdy w poważniejsze wszedł już grono,
Gdzie go natychmiast otoczono,
Na dawnych znowu miejscach stają
I dalej gości swych witają.
I patrzą drzew wierzchołki z góry
Na różne stroje i mundury,
Co im u nóg się barwnie roją,
I tak się tym widokiem poją,
W tak niemym stoją dziś zachwycie,
Że żaden nie drgnie na swym szczycie,
A każdy listek długi, wązki,
Przytula tak się do gałązki,
Jak gdyby bał się swym szelestem
Lub jakimkolwiek trwożnym gestem
Niezwykłych swoich płoszyć gości;
Z zachwytem patrzą z wysokości,
Bo długo, długo tu już stały,
Lecz takich gości nie widziały
I takich nie widziały strojów,
I wypuszczają z swoich słojów
Z wdzięczności za muzykę śliczną
Sosnową w okół woń żywiczną,
A woń ta, którą sosny trysły,
Upaja czarująco zmysły,
Gdy z wdziękiem się muzycznym złącza.
Lecz dziatwa młoda, zwinna, rącza.
Z urokiem tym już oswojona,
Zagląda to do gości grona,
To wraca znów na stanowisko,
Gdy szept dosłyszy: „już są blisko!“
Bo gdy kapela grać przestała
I dziatwa już się rozejść chciała,
Cenzorzy jeszcze „stać!“ kazali,
A więc — czekają ludzie mali.
Poważnie stojąc w samej bramie
Pojetes sobie głowę łamie
I nową piosnki zwrotkę składa. —
Nie idzie jakoś! — Trudna rada!
Gdy myśl mu każdą ktoś przerywa,

Łepaka do pomocy wzywa,
I obaj w wielkiem zamyśleniu
Siadają po pod bramą w cieniu
I dla tych niespodzianych gości
Składają zwrotkę tę w prędkości
I — wnet przestają ciężko wzdychać! —
„Już są na górze!“ szepty słychać.
I rwie się dziatwa niespokojnie,
Jak niecierpliwy żołnierz w wojnie
Gdy zoczy nieprzyjaciół zbliska
A iść nie może z stanowiska. —
I naraz znów muzyczne tony
Przyjemnie łechcą uszu błony.
„Już są na dole!“ lecą szepty,
„A nawet słychać już ich drepty!“
Lecz „stać!“ cenzorzy im kazali,
A nie posłuchać ich się bali,
Bo nuż ich kto nabierać zacznie!
I „wiwat!“ krzyknął ktoś niebacznie,
Lecz cenzor wnet go uspokoił
I do powagi myśl nastroił.
I silniej: tra-ra! trąby rykły,
I bębni: bum-bum! ton niezwykły,
I blachy: dziń-dziń! zabrzęczały,
A potem nagle grzmieć przestały
I już ze siłą nie brzmią dużą,
Lecz znacznie lżej chórowi wtórzą:

Będziemy razem wieniec wielki
I różnobarwny wić,
Bo panie nam Nauczycielki
Swej przędzy wiodą nić!
Witajże więc panieńska szkoło,
Witajże u tych bram!
O! teraz będzie nam wesoło,
Ach Panie: dzięki wam!
Witamy was, szczerze witamy,
Magnesie naszej krwi,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
Nie zmarszczym wam tu brwi!
Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!

„Darują nam łaskawe Panie,
Że widząc was niespodziewanie.“

W kokardach rzekli im studenci,
„Pomimo szczerych naszych chęci
W tej chwili narzędź do zabawek
Lub choćby odpowiednich ławek
Dostarczyć nie jesteśmy w stanie!
Nie wezmą nam to za złe Panie?
Nie zechcą na nas się obrazić?“ —
„By was na koszta nie narazić,
Zrobiłyśmy wam niespodziankę
I — same prząść będziemy tkankę,
A zabaw dość znajdziemy w głowie!
Nie troszczcie o nas się Panowie!“
Odrżekły im nauczycielki,
„Będziemy wieniec tworzyć wielki,
Jak zaśpiewaliście nam sami!
Czy ci się mogą bawić z nami?“
„I owszem, mogą!“ I w tej chwili
Z alei mniejszych odczepili,
A ci prowadząc takie damy
Spiewają ciągle im „witamy!“
I mając umysł bystry, giętki,
Zapamiętały wnet studentki
Z natury więcej muzykalne
Te cztery wiersze powitalne,
I usty delikatniejszemi
Ich głos wspierają głosy swemi,
A ten wzmocniony chór niebawem
Harmonji takiej był objawem,
Jak gdyby nie studenci sami,
Lecz razem z temi studentkami
Witali teraz swoich gości,
Gdy pełen wdzięku i radości
„Witamy was, szczerze witamy
Wśród balsamicznych drzew,
Przestąpcie już wejście tej bramy,
By ujrzeć gry i śpiew!“
Ten chór mieszany brzmi wesoło
Przechodząc gniazda naokoło,
I patrzą goście na ten chórek,
By ujrzeć twarze swoich córek,
Siostrzyczek, lub też innych krewnych
Z pośrodka tych studentek śpiewnych
Idących w parach krok po kroku.
I radość im połyska w oku
I chusteczkami ku nim wieją,
Gdy ze studencką tą aleją

Z obydwu boków ich wieńczącą
W pobliże ich się ócz natrącą. —
I patrzy chóru wzrok ciekawy
Na różne gości tych zabawy.
Tam panie w gorsach pościskane
Podnoszą szpadki malowane,
By na nie schwycić te obrączki,
Co im panowie prawie w rączki
Prościutko podrzucają zgrabnie,
I uśmiechają się powabnie
Jak gdyby pieszczotliwe dzieci,
Gdy obręcz wprost na szpadkę wleci,
I podrzucają do sąsiada,
Gdy jednak nie dopisze szpada
I chylić się do ziemi zmusi,
Sznurówka silniej pierś im dusi
I szybszym ich przeszkadza ruchom,
Dlatego wdzięczne są tym zuchom,
Co tę ich dolegliwość czują
I błyskawicą podskakują,
By szybko podnieść tę obrączkę
I w ich uprzejmie podać rączkę.
I dalej, dalej dziatwa kroczy
Rzucając tam ciekawe oczy,
Gdzie ksiądz Dyrektor wesół zawsze
Wywodzi fraszki najciekawsze
I sam się w dobry humor wprawia
I otoczenie tem zabawia.
I teraz pewnie żarcik cięty
W około mu wykręca pięty,
Gdyż całe jego otoczenie
Porywa nagły śmiech szalenie,
Że aż studencki śpiew przegłuszył.
I dalej, dalej chór ten ruszył,
Zaglądnął w umajoną budkę,
Gdzie ujrzał wino, piwo, wódkę,
I panów starszych tu stojących
I z ciekawością się pątrzących,
Jak sam pułkownik kulę trzyma,
Ogląda w koło ją oczyma,
Rękami próbnie wymachuje,
I w tył się cofa, podskakuje,
Wyrzuca naraz silnym rzutem,
W powietrzu kabłąk robi butem,
Zapuszcza w oddal wzrok jastrzębi,
Aż naraz łomot słychać w głębi,
I — „Wszystkie dziewięć! Brawo! Brawo!“

Panowie krzykli z taką wrzawą,
Że śpiew „witamy!“ przegłuszyli.
Lecz dziatwy w śpiewie to nie myli,
Nie myli w dalszym ich pochodzie,
I widzą w samych gniazd obwodzie,
Jak starsze panie w małych grupach
Rozmową bawią się przy słupach,
A w środku małe ich dziateczki
Powystrajane jak laleczki
Balony różne podrzucają
I — naraz cicho wszystkie stają
A widząc swoje opiekunki,
Służące, niańki i piastunki,
Jak strasznie się na pochód gapią,
Cichutko za balony łapią
I je ciskają na wyścigi,
— Porozumiawszy się na migi, —
Z nienacka na służących grzbiety.
I — ustał chóru śpiew niestety,
I dziatwa dotąd wytrzymała
Zatrzęsła się od śmiechu cała,
Lecz śmiech ten ustępuje zwolna,
Gdy dalej dziatwa idzie szkolna,
By ujrzeć wszędzie, co się dzieje,
By ujrzał każdy ich aleje
Tworzące taką miłą całość.
I znów im serce ściska żałość,
Bo ulubiona ich zabawka,
Wisząca u dwu drzew huśtawka,
Niestety! także już zajęta.
I towarzyszą ich oczęta
Z wyrazem wewnętrznego żalu
Panience w batystowym szalu
Siedzącej dumnie tam na ławce,
I towarzyszą tej huśtawce
Ach! tak wysoko się wznoszącej,
I tu, i tam się huśtającej!
I czują w wnętrzach to ściśnienie,
Ten kurcz, ten zawrót, upojenie,
Co tam porywa tę panienkę
Wysoko wznosząc jej sukienkę
To znów spuszczając w silnym pędzie.
Ach, dość już, dość już tego będzie!
W swych sercach za nią dziatwa wzdycha,
Gdy ciągle jeszcze ją popycha
Porucznik jakiś silną dłonią.
I ledwie im już płuca dzwonią,

Gdy teraz ledwie dos yszalny
Z ich ust śpiew płynie powitalny.
I choć huśtawkę już minęli
I silniejnieco śpiew zadęli,
To przecież wrażeń chciwe oczy
Huśtawka wciąż ku sobie toczy.
I naraz znowu dziatwa żywa
Silniejszz z siebie głos dobywa,
By silny turkot kul zagłuszyć,
I znów zaazyna więcej puszyć,
Przyjmować na się nastrój hoży,
Gdy na nich młodzi profesorzy
Grający tu z panami w kręgle
Utkwili bystry wzrok jak węgle
Gorącym przenikając żarem
Tak, jak pająki za komarem.
I przeszli za tę oczu łaźnię
Podniecającą wyobraźnię
Wrażliwej dziatwy tej umysłów —
Przy naprężeniu wszystkich zmysłów
Śpiewając głośno swe „witamy!“
I znów w pobliże przyszli bramy
I dalej nieco w bok skręcili
I — tu się już usadowili! —
I dzielą ich nauczycielki
Porządek utrzymując wszelki,
By zgoda panowała święta,
Z osobna chłopców i dziewczęta
Na trzy parzyste równe rzędy,
I nie na klasy biorą względy,
Lecz wzrost i ubiór szkolnych dziatek!
„Do wieńca mi potrzebny bratek!“
Z nauczycielek jedna rzekła
I po chłopczykach wzrok powlekła,
„A ty nim będziesz, mój chłopczyku!“
Natychmiast chłopczyk: „ku-ku-ry-ku!
Ko-ko kaj!“ tak zręcznie pieje,
Że wszystko się w około śmieje.
„I cóż mam robić proszę Pani?
My jeszcześmy nie obeznani
Z zabawą taką!“ chłopczyk rzecze
I ogromnego raka piecze.
„Do siebie proszę mego bratka!
Jakiego potrzebujesz kwiatka
Do wieńca, który tu wijemy? —
„A nie miej Szczepku takiej tremy
I wybierz, która ci się nada!“

Z chłopczyków Staś mu podpowiada,
„Piwonją będzie ta dziewczyna,
Co pierwszy rządek rozpoczyna!“
Wykrzyknął Szczepek prosto z mostu.
„Dziewczyna troszkę zbyt po prostu,
Dziewczynką raczej ją nazywaj,
Grzeczności nigdy nie zabywaj!“
Nauczycielka go poucza,
„Ja nie znam takich rozmów klucza
I nie wiem, jak ją mam oznaczyć,
Więc proszę bardzo mi przebaczyć!“
Powiedział Szczepek z wielkim potem.
„My bardzo dobrze wiemy o tem
I właśnie przyszłyśmy w tym celu,
By także z was pouczyć wielu,
Jak w towarzystwie się zachować,
Jak o coś prosić i dziękować. —
No pójdźże Kasiu! — Trza się skłonić!
No tak! — A oczy trza odsłonić!“ —
„Potrzeba mi do tego wianku....
Oj zaraz, zaraz! wiem! — rumianku!
Ten, co francuski ma kaszkiecik
I ładny z boku róż bukiecik!“
„To bardzo dobrze powiedziałaś
Lecz po cóż palcem pokazałaś?
We włosach także się nie skrobie,
Na zawsze to pamiętaj sobie!“ —
„Me imię Bolko!“ rzekł wybrany
Składając ukłon bez nagany
Tak, iż za ten ukłon miły
Nauczycielki go chwaliły.
„Do wianka, który teraz wiję,
Bielutką chciałbym mieć liliję:
Tę, której suknia błyszczy biało!“
Powiedział Bolek całkiem śmiało
Kłaniając się z uprzejmym gestem.
Wybrana mówiąc: „Zosią jestem!“
W przechodzie paniom dyg oddaje
I zaraz tuż przy Bolku staje!
„Jakiegoż potrzebujesz kwiatu?“
„Potrzeba będzie mi bławatu.
Bławatem niech ten student będzie!
Co czwarty stoi w pierwszym rzędzie!“
I wyszedł Miecio ucieszony
Kłaniając się na wszystkie strony,
Wymienia głośno swe nazwisko
I staję tuż przy Zosi blisko.

„Potrzebna mi do tego wianka
Pachnąca polna macierzanka.
Ta, co na suknię się spoziera,
Czy ładnie ją też dziś ubiera.“ —
Wybrana mocno się rumieni!
„Ja ruskie noszę imię Kseni
A rodem z bliskich jam Rybotycz.
Do wianka mi potrzebny wrotycz.
Ten co u swego kapelusza
Pióreczko pawie palcem rusza.“
I lśni w powietrzu piórko z pawia,
Gdy zaraz Polko się przedstawia. —
„Ja wiję wianek bardzo duży,
Do czego mi potizeba róży:
Siostrzyczki mojej w trzecim rzędzie!“
„Aj, z tego nic a nic nie będzie,
Bo popsuł byś porządek wszelki!“
Odrzekły mu nauczycielki,
„Krewniaczek tu się nie wybiera,
Gdzie tyle innych ócz wyziera,
A nadto żąda tu porządek,
By nikt do dalszych nie szedł grządek!“
„To potrzebuję tej studentki,
Co ma sukienkę w żółte centki.“
„Maryniu idźże! — Cóż się boisz? —
I czemuż taka trwożna stoisz? —
Maryniu, nie bądź taka dzika!
I kogoż ty chcesz?“ — „Słonecznika!“ —
„A któż ma być? — No rusz konceptem!
Nie przeszkadzajcie jej podszeptem!“ —
„A kiedy tak się patrzą we mnie,
Że aż się robi nieprzyjemnie
I w nich popatrzeć się nie można!“
„Poczekaj że gołąbko trwożna!“ —
Czy mnie tu widzisz?“ — „Widzę Panią!“
„A czy ci dwaj ci oczy ranią,
Czy widzisz ich?“ — „Ich widzę także!“
„A tych dwóch widzisz? — No, no, jakże?“
„Ich także widzę: jeden blady,
A drugi opalony, śniady!“ —
„A któż ci więcej z nich się nada?“
„Ten, u którego twarz jest blada.“ —
„Wybierasz mnie?“ — „Ciebie proszę!“ —
„Ja ruskie twarde imię noszę,
Wasylem jestem. Do rusina
Rymować będzie się malina.
Ot, pierwsza z kraju śnieżna lilja,“

„A ja nazywam się Emilja,
A że to ogrodowy wianek
Potrzebny mi jest tulipanek.
Ten śniady chłopczyk, opalony,
Przez poprzedniczkę pogardzony,
A który teraz w głos zakichał.
Z pewnością mu na imię Michał!“
„Ej nie! Sprostować muszę z bolem.
Na chrzcie nazwano mnie Karolem,
A przechrzcić się to więcej nie da.
Potrzebna będzie mi — rezeda.
Do twarzy będzie tej panience,
Co w niebieskawej tam sukience
Piwońji pulchne listki zrywa.“ —
„A co Helenką się nazywa.
Niech narcyz wieniec ten upiększy:
Ot, ten widocznie panicz większy,
Co tu nie przyszedł bez zegarka,
Gdyż rozchodząca się czamarka
Okrągły okazuje brzuszek,
A na nim lśniący się łańcuszek...“
„I nosi imię Włodzimierza.
A mnie się zda kamelja świeża.
Topazów blaski ją odkryją,
Bo jeden lśni się jej pod szyją,
A dwa z nich w oczach jej się miga.“ —
„Jadwiniu idźże!“ — „Ja? — Jadwiga!
A mnie potrzeba tu fijołka.
Wynaleść trudno mi aniołka,
Co mógłby przy mnie trwać niezłomnie,
Więc niech tu Leoś przyjdzie do mnie!“
— „Kuzyna przecież brać nie może!“ —
Zakrzyknął z chłopców ktoś w ferworze
I zaraz w gronie ich szelesty
I głośne mnożą się protesty
„To może zechcesz moja mała,“
Nauczycielka się ozwała,
„Odstąpić jeszcze od krewniaka.
Czy twa stanowczo wola taka?“
„Stanowczo!“ w mig Jadwinia rzekła
I ogromnego raczka spiekła.
I dalej tak już idzie gładko,
Że upomnienie bardzo rzadko
Któremukolwiek dać potrzeba.
I tka się ładnie wianku weba,
I bardziej z każdą wzrasta chwilą,
Gdyż teraz już się dziatki silą,

By jak najprędzej coś przemówić
I jak najśpieszniej wianek uwić.
I wnet już pierwszy wianek gotów.
Zrobiono kilka z nim obrotów,
I wprzód, i wstecz, i w prawo, w lewo,
Nie jedno okrążono drzewo.
Nareszcie stają. — „W las pójdziemy
I tam cokolwiek wypoczniemy,“
Nauczycielka jedna rzecze,
„Tu jeszcze nic nam nie uciecze,
Niech inne inny wianek tworzą!“
I wcale inne się nie drożą,
Lecz biorą zaraz do roboty.
„Z owoców, jakie kraj nasz złoty
Obdarza wszystkich nas obficie,
Korowaj piękny dziś zrobicie.“
— A jak? ciekawie bada dziatwa. —
„Robota będzie bardzo łatwa,
Bo takim samym idzie torem
I kończy zgodnych par doborem.
Ot, pójdź chłopczyku zaraz z kraju
I przybierz coś do korowaju!“ —
„Potrzebna będzie kiść pszeniczna.
Niech ta panienka przyjdzie śliczna,
Co chce za drugą się ukrywać!“ —
„Ślicznemi nie trza ich nazywać!
Bo nawet się obrazić mogą.
Nam i najbrzydsza też jest drogą,
Gdy lepiej uczy się niż ładna,
A śliczną nie jest u nas żadna!
Za karę musisz wybrać inną!“ —
„To tę panienkę proszę zwinną,
Co teraz w kółko się skręciła!“ —
„A co nazywa się Ludmiła!“
Dziewczynka rzekła i w podskoku
Potrąca studencika z boku.
„Spokojniej Ludko się zachowuj!“
„Do wianka mi potrzebny powój,
A proszę, proszę tego pana....“
„A widzisz, jakaś roztrzepana!
My nie wijemy wianka z kwiatów
I żadnych tu arystokratów
Lub panów nie ma między nami,
Lecz są studentki z studentami
I chcą korowaj teraz tworzyć!“ —
„To owsem muszę go wyłożyć.
Chłopczyna ten z przedartym daszkiem.“

„A co go nazywają Sztaszkiem.
A mnie potrzeba kistki prosa.
Ta, co jej długa wisi kosa....“
„A fe! Warkoczem się nazywa,“
Nauczycielka mu przerywa,
„Nie kosą! Co za wyraz gminny!“ —
„Nie znałem, że jest wyraz inny,
Bo u nas kosą nazywają,
Gdy włosy w kosę zapłatają,“
Usprawiedliwia się chłopczyna.
„A mnie na imię Katarzyna.
Potrzeba mi polnego grochu.
Ot ten, co kaszle tam po trochu.“
„A mnie potrzeba kistki żyta.“
„A jak ci imię?“ Kasia pyta
„Przepraszam, że się zapomniałem.
Ot, ja nazywam się Michałem,
A proszę pannę tę ku sobie,
Co po pod nosem strupek skrobie.“ —
„Tu panien nie ma, pamiętajcie
I tak ich też nie nazywajcie!“ —
„A ja, to Julci imię noszę,
A jako jęczmień tego proszę,
Co jęczmyk mu zasłania oko. “
I samej westchła pierś głęboko,
Bo wie, że każdy strupek boli.
„Ja Jasiem jestem. Chcę fasoli,
A na nią proszę tę dziewczynkę,
Co na swem czole ma czuprynkę!“
I stanął chłopczyk wnet jak wryty,
Gdy oprócz śmiechu słyszy zgrzyty.
„Czupryna na twej rośnie głowie,
A u nas to się grzywką zowie!“
Nauczycielka go poucza,
Choć w gardle śmiech i jej dokucza.
„Tak lepiej mi się rymowało!“
Wywinął się chłopczyna śmiało.
Panienka staje wywołana.
„Jam Bronia“ mówi „boską zwana.
Potrzeba mi do korowaju...“
— Oj nie ma, nie ma urodzaju!
Daremnie maca się po czole,
Gdy same pustki w tej stodole, —
Z chłopczyków ktoś tam na głos szepta.
„Do czego takie są koncepta?“ —
Nauczycielka upomina
I ostry wzrok w winnego wpina,

„Z takiemi się żartami schowaj!“
„Już wiem! Potrzebny mi korowaj!“
Z radością Bronia zawołała.
I pieje śmiechem szkoła cała
A nawet i nauczycielki
Porywa teraz śmiech już wielki.
„A cóż? Pszenica — jest, groch — także!
Fasola, — żyto — jest, ajakże!
Na prawdę pustki są w stodole.“
I znowu śmiech wrze w całej szkole.
„A bobu samaś sobie dała!“
Nauczycielka zawołała,
„Lecz do ogrodu może zajdziesz,
A dość drzew owocowych znajdziesz.“
„A, to potrzebną mi jest grusza!“
„A któż aż całe drzewo rusza?
I szukaj w męzkim coś rodzaju!“ —
„Potrzebne mi do korowaju
Sliczaka twarde jest jabłuszko,
A będziesz takiem ty serduszko,
Co tak się głośno śmiałeś ze mnie!“ —
„Lecz kwasić będę nieprzyjemnie,“
Powiedział chłopczyk jej z ukłonem
I ciągle jeszcze drwiącym tonem,
„Gdy mnie się tak przedwcześnie zerwie.“
I po tej zabawniejszej przerwie
Korowaj już się prędko tworzy,
Świeżemi owocami mnoży
I niemi dotąd się obaroza,
Jak długo drugi rząd nastarcza,
A niezadługo całkiem gotów
Próbuje rozmaitych zwrotów
I znowu niknie w głębi lasu.
„By teraz najmniej stracić czasu,“
Nauczycielka prawi reszcie,
„To prędko się dziateczki spieszcie,
Niech szybko się wianuszek zjiści.
Będziemy wianek wili z liści,
Bez śmiechu, wrzawy, kłótni, krzyku.
Pójdź z kraju do mnie ty chłopczyku!
Oznajmij imię!“ — „Jestem Janek.
By zacząć ten liściowy wianek,
Potrzeba szpilek mi ze sosny.
Tę proszę, której wzrok żałosny
Widocznie takich szpilek szuka.“
„A mnie potrzeba liści z buka,“
W przechodzie mówi już Malwina,

„Ten chłopczyk, co się w tył wygina
I pokazuje swój łańcuszek.“
„A ja chcę dostać liści z gruszek!“
Powiedział Władzio przy ukłonie,
„Ta, co obydwie wzniosła dłonie
I drugiej z forsą coś wykłada.“
„Przekonasz się, czy nie wypada!“
Już głośnio krzykła Dobrogniewa.
„A mnie potrzeba liści z drzewa.“
„Z jakiego? Wymień je!“ — „Z jasiona!
Ten, u którego twarz skrzywiona
Ogląda na swych portkach plamy!“
„Portkami przecież nazywamy
Ubranie nóg u prostych ludzi,“
Nauczycielka Gniewę chłódzi,
Lecz czyni bardzo to łagodnie,
„Studenci przecież noszą spodnie!“
„A widzisz, widzisz Bogumiło!“ —
„A o cóż wam się rozchodziło?“ —
„Ot, chciałam dziś przekonać Bogę,
Że zwać portkami portki mogę
Nie potrzebując tu się wstydzić!“ —
„A mnie kazano nią się brzydzić,
Za nazwę zbyt uważać gminną!“
„A jakąż ty masz nazwę inną?“
„Inekspressyble!“ Boga rzekła
A nadto jeszcze raczka spiekła.
„Ej! Jest to wyraz bardzo długi,
I pewnie nie ma ten zasługi,
Kto obce nazwy tu wprowadza,
A wychowania to nie zdrada,
Co nie ma sensu oczywiście.“ —
„A mnie potrzebne z wierzby liście.“
Powiedział szybko Broniek cienki,
„Niech twarz tu ujrzę tej panienki,
Co to, co ziemia dziś mi plami,
Nazywa inekspressyblami.“ —
„A mnie potrzeba liści z dęba.
Ten, który nie ma z przodu zęba.“
„A mnie potrzebny liść z topoli.“
Przez zęby cedzi Grześ powoli,
„Tej, która jak topola gnie się.“
„Widzicie tu przed sobą Cesię,“
Wybrana mówi wśród ukłonu,
Co potrzebuje liści z klonu.
Ot, ten z rozdartym mocno butem!“
„A trudno go załatać drutem!“

Powiedział Jaś zarumieniony
Sciskając but na wszystki strony,
„To czysty zysk z dzisiejszych kiczek. —
Ja potrzebuję liści z dziczek.
Niech tę panienkę tu przyniosą,
Co prawie się wydaje bosą
W cielistej tkance swych pruneli!“ —
„Biblijne imię ma Racheli,“
Przemawia ta, co teraz wyszła,
„Lecz nie w prunelach tutaj przyszła!
To czysty jedwab! — Mnie trza palmy!“
„O takich opiewają psalmy,
Lecz nasza ich nie rodzi gleba.
Coś z naszych wybrać ci potrzeba,
Nie wyszukiwać gdzieś po raju,
I — w męzkim wybierz coś rodzaju!
Spokojniej przecież stójcie chłopcy!“
„Choć elegancji będzie obcy,
To o rozmaryn będę prosić!“ —
„Tu elegancji nie trza wnosić!
Rozmaryn także tu nie rośnie.
A nie spozieraj tak ukośnie!
I cóż cię to tak zacietrzewia?“ —
„To liść potrzebny mi z modrzewia.
Zaprosić będę tu panicza,
Co z ręki w rękę coś wylicza.“
„Jam Staś, i wnoszę moje modły
Do listków tej wysmukłej jodły,
Co oburącz się za gors trzyma.“
I przedstawiła się Jeryma,
Zakryła grabem, ten zaś śliwą,
Ta znów jarząbkiem, ten zaś iwą,
Ta bzem, ten wiśnią, ta orzechem,
A wszystko z takim już pośpiechem,
Że odstenografować trudno. —
I było tu przed chwilką ludno,
I różne powiewały chustki,
A teraz — pustki! — Co za pustki! —
Uwiły wprawdzie wieniec wielki,
Lecz wzięły go nauczycielki
I tak zabrały jak uwiły,
A mnie samego zostawiły!
I nie ma nic! — Straszliwa próżnia! —
A jak to dziwnie się wyróżnia
Ta dziatwa od zwykłego świata:
Nie znaczy nic arystokrata....
I panien nie ma... nie ma panów....

I ślicznych nie ma... i grubjanów....
Nauczycielki tak twierdziły.
I gdzież się podział światek miły?
I cóż on w lesie tam porabia? —
Et, głupia ma natura babia
I kwita! — Spoczną, ta i wrócą:
Nikogo przecie nie zasmucą,
Bo dziś tu gości swoich mają. —
Ba, ale czemuż nie wracają? —
Mnie już się tu okrutnie nudzi
Bez tych wesołych małych ludzi.
A tak mi z nimi było miło,
Jak to swobodnie się bawiło! —
A może wyżej pójść ku gniazdom
Popatrzeć w oczy starszym gwiazdom,
Jak one też tam połyskują? —
Czy tam powiedzą to, co czują?
Czy prawda świeci z tych ich liczek?
Nie mogę! — Nie mam rękawiczek!
A rękawiczki tam nie formą,
Lecz już regułą, prawem, normą,
Co szczelnie ich osłania ciało.
A nużby mi się coś wyrwało,
Czem, chociaż najniewinniej w świecie
Dotkliwie bym je drasnął przecie
Już zdziecinniałą mą naturą·
Ot, śliczną mógłbym nazwać którą
I tak jak chłopczyk ów podskoczył,
Gdy Bronię w drugiej grządce zoczył, —
Za głupca by mnie uważała,
No, — i zupełną rację miała!
A nużby mnie z nich znała która?
Oj, oj! Aż trępci na mnie skóra,
Aż krew na czoło mi wybiega,
Gdy we mnie by poznano szpiega,
Co przyszedł im zaglądać w duszę. —
Nie, nie! na krok się ztąd nie ruszę!
Dziateczki moje bez opasek,
Bez rękawiczek i bez masek!
Dziateczki moje, — wróćcie z lasu,
Już dość waszego tam wywczasu!
Jak można tam tak długo bawić,
A mnie samego tu zostawić? —
Na prawdę pójdę między gości
A was zostawię Opatrzności!
Czy wtedy się zabawa uda?
Podobno będzie fara chuda,

Gdy wam nie będę podpowiadał,
Lecz w górze waszych gości badał. —
Pst! — idą! — Idą moją dziatki,
A w jakie postrojone kwiatki!
Zabrali łąkom ich ozdoby,
By tak wystroić swe osoby
I tak swe pokryć kapelusze!
A jakie mi ich wdzięczne dusze!
Nauczycielka na ich przedzie
Prościutko do mnie dziatki wiedzie. —
„Przykrzyło się tu bez nas Panu?“ —
„Ujrzałem nagle się bez łanu,
Na którym długo ziarna siałem,
I mało się tu nie urwałem!“ —
„My za to Panu zaśpiewamy
Już coś innego, niż witamy!
Lecz także Pan zaśpiewa z nami!“ —
„Ja? — Ja mam także śpiewać z wami?
Ja? — Nie dokażę takiej sztuki!“ —
„Nie wiele na to trza nauki,
Męzkiego tylko trzeba głosu!“ —
— Oj, dacie wy mi też bigosu!
Trwożliwie pomyślałem w duchu,
Gdy dziatwa strojna w szybkim ruchu
Nauczycielki postać ciemną
Oplotła w koło razem ze mną. —
„No proszę Pana mi wtórować!
Spokojniej dziatki się zachować!

Teraz wy będziecie śpiewać,
Złączcie głosy wasze wraz!
Śpiewem gości swych olśniewać,
Niech w pamięci mają was!
By nie chcieli się pogniewać
Na ten wasz studencki las,
Nie musieli ubolewać,
Że stracili darmo czas!
Stańmy teraz w miejscu dziatki
I zabrzmijmy w jeden głos:
Jak dziateczki jednej matki
Podzielajmy losów cios,
Strojmy zgodnie w wonne kwiatki
Jej strapionej głowy włos!

„Aj, to na prawdę jakieś miłe!
Tak naturalne, nie zawiłe,
A w tej prostocie przecież rzewne,

A jakie lekkie, jakie śpiewne!“
„A widzisz Pan, a tak się bałeś,
Nim śpiewać się zdecydowałeś!“
„Powtórzmy!“ mówię już radośniej.
„Lecz bardzo proszę śpiewać głośniej,
Bo trochę Pan za cicho śpiewa,“
Nauczycielka mnie rozgrzewa.
A ja się nawet nie upieram,
Lecz silniej gardło me otwieram
I śpiewam, i nadstawiam ucho,
I czuję, że mi idzie krucho,
Gdy chyląc głowy jak wahadła
Po drugim wierszu dziatwa wpadła
I przekrzyczała swoim chórem.
I słyszę, że powtarza wtórem,
Com jej wygłosił ją poprzednio
Zmieniając tylko odpowiednio
Zaimki „wy“ na „my,“ „będziecie“
W „będziemy,“ „was“ na... „Stój Pan przecie!“
Nauczycielka nagle wrzasła
A nadto mnie po ręce drasła,
Że aż się żółć zatrzęsła we mnie.
„I cóż też Pani chce odemnie?“ —
„No, proszę teraz razem śpiewać!“
„Serdecznie muszę ubolewać,
Lecz tak wysoko nie podołam,“
Już zapocony teraz wołam
Chusteczką obcierając skronie,
Gdy dziatwa w znacznie wyższym tonie
Ostatnich wierszów sześć wygłasza.
„A niech też Pan się nie przestrasza
I niech się bardzo nie wysila!“
Nauczycielka się przymila,
„Po ósmym wierszu trzeba przestać,
A kiedy Pana na to nie stać,
By sprostać dziatwie w tonie wyższym,
Tu głosem trza wtórować niższym,
Gdy sześć ostatnich wierszy śpiewa,
I — będzie chlebuś z tego mlewa,
Gdy tak się mąkę tę rozczyni.“ —
„A czemuż moja mi mistrzyni
Po pierwej tego nie mówiła?
Gdy Pani mi to objaśniła,
To teraz śpiewać będę chętnie!“
I — znów w silniejszem jeszcze tętnie
Zaczynam. — Poszło doskonale!
Tak, że w prądziwym już zapale

Krzyknąłem: „Brawo! brawo dziatki!
Nie darmo was te stroją kwiatki,
No, jeszcze raz!“ — „Przepraszam Pana,“
Nauczycielka rzecze zgrzana,
„Lecz tutaj drugą zwrotkę mamy!“
„Dawajże Pani! Zaśpiewamy!“ —

Hejże chłopcy i dziewczęta,
Pospieszajcie (my) teraz w lot!
Kwiatki rodzi ziemia święta,
Wasz (Nasz) potrzebny jednak pot!
Macierzanka, szałwia, mięta
Zdadzą się na wianka splot,
Więc zakasać trza rączęta,
Po pod każdy spojrzeć płot!
Ot, i gotów z kwiatków wianek,
Nasza go uwiła dłoń,
Szałwja, mięta i rumianek,
Przenikliwą mają woń,
Kwiecie pełne barwnych tkanek
Zdobi strojnie naszą skroń!

Paradnie poszło. — Tam co znowu?
Z jakiegoż idą ci połowu?
Gdzież można plamić się kradzieżą?
Kłuskami wszyscy aż się jeżą,
Z pewnością gdzieś je skraść musieli!
I tacy, tacy z nich anieli?
To już nie kwiatki, to już zboże,
Zabierać tego nikt nie może!
Oburzam się w mej głębi duszy,
Gdym zamiast zwykłych kapeluszy
Całutkie wieńce kłusek zoczył
I z oburzenia aż podskoczył, —
Aż gdzieś w wnętrznościach mnie to pali!
„I kogoż wy obrabowali?
Bezpłatnie zboża nam nie bierzcie!“
Odzywam na głos się nareszcie!
„My mamy skład na leśniczówce,
Uspokój się Pan w swojej główce!“
Nauczycielka mnie łagodzi,
„Bo gniew piękności przecież szkodzi!“
„Hm! — Tak, to co innego,“ — rzekłem
I mało raczka sam nie spiekłem.
„A teraz znów będziemy śpiewać
I już możemy się spodziewać,
Że Pan nie będzie gardła szczędził.“ —

„Aj, będę, będę miech mój pędził!
Lecz co tu widzę? — Coś nowego!
Coś arcy — arcy wspaniałego!“

Hejże szybko do roboty,
Z klusek będziem wianek pleść,
Niech go zdobi kolor złoty,
Niech rolników wznosi cześć,
Niech dodaje im o hoty,
By mozoły mogli znieść,
By obfitych ziarn namłoty
Dostarczały nam co jeść!
Ot, i gotów wianek z kłosów,
Żółte ma on całe tło,
Do podniebień i do nosów
Bije ziarna pełne źdźbło,
A w kleistych tkankach włosów
Lśni się słoma jakby szkło!

„No, jeszcze raz!“ — „Powoli Panie!—
Niech pierwszy wianek bliżej stanie.
A wszyscy, wszyscy bez wyjątku!
Zaczniemy śpiewać od początku,
Od pierwszej zwrotki! Za mną dziatki,
Co w kluskach, wy za Panem kwiatki!
Zaczynaj Pan!“ — Zaczynam tedy
Wstrzymując jednak głos niekiedy,
By wyrozumieć śpiew ten dziwny.
„Aj, jakiż też to Pan naiwny!
Wszak nic a nic nie słychać Pana!“
Nauczycielka rzekła zgrzana
Po ukończeniu pierwszej zwrotki.
„Już zrozumiałem co do jotki,“
Odrzekłem na to ucieszony,
„Splecione tego śpiewu tony.
Ot, powtarzają ci z kluskami
Tak samo piosnkę za kwiatkami,
Jak kwiatki za mną, prawda Pani?“
„No, tak!“ — „Lecz z ich nie płyną krtani
Ostatnie wstępu dwa wierszyki!“ —
„No, tak!“ — „Ba, ale te haczyki
Utworzą taką mieszaninę,
Że niech jak wicher zaraz zginę,
Czy z wierszów kto zrozumie słowa!“
„A cóż nas o to boli głowa, —
O śpiew się tylko tu rozchodzi!“ —
„Hm! — No, to płyńmy w śpiewu łodzi!“

„No, wy za Panem, za mną w kwiatkach!“
— Jak dziwne nerwy są w tych dziatkach,
Wśród śpiewu pomyślałem w duchu,
Gdym je zobaczył w ciągłym ruchu.
Wśród kłusek pomieszane kwiecie,
A każde swoje śpiewa przecie
I każde wierszów swych pilnuje,
Choć często się wśród obcych snuje,
Choć inne słyszy od sąsiada.
I tak się jakoś to układa,
Że różne widzi się figury,
Gdy staną nagle oba chóry,
By znacznie podniesionym tonem
Ostatek z wdzięczym brzmieć ukłonem.
Tak utonąłem w tym widoku,
Że nie spostrzegłem aż przy boku
Ostatni wieniec tych dziateczek,
Gdy nagle stanął jak płoteczek
Ogradzający brzegi raju
W zielonym liścia pełnym maju,
Już tylko potrząsnąłem głową
I zaraz grzmię im zwrotkę nową:

Choć policzki wam (nam) rumieni
Trudem rozpalona krew,
Trzeba jeszcze tu zieleni,
Każdy ją dostarczy krzew,
Kiedy głowy wam (nam) ocieni
Bujny liść z lesistych drzew,
Pełen dźwięków, pełen pieni
Zabrzmi znowu głośniej śpiew:
Ot, i gotów wieniec z liści,
Świeży jeszcze jest w nim sok,
Choć nie z jasnych zszyty kiści,
Chociaż go otacza zmrok
Żadnej nie ma w nim zawiści,
Każdy go więc zniesie wzrok!

I znowu wszystko się powtarza
I nowy haczyk zauważa,
Gdy trzeci chór po drugim wpadnie.
I rzeczywiście brzmi to ładnie,
Gdy tak co raz to świeższe głosy
Podnoszą silniej dźwięków stosy
Na wyższe, co raz wyższe stopnie,
A gdy najwyższy szczebel dopnie,
W ostatku znów się nieco zniży,

Ucichnie nagle, stanie, zbliży,
By z całą znów zahuczeć siłą.
A jak mi dziatwa była miłą!
Ogromnie mi się podobało,
Jak zwinnie to się uwijało!
A co za lube te pieszczotki!
„Dawajcie Panie dalsze zwrotki,
Gdym wlazł pod wasz już pantofelek!“
Zakrzykłem do nauczycielek.
„Nie mamy więcej już niestety!
Choć zdało by się coś na wety
Dla poważniejszych znacznych gości
Stosownie do okoliczności
Ot, jakieś „wiwat!“ powiedziały. —
Hm! — Czy to takie twarde skały?
Czyż garnki lepią jacy święci?
Ogromnie mnie spróbować nęci!
Hm! — „Poczekajcie moje Panie,
A może coś będziemy w stanie
Wymyśleć, kiedy tu o słowa
Nie boli was tak bardzo głowa.“ —
Hm! zaraz: — kra... szła... lewo... prawo...
Kulawo... trza... gra... trawo... łzawo...
„Hm! Ot, przy sobie mam ołówek
Napiszmy rymy kilka słówek!“
Łańcuszek... czart... chart... brzuszek...
Poduszek... kart... żart... muszek...
To trza poprawić, to przemazać. —
„Ot są!“ — „Prosimy nam pokazać!“
I — z ciekawością to czytają,
A z boku na mnie spoglądają.
„To zda się, zda! — Łańcuszek będzie,
Gdy dziatwę się ostrożnie sprzędzie,
Lecz jeszcze — wiwat! by się zdało!“
Aż w pulsach silniej mi zawrzało,
Gdy z rzewnem jakiemś: „to być musi!“
Nauczycielka wciąż mnie kusi.
Hm! zaraz: — gość... dość... ruchu... słuchu...
Okruchu... pość... kość... Święty Duchu!
Niech licho weźmie obstalunki!
Kijanki... dzbanki... szklanki... trunki...
To nie do rymu! — grać, trać!... prości...
Radości... gości... prać, brać!... pości..
„No, będzie?“ — Silę moje łebsko,
Lecz co ułożę, wszystko kiepsko!
Nie zdołam tych okoliczności
Dla waszych przysposobić gości!“

„Ej, zdołasz Pan! — Przebijesz lody,
I to zaczerpniesz wiadro wody
Z głębokiej swoich myśli studni.
Nauczycielka tak mi dudni! —
Na nowo przeto ja usiadam
I szybciej już ołówkiem władam.
„No macie! Bierzcie i czytajcie,
A mnie już święty spokój dajcie!“
I każda zerka z po pod oka
I czyta jeszcze, niby cmoka...
A niby nie! — Hm! niepozorne?
Aż nagle wszystkie: „Przewyborne!“
Zakrzykły z takim jakimś szałem,
Że już na szyi je widziałem.
I — były by mnie wyściskały,
Lecz, lecz zadusić mnie się bały,
Dlatego pewnie tylko rękę
Uścisły silniej mi w podziękę,
I — zaraz się do dziatwy wzięły,
Ćwiczenia różne rozpoczęły,
By w niej rozczynić świeże mlewo,
I wprzód i wstecz, i w prawo, lewo,
Na wszystkie strony wykręcają
I wiersze w pamięć ich wpajają,
I — już gotową jest maszyna.
„Prosimy! Niechże Pan zaczyna!“
Szeroko gardło me otwieram
I już do śpiewu się zabieram.

Dalej dziatki spieszcie (my) żwawo,
Wielki łańcuch spleść się ma!
Ci (My) na lewo, ci (my) na prawo,
Wam (Nam) wznieść górą ręce trza!
Pod ich ręce choć koszlawo
Z was (nas) się każde niechaj pcha!
Na co trza pracować krwawo,
Zwykle dłużej za to trwa!
Ot, i cały jest wianuszek,
Na trzech rożnych wiankach wspart,
Jeden tworzy on łańcuszek
Splecion wszędzie nie na żart,
Woni pełen jego puszek,
A spojrzenia także wart!

Teraz jeszcze w tym łańcuchu
Trzeba się poruszać wam (nam),
I otaczać w szybkim ruchu

Grona panów, wieńce dam!
Będą wdzięczni za to w duchu,
Gdy im zaśpiewacie (my) tam,
Kiedy głośniej zabrzmi w uchu
Okrzyk z pośród waszych (naszych) ram:
Zwinna, świeża i wesoła,
Nie wiedząca, co to złość,
Stoi wdzięczna cała szkoła,
Niech ją ujrzy miły gość,
Gdy pierś z głębi mu zawoła:
„Niechaj żyje Wasza Mość!“

I robią koło co raz szersze
Śpiewając te ostatnie wiersze,
I łańcuch cały zatracili,
I we mnie oczy swe utkwili,
Gdy już bez śpiewu i bez szyku
Ostatni wiersz w wrzaskliwym krzyku
Zahukli w swoich pióropuszach,
Że aż mi zaterczało w uszach
„Siadajmy teraz na murawie!
Dziś całkiem sucho na tej ławie!“
Nauczycielki mówią do mnie
Siadając w kółko tuż koło mnie,
A dziatwa zewsząd mnie opada:
„Niech teraz Pan co opowiada!“
I ciągle skomli, ciągle mlaska,
Po rękach i po twarzy głaska,
„Zrób Pan to dla mnie, zrób dla Zosi,
Bo Zosia Pana bardzo prosi!“
Szczególniej jedna się napiera
I — ładnie w oczka mi spoziera.

Na temat, czem która pragnęła by zostać
Panienki rozmowę prowadzą wesoło,
I każda przybiera co raz inną postać,
I każda zbawienne na wady swe zioło
Koniecznie od bóstwa pragnęła by dostać,
Lecz cisza urocza nastała w około,
Gdy jedna z nich rzekła ze szczerości gestem:
Ja pragnę być wiecznie, jaką teraz jestem!

Wygłaszam całkiem pomalutku
Nie bez wyraźniejszego skutku,
Bo z piersi się nauczycielek
Gniotący je odezwał belek,
Gdy ach! ach! z głębi pierś im jękła;

A mała Zosia przy mnie klękła:
„Ach, żeby mieć lat osiemnaście!"
„A masz?" — „Dopiero mam dwanaście!"
„A po cóż starszą być byś chciała,
Co?" — „A! bo męża już bym miała!" —
„Odstąpcie dzieci! — Stanąć w rządkach
Tak, jak dobraliście się w grządkach!"
Nauczycielka się zadyma,
„Niech każda w parze z tym się trzyma,
Co sobie sama go wybrała!" —
I słucha zaraz szkoła cała
Potulnie stoją jak baranki
I znów w porządku widać wianki.
„Otoczcie teraz nas w półkole
I siadać! — Po co te swawole!
Swawola grzeczne dziatki szpeci!
I — Pan byś popsuł nam tu dzieci!"
Nareszcie do mnie ciszej rzekła
I sama teraz raczka spiekła. —
— A mógłbym ja wam popsuć dzieci?
Pytanie mi po głowie leci,
Lecz głośno go nie powiedziałem,
Bo być przykładem dziatwie chciałem
I — też nauczycielki słuchać.
I znów zaczyna dziatwa gruchać
I prośby wnosi co raz szczersze:
„Mój Panie, jeszcze jakie wiersze!"
Musiałem więc w pamięci szukać,
A wreszcie im zaczynam kukać:

Jak cudna mi się postać śniła!
Anielskie miała bo przymioty!
We wzroku magnetyczna siła,
Uprzejmość, słodycz, humor złoty!
A jaka dla mnie była miła
Gdy podziwiałem te jej cnoty!
Lecz drasłem raz satyrki strzałą
I — wstałem z głową rozbolałą!

— „A co takiego jest satyrka?" —
Nauczycielka na mnie zerka,
Lecz serjo dziatwie wnet tłumaczy,
Co bajka, co powiastka znaczy,
A co satyra. — „Panie złoty!
Satyrka jeszcze!" — Jak świergoty
Co raz liczniejsze głosy słyszę,
I ledwie w duchu jeszcze dyszę,

Czy obstalunkom sprostać zdołam,
I — już z rozpaczą w głosie wołam:

Wielki zaczął obraz tworzyć,
Co go wsławić był by w stanie,
Mógł tryumfu nawet dożyć,
Jaśnieć blaskiem jak zaranie,
Musiał jednak go odłożyć,
Bo spostrzegły obraz panie
I — obstalunki na portrety
Zepsuły pędzel mu niestety!

„Nie naprzykrzajcie już się dziatki!“
Odzywa głos się pani matki,
„W pokoju gościa trza zostawić,
I wy go dzisiaj macie bawić,
A nie on was! — Ot, z was niech które
Wierszyki jakieś nie ponure,“
To mówiąc na mnie wzrok podnosi,
„Lecz bajkę jakąś nam wygłosi,
A z której jakiś sens wypływa.
I zaraz któryś się wyrywa,
Że w mamy spojrzał raz książeczkę
I taką znalazł tam bajeczkę:

Jął ktoś nauczać tatrzańską naturę,
Aby swą dziką postawę zmieniła,
Jar tu zrównała, tu skołe, tu górę,
Ale się na to z pomrukiem zwróciła:
Kiedyś ty z mojej nie kontent urody,
Zamiast na szczyty, pod Grzmot idź do wody!

Spojrzałem na nauczycielki
I — śmiech mnie porwał nagle wielki,
Lecz siłą mocą gom przytłumiał.
„I czemżeż Pan się tak tam zdumiał?“
Odzywa z nich się któraś śmielsza,
A nawet, nawet i najbielsza.
„Ten grzmot,“ powiadam, „mnie zatrwożył,
Co ktoś go w tę bajeczkę włożył,“
I — śmieję się już teraz śmiało,
Gdy mi wywinąć się udało.
„A pewnie! ktoś tu niewłaściwie,“
Nauczycielki nieszczęśliwie
Autora tej bajeczki sieką,
„Ten grzmot połączył z jakąś rzeką!“
Bo nie zacuknął się chłopczyna,

Lecz opowiadać rozpoczyna,
Że Grzmot jest nazwą wodospadu,
Którego słychać szum z zakładu
Na nocleg gościom służącego
A Staszicowym tu zwanego,
Że rzeka ta się zwie Roztoka,
Że ztąd już do Morskiego Oka,
Przy którem Pola jest schronisko,
Pod górę wprawdzie, ale blisko,
Że takie przy tem Oku skały
W około się poustawiały,
Iż, gdy popatrzeć się do góry,
Wyraźnie widać, jak się chmury
O szczyty skał tych rozbijają,
I znów na niebie się zjawiają,
I znów po innym pną się grzbiecie,
Że śnieg tam widać nawet w lecie,
A z niego jakby laska krzywa
Po skałach biała woda spływa,
Że śliczna ta natura dzika!
Że mieli z sobą przewodnika,
Gdy z mamą po tych Tatrach chodził,
Co w Zakopanem się urodził,
A kerpce nosił zamiast butów,
I nie znał nawet nazw surdutów,
Lecz serdakami je nazywał;
Że jakiś u nich pan tam bywał,
Co całe Tatry znał wybornie,
A choć wyglądał niepozornie
I zwał się brzydko: — pan Taternik, —
To jednak mamin ten powiernik
Tak ładnie umiał opowiadać,
Że miło było przy nim siadać
Czy wśród kolacji, czy wśród śniadań,
I słuchać jego opowiadań
O skałach, szczytach, stawach, halach,
Jaskiniach, zbójach i góralach,
Co swoje własne mają baśnie. —
„I otóż pan Taternik właśnie
W podróżną mamy mej książeczkę
Umieścił krótką tę bajeczkę,“
Zakończył chłopczyk swą opowieść,
— Lecz czy prawdziwą, trudno dowieść, —
„A teraz kolej znów na Pana!“ —
„Ja tutaj byłem jeszcze z rana,“
Odzywam na tę się przymówkę,
„I jasną zobaczyłem główkę

Wyśpiewującą bardzo rzewnie
Piosenkę jakąś o królewnie,
I — radbym jeszcze ją usłyszeć!“
I wnet przestałem w duchu dyszeć,
Bo wszystkie naraz się panienki
Dopominają tej piosenki,
A Miecio wyszedł rozogniony,
Na moje patrzy pantalony,
Do snu swą damę tu układa,
Sam przy nauczycielce siada,
I zaraz stroi swoje dudy,
A widząc, jak panieńskie ludy
Na niego patrzą się z zajęciem,
Z tem większem stroi je zacięciem.
I ja korzystam z tego skutku
I pytam Zosię po cichutku:
„I po cóż męża ty byś chciała?“
„E! Pani by się znów gniewała!“
„Nie będzie słyszeć: mów po cichu!“
I składa ustka do uśmiechu
I marzy Zosia moja miła:
„Na spacer z mężem bym chodziła....
Trzymała bym się jego boku....
I tak szła zwolna krok po kroku,
Niech widzą wszystkie koleżanki!“ —
„I wystroiła byś się w wianki....“
„W jedwabie bym się ubierała!“
„A zkądżebyś pieniądze miała?“
„A mąż by mi je przecież dawał!“
„Oj! to by bardzo rano wstawał,
By takie drogie sprawiać szaty!“
„Ej nie! On musi być bogaty
I mnie wystrajać bardzo pięknie,
Niech każda ze zazdrości pęknie!
I pojedziemy do Paryża....“
„Byś tam kupiła sobie czyża....“
„Ej nie! bo ptaszków tu dostanie!
Popatrzeć, jak się stroją panie
I sprawić sobie coś bym chciała!“
„A tu byś tego nie dostała?“ —
„E! tu sprawione kosztowności
Nie miały takiej by wartości!“
„Nie?“ — „Bo bym się nie pochwaliła,
Żem już z Paryża powróciła
I była przecie już w Paryżu!“
„No spij już, spij mój miły czyżu,
Bo Miecio już nastroił dudy!“

— Spij dziecinko moja mała,
Ja przy tobie sobie siędę, — śśśśśś...
Gdy cię będę kołysała,
O królewnie śpiewać będę! Mmmmm.

Piosenkę Miecia słyszą Budy,
A wszystko małe to panieństwo
Przejmuje jakieś nabożeństwo,
Z tak niemym słucha go zachwytem.
I poznał Miecio swoim sprytem,
Że śpiew ten główki im zawrócił,
Z tem większem więc zacięciem nucił
Z dobitkiem głosząc każde słowo.
Choć skończył, nuci znów na nowo,
A każda z wytężeniem ucha
Tej romantycznej pieśni słucha.
I — w nieskończoność by słuchały,
Lecz naglę moździerzowe strzały
Z zadumy wszystkich wyrywają.
Prędziutko przeto w pary stają
I już gotowi do pochodu,
Bo moździerz nie grzmi bez powodu.
„Powitać tu Starostę mamy,
Prosimy przeto was do bramy!“
W kokardach mówią im studenci.
„Niech Pan nas w dobrej ma pamięci
I jak najlepiej niech się bawi,“ —
Nauczycielka do mnie prawi,
Pamiętam dobrze tę jej mówkę, —
„I niech opisze tę majówkę,
A o nas dobrze niech pamięta!
My już zwalniamy Panu pęta,
Bo tam śpiewaków lepszych mamy!“
I fyrd! pognała wnet do bramy. —
Tak jest, Opiszę ja was ładnie,
Że jeszcze więcej twarz wam spadnie,
Że jeszcze więcej skóra schudnie!
Ha! Tak mnie z majki zajść obłudnie!
I wierz tu teraz pani takiej,
Nie jakiejś tam ladajakiej,
Jak Łepak wypowiedział z rana,
Co była by jak malowana,
Lecz samej wierz nauczycielce!
Ha! Ja się tem nie martwię wielce,
Ja bardzo tem się cieszę nawet,
Lecz oddam, oddam wam wet za wet!
A ten tam jakiś śpiewak lepszy

Z pewnością wam ten śpiew przepieprzy!
Poczekaj grzmotna czarnolico,
Prawdziwie czarna niewdzięcznico!
Dlatego miała uśmiech luby,
Bom był potrzebny jej — dla próby! —
A po za dziatwą to zatrudnia
Nic — tylko chlebuś, tylko studnia,
I — jedź tu z taką do Paryża!
A do modlitwy! a do krzyża!
Do postów! Chlebuś dość i woda!
Pieczeni przecie dla was szkoda!
Pieczeni ty byś nie strawiła,
A gdybyś po niej winko piła,
Kataru pewnie byś zaczerpła!
  Ach, jak mi też to noga ścierpła!
A tu zakuleć trza do bramy,
By słyszeć przecie to „witamy!“
Co zabrzmi temu tam staroście.
Znaczniejsi są tu odeń goście,
Lecz moździerzowe trzy wystrzały
Nikogo przecie nie witały
Z wyjątkiem księdza dyrektora!
I — odpowiednią była pora,
By jego odszczególnić bardziej,
Lecz po cóż tego witać hardziej?

Witamy Cię obwodu Głowo,
Witamy u tych bram!
Najmiłościwsze Tronu słowo
Racz dziś ogłosić nam!
Czekamy z wielkiem upragnieniem
Na tę radosną wieść,
Z poddańczem przeto ukorzeniem
Składamy Ci tu cześć!
  Witamy Cię, szczerze witamy,
  Tyś honorowy Gość,
  Niech raczy już wejście tej bramy
  Przestąpić Wasza Mość!
  Witamy Cię, szczerze witamy
  Wśród balsamicznych drzew,
  Przestąpić racz wejście tej bramy,
  By ujrzeć gry i śpiew!

A gdzie logika? myślę sobie.
Niedawno było to w żałobie,
Niedawno łzy boleści lało,
Uczuciem smutku silnie wrzało

Za matką, którą prawo pięści
Rozćwiertowało na trzy części,
Zdawało się, że silną duszą
Popioły jej już z grobu ruszą,
A teraz — jedno ma pragnienie:
Okazać swoje ukorzenie! —
I po cóż ja tu czas strwoniłem?
Lecz głośno tego nie mówiłem,
Bo mogła by mnie spotkać chłosta!
Figurą bo to ten starosta,
Przepraszam: — pan Starosta — wielką,
I zbrojną siłą trzęsie wszelką,
I mógłby cały pułk sprowadzić,
I w kozie jeszcze nas osadzić, —
I spotkać można by się z kłodą,
A dano by nam chlebuś z wodą,
Brrr. Lepiej, lepiej przyjąć grzecznie,
Bo zadrzeć z nim, — to niebezpiecznie!
Lecz po cóż znowu te owacje
I nadzwyczajne jakieś gracje?
Dlaczegoż taka aż pokora?
Samego księdza Dyrektora
Stanęła w bramie postać wzniosła,
By tego jakiejś wieści posła
Powitać z wielką ostentacją.
I z jakąż pytam, z jakąż racją?
Czy tak osobę czczono którą?
Pułkownik także jest figurą
I o postawie nawet dumnej,
A przeszedł bez tej wrzawy szumnej?
A temu pochód ten uściela
Starszyzna sama, chór, kapela,
Aleja i nadobne wianki.
Potulne wszystko jak baranki! —
Hm! Jakąż on tu wieść przynosi?
Powoli! Przecież ją ogłosi,
Jak piosnka mówi powitalna.
Nie musi ona być fatalna,
Bo tak by go nie przyjmowano
I tak radośnie nie witano,
Lecz czy na prawdę coś takiego,
Że mógłbym ja być kontent z niego,
Że moję by podniosło duszę,
To bardzo, bardzo wątpić muszę!
I po cóż wszyscy się staroście
Kłaniają najprzedniejsi goście
I w mig otacza go starszyzna?

To już za nadto — każdy przyzna!
I — dłużej w myślach coś tam ważą,
Aż naraz Miecia wołać każą,
I śpiewać Miecio rozpoczyna:
I jąka biedny się chłopczyna,
Zapomniał o strojeniu dudów
I — wcale nie dokazał cudów.
I ja podchodzę nieco wyżej,
By twarz starosty ujrzeć bliżej,
Lecz ktoś nad uchem — jak mi wrzaśnie!
Aż głośno krzyknąłem: niech cię — trzaśnie!
I patrzę w tył, co to za dziwak?
A! — ten to niby lepszy śpiewak
Z otwartą gębą tak tam wrzeszczy,
Że aż mi błona w uszach trzeszczy,
I wrzeszczy, wrzeszczy tak bez przerwy,
Że trzeba mieć studenckie nerwy,
By nie ucieknąć z placu boju!
Ja wolę chyba żyć w spokoju,
Niech innym wierci takie dłutko!
O, ja się cofnę ztąd gładziutko,
Ja nie chcę takim znów być zuchem!
A w tem mi drugi grzmi nad uchem:
Bodajby ci tak grzmiało w piekle!
Zakrzyknąłem znowu zły już wściekle.
I macham chustką dla przewiewu,
By módz ochłódnąć z tego gniewu
I język trzywać już na smyczy.
A w tem i trzeci śpiewak ryczy,
Że aż mi się zatrzęsło ciało!
I z takim wrzaskiem to ryczało,
Że przegłuszyło śpiew tych wianków!
To takich trzeba było panków?
To to są lepsi ci śpiewacy?
No! — czy potrzebni byli tacy,
By słodki dziatwy głuszeć głosik,
A swój ten kazać wąchać sosik!
O, mnie się temu wierzyć nie chce!
Przynajmniej mnie ten sos nie łechce,
W nim nie gustuje ma osoba.
Ztąd — cały śpiew się nie podoba!
Przy końcu nieco on się zmienia,
Lecz — do niczego bez wątpienia!
I po cóż te oklaski gości?
Ot, jak zwyczajnie ludzie prości,
Co nie poznali nic gruntownie
I wybuchają jak prochownie

Nie wiedząc nawet, zkąd i na co,
Bo za cóż te oklaski, za co?
Ot, tak to sobie, niby z łaski! —
Po drugiej zwrotce znów oklaski?
To już za nadto, każdy przyzna,
Lecz co tu mówić, ot, dziczyzna!
Przychylam z nogi się na nogę,
Lecz i wytrzymać już nie mogę,
I uszy mi już huczą wrzaskiem,
I jak tu darzyć ich oklaskiem?
A tu na złość co raz gorętsze
Oklaski prują moje wnętrze,
Do grobu mi się trza położyć!
I tegom jeszcze musiał dożyć,
By przy ostatniej śpiewu zwrotce
Starostę otaczano w lotce
I jemu — wiwat ten głoszono?
Oj, oj! popieprzył był bym słono,
Gdy był bym ten przewidział skutek!
Ha! Już za późny mój ten smutek!
Zapóźno! strasznie głupie słowo!
Zapóźno! śpiewam wciąż na nowo,
Choć dziatwa śpiewać już przestała,
Gdy „wiwat!“ ten już odśpiewała. —
„Czem jestem?“ ciche szepty słychać,
I każdy zaczął lżej oddychać, —
Gdy wszedł Pojetes na mownicę,
Odetchnął, wstrząsnął mózgownicę,
I oczy zaszły mu ekstazą,
Gdy z wielką głosił nam emfazą:

„Czem jestem? — Jedną pylinką wszechświata,
W którym i ziemia jak w mgle się rozpływa,
Który i słońca rozmiarem przygniata,
Gdy słońc miliardy w swem łonie ukrywa,
Który nie znając granicy przestrzeni
Sam się swym własnym przeraża ogromem
I nigdy go nawet sam nie oceni!
W czeluściach wieków jam jakby atomem,
Co darmo ujść pragnie czasów pogoni,
Co się w wieczności chwileczkę pomyka
I wnet jak kropla w oceanów toni
W otchłani czasów rozpływa się, — znika, —
Jam tylko marną drobiną tej ziemi,
Jakich co chwila wydaje miljony,
By w drugiej chwilce pobawić się niemi,

A w trzeciej znowu pochwycić w swe szpony!
Bez kłów, pazurów, bez skrzydeł, bez jadu,
Wyrzucił mnie na świat kaprys natury,
Wypuścił na pastwę wszelkiemu gadu,
I straszy drapieżnych istot pazury,
I nęka zawiścią swoich żywiołów,
I grozi strzaskaniem swemi pioruny,
I biciem gradu z chmur ciężkich jak ołów,
I widmem jaskrawem północnej łuny!
Gwałtowny wicher i cisza bez przerwy,
Upały i mrozy, wilgoć i susza,
Wszystko mi szkodzi i drażni me nerwy,
Wszystko do walki z przeciwieństwem zmusza:
Lecz gdym do walki me siły wytężył,
Rozumu z natury zmierzył się bronią,
Zwycięzkom wreszcie naturę zwyciężył
I silną odtąd kieruję nią dłonią!
Ja już zbadałem przyrody tajniki,
Wydarłem z jej łona najskrytsze skarby,
Związałem w kajdany jej kaprys dziki,
Jej wybuch gwałtowny ująłem w karby!
Pociągiem magnesu, prężnością gazów,
Prądem elektryki, rzutem promieni,
Jestem dziś panem i ssaków i płazów,
Owadów, ptaków, ryb, roślin, kamieni!
Powietrze i ziemia, ogień i woda,
Już wszystko dziś głosu woli mej słucha,
Do życia się wskrzesza niema przyroda
Ożywczą potęgą mojego ducha:
Bom ja tą drobną rozczynu kropelką,
Co ogień, wodę, powietrze rozkłada,
I po rozdzieleniu myślą swą wielką
Do swoich celów nagina i — włada!
Mój umysł dziwne badając zjawiska,
Przyczyn i skutków wypatrując szyku,
Hipotezami jak piłkami ciska,
Matematycznego szuka pewniku!
Przenikliwemi logiki oczyma
Przenika chmury, niebiosa, obłoki,
I widzi przed sobą Wszechświat-Olbrzyma,
Bezdenne prawdy, odwieczne wyroki,
Niezmienne siły, prawa i koleje,
Więc Boga samego twórczość odkrywa,
I w bogów godzi, i z bogów się śmieje,
I tajemnicę tworzenia wyrywa. —
Ja wiem już wszystko, już wszystko pojąłem,
Co jest i będzie i było przed wiekiem!

Jestem więc Bogiem? — szatanem? — aniołem?
Ach nie! — Jam tylko myślącym człowiekiem!“

I brawo! brawo! wszystko krzyczy,
A za co proszę? — ton indyczy?
Ten ton wysławiający siebie?
Bujanie myślą gdzieś po niebie?
Chwalenie siebie z taką wrzawą?
I za to bić mu jeszcze brawo?
Za własną tę apoteozę
Tabaki chyba dać mu dozę,
By mógł porządnie się wykichać
I przestał sam do siebie wzdychać,
A chwalił raczej strój i modę!
„I zkąd on wyrwał taką odę!
I któż jest ody tej autorem?“
„A! — jego własnym jest utworem!
O! on wysoko się podniesie!“
Tak mówią o tym Pojetesie,
A ja zaś pomyślałem cicho,
Że wnet go weźmie jakieś licho,
Bo kto się nawet z bogów śmieje,
To prędko coś go tak zawieje,
Że śmiać się długo z nich nie będzie
I wnet na piasku gdzie usiędzie!
Ot, lepiej język w ryzach trzymać,
Niż napuszysto go wydymać!
Że zresztą wszystko to mielizna!
Kto głębiej myśli, wszak mi przyzna
A mnie to aż po kościach strzyka! —
Hm! Teraz będzie grać muzyka,
I czuję tak już na omacki,
Że będzie hymn grać austryjacki....
Nie! To zupełnie inne trele!
Ja nie rozumię tego wiele,
Ot, jak zwyczajny nieboraczek,
Lecz cierpliwości! — Krakowiaczek?
Co słyszę? Któż się mógł spodziewać?
Że to tu wolno grać i śpiewać?
Kto myśleć, że z bezbarwnych toni
Krakowiak skoczny się wyłoni
I ten bezbarwny wstęp uwieńczy?
Hm! — Teraz coś innego dźwięczy,
Co wprawdzie mile brzmi dla ucha,
Lecz przyznam się w pokorze ducha,
Że dla mnie nie jest zrozumiałem
I czemś ulotnem, czemś niestałem,

Lecz teraz, — teraz dźwięk mazura?
Aj, do podskoków świerzbi skóra
Nie tylko mnie, lecz wszystkim w koło,
Bo każdy wypogodził czoło
I takt mazura nogą bije;
I znów się jakąś wstęgą wije
Mniej zrozumiała melodyjka,
A tę zakończa — kołomyjka.
Ludowej, rzewnej pełna woni,
Aż gdzieś głęboko w sercach dzwoni
Tak, że o świecie się zabywa,
Bo duszę w oddal gdzieś porywa
Do dumek, pełnych tej prostoty,
Bez szumów, piany, bez pozłoty,
A z których myśl przebija świętsza
I głębiej płynie aż do wnętrza.
I mojem ona wstrząsła ciałem,
I ja się także zadumałem,
I w głębszych myślach zatopiony
Pośrednie pominąłem tony,
A znów wysoko wzniosłem czoło,
Gdy hożo, skocznie i wesoło
Marsz Dąbrowskiego się odezwał
I do baczności mnie zawezwał.
I z trwogą o te jakieś chłosty
Spozieram prosto w twarz starosty,
Lecz ona nic się nie zachmurza,
Choć, choć prawdziwie cała burza
Oklasków sypie się od gości,
I nic a nic go to nie złości!
Zdumiałem się na widok taki!
No, bo to już nie krakowiaki,
Lecz coś, co silnie serce wzrusza
A czem przesiąkła polska dusza!
I znowu inne tony dźwięczą,
I — zachwyciłem się tą tęczą,
Prawdziwą tęczą tonów dzwonnych,
Wiązankę pieśni swojskich, wonnych,
O wszelkich barwach światła słońca,
I słuchał tego bym bez końca,
Tak do mej duszy to przemawia
I taką mi to rozkosz sprawia.
I łączę z gośćmi me oklaski
I to z zapałem a nie z łaski,
Gdy utwór ten grać zaprzestano.
I znowu jakieś hasło dano,
Wianeczki szybko w parach stają

I gości niżej sprowadzają.
Tu przy dwu umajonych słupach
Studenci stoją w kilku grupach
Powyprężani jak żołnierze,
A w środku stoją dwaj szermierze.
Jednakie stroją ich mundurki,
Jednakie z ramion wiszą sznurki,
Jednakie biodra cisną pasy,
I obaj pewnie z jednej klasy.
Podszedłem ku nim dosyć blisko,
Bym dobrze widział widowisko,
Co nas tu wszystkich sprowadziło,
I aż mi serce pukło miło,
Gdy w tych szermierzach nieruchomych
Poznałem dobrze mi znajomych:
Gigasa olbrzymiego wzrostu,
Co, jak Pojetes rzekł po prostu,
Miał tylko siano w swej łepecie,
A drugi, — pewnie nie zgadniecie, —
Bo oczom własnym jam nie wierzył,
By Łepak ciałem swem szermierzył,
Jak myślą z Pojetesem zrana!
Hm! — Sprzeczność, sprzeczność niesłychana!

Dziś pokażą wam junacy,
Jaki muszkuł siła
Po kilkumiesięcznej pracy
Postęp w nich zrobiła,
Jak ciężar ciał
Obraca w cwał,
To wprzód, to w tył,
Sprężyna żył!
Czeka przeto was rodacy
Niespodzianka miła.

Przystępujcież chłopcy śmiało
Do giętkiego drąga,
I pokażcie, jak się ciało
Zgrabnie nań wyciąga:
Ot, robi dyg,
Jak każe szyk,
I już ma zuch
Na drągu brzuch,
Jakby to nie kosztowało
Pracy i szeląga.

Dalej brzuchem się odbija,
Wstecz odrzuca czoło.
I po drążku jakby żmija
Wije naokoło,
I jeszcze raz,
Choć trzeszczy pas,
Choć płonie skroń,
Żylasta dłoń
W okół drążka brzuch wywija
Zwinnie i wesoło.

Gdy zabrzmiała znów muzyka
W hucznym fal potoku,
Junak końcem nóg dotyka
Drążek nieco z boku,
I robi ot,
Pod drążkiem zwrot,
Podnosi kark,
Z skurczonych bark,
I po gościach wzrok pomyka
Z wdzięcznym blaskiem w oku.

A gdy znowu zaśpiewano,
Junak już przykuca,
I na jedno w mig kolano
Na drąg się podrzuca;
Rozmachał but,
I robi rzut
I dalej w lot,
Aż spływa pot,
Bo ażeby brawo dano,
Grzać potrzeba płuca.

Potem na drążku bez zwłoki
Nogę swą przekłada,
I trzymając się za boki
Prosto już usiada,
I siłą rąk
Uchwycił drąg
I zgina wpół
I głową w dół
To w obroty, to w podskoki
Rzuca się nie lada.

Teraz jakaś cięższa praca
Coś go niepokoi,

Gdyż u palców nogi maca
I na drążku dwoi
Wierzchołkiem stóp
I spuszcza w słup
Aż zbiera strach,
Bo — pada — ach!
Lecz koziołka w tył wywraca
I już prosto stoi.

Teraz patrzcie się Waszecie,
Jak się tyłem wspina,
Pcha na krzyże i na grzbiecie
Zwolna się przegina.
I zsuwa grzbiet
I chwyta wnet
Pod biodra drąg
I śmiga w krąg,
A choć drążek twardo gniecie,
Dziarska stroi mina.

Dziś zabawić sobą szczerze
Gości się mozoli,
Bo podniósłszy się na krzyże
Wprawia w ruch powoli,
Zatacza krąg
Skrzydłami rąk
Spuszczając sprych
Od kolan swych,
I powtarza loty chyże,
Bo to lot sokoli.

Teraz pchnęły go jedynie
Ręce nakształt kleszczy,
Lecz wnet czuje w tej sprężynie
Jakiś ból złowieszczy,
Gdyż schyla w bok
I robi skok
Na drugi bok,
Lecz tak krok w krok
W podłuż drążka dziwnie płynie,
Choć mu w kościach trzeszczy.

Jeszcze jakaś sztuka będzie,
Bo się na drąg dźwiga,
Zanim jednak tu usiędzie,
Na swych piersiach lega,

Piętami wzbił
I z całych sił
Zamachem nóg
Zatacza łuk,
I w niezwykłym je rozpędzie
Po nad drążek śmiga.

Naraz chwyta drąg z zapałem
Tylko palcy swymi,
I w około całem ciałem,
Choć się z czuba dymi,
W powietrzu mknie,
Aż drąg się gnie,
Na cały wzrost,
I skacze wprost,
I spogląda okiem śmiałem,
Bo to lot olbrzymi.

Takiemi słowy chór ośmiela,
Gdy cichszym wtórem brzmi kapela,
Szermierzy do wysiłków siły,
By gości wzrok zadowoliły.
Kto ich zobaczył wśród obrotów,
Nie dojrzał jednak drgań i potów,
I komu były twarze obce,
Wydali się jak gdyby w szopce
Maszynką obracane lalki,
Kto bliżej stał ten widział walki,
Wśród jakich świeżą siłę snuły
Powyprężane ich muszkuły,
Ten widział, z jaką wielką męką
Zmęczoną poruszali ręką,
Ten widział owo skóry tarcie,
Gdy drąg się do niej brał uparcie,
Jak wielki krew sprawiała upał,
Jak chrzęst im gdzieś po kosciach chrupał,
Jak im się w szyi wszystkie żyły
To naprężały, to kurczyły,
I sam odczuwał te ich męki. —
Muzyczne, skoczne marszu dźwięki
I śpiewy studenckiego chóru
Służyły bardzo im do wtóru,
I rosła ciągle im otucha,
Gdy wyżej podnosiły ducha
Oklaski gości, huczne brawa,
Któremi tak się słuch napawa,
Że jakby we śnie magnetycznym

Lub po napoju narkotycznym
Na żaden więcej ból nieczuli
Bezwiednie wielką siłę snuli. —
Zaledwie Gigas zeszedł z drąga,
Już Łepak w mig się nań wyciąga,
A trudno orzec, kto z nich gorzej
Spisuje się w tej sztuce hożej,
Czy długonogi Gigas tępy,
Czy bystrooki Łepak krępy:
Choć obaj tworzą przeciwieństwo,
Niewiedzieć, komu dać pierwszeństwo,
Obydwaj więc za swoją pracę
Jednaką pobierają płacę,
Nie tylko bowiem nikt nie zrzędzi,
Lecz i oklasków im nie szczędzi,
A i Starosta z pompą całą
Obdarzyć raczył swą pochwałą —
Nauczyciela gimnastyki.
  Niebawem inny ton muzyki
Ku gniazdom gości znów sprowadził.
Tu pan Starosta włos pogładził
I sam wystąpił na mownicę. —
Jak gdyby rzucił błyskawicę
I kazał się spodziewać gromu,
Nie przyszło i przez myśl nikomu
Poruszyć się i przerwać ciszę. —
„W pamięci miłej się zapiszę
Młodzieży szkolnej i wam goście,“
Wychodzi zwolna z ust Staroście,
„I nie tak prędko w niej zaginę,
Gdy wam ogłoszę dziś nowinę
Z krainy wydobytą cudów. —
Na prośby swoich wiernych ludów
Wysłuchać raczył głos gorący
Najmiłościwiej Panujący
Nasz Król i Cesarz z Bożej łaski,
I tłumiąc spory i niesnaski,
I w jądrze dławiąc rewolucję,
Ogłasza właśnie konstytucję
Wolnością darząc was złocistą.
Swobodę chronić osobistą,
Swobodę prasy, praw domowych,
Obywatelskich i listowych,
W granicach ustaw oczywiście,
Zaprzysiągł Cesarz uroczyście,
I wszystkich bez różnicy stanów,
Tak mieszczan, chłopów, jak i panów

Powołał do państwowej Rady,
By nikt się nie bał jakiejś zdrady,
Lecz każdy według sił zasobu
Do ustaw zechciał się wyrobu
Przyczyniać myślą, pracą, wiedzą;
Przesądy przeto się przerzedzą,
Co dzieciom ludu były tamą;
Szeroką pójść możecie bramą
Domagać się swej pracy plonu
I przebić aż do stopni tronu
Odziani w pancerz woli silnej,
Tem bardziej więc do pracy pilnej
Zachęcą was wolności słowa. —
To konstytucji jest osnowa,
A jej uwielbiań godne myśli
Komisarz bliżej wam określi.“ —
To rzekłszy, skłonił się w około,
Chusteczką potarł mokre czoło,
Przewiewem twarz gorącą chłodzi
I z pompą wielką na dół schodzi. —
I zaraz zaczął pan Komisarz:
„Jakkolwiek był niejeden pisarz,
Co w republiki chciał ustroju
Dla państw wynaleść szczyt zakroju,
To przecież doświadczyły dzieje,
Że więcej się goryczki sieje,
Gdy umysł co raz innej głowy
Do rządów wnosi plan gotowy
I mnożąc normy przez czas krótki
Bezwiednie często mnoży trutki
Niszczące byt tysięcy nieraz:
Dlatego wielka większość teraz
Nie widzi wzoru w oligarchji,
Ni w republice, lecz w monarchji,
Gdzie cesarz władzy jest ogniskiem.
Nie chcący jednak być uciskiem
Monarcha nasz Najmiłosciwszy
Głęboko wszystko obmyśliwszy
Udzielić raczył konstytucję
I przeciął wszelką rewolucję,
Co zapragnęła trony burzyć
Szukając źródła w nich nadużyć.
I otóż stoi Cesarz z boku
Lustrując jednak w bystrem oku
Ten prąd, co wciąż się przed nim snuje,
Dopóki gdzie nie zawiruje
Spotkawszy w głębi twarde ciało. —

Więc choćby się co złego stało
Przed jego nawet tuż oczyma,
To przecież prądu nie zatrzyma!
Nie może przeto rzeczywiście
Sam odpowiadać osobiście,
Gdy ktoś w straszliwym wirze życia
Popełni nawet nadużycia. —
Mianuje wprawdzie Dostojników
I wszystkich wyższych urzędników,
Lecz czyni w toku to instancji,
Gdy więc udzielą mu gwarancji
Budowy państwa liczne kostki
Za prawość, wiedzę tej jednostki.
Jak dawniej głowa patryarchy,
Tak teraz postać tu Monarchy
Jest osobiście nietykalną,
Jest świętą, nieodpowiedzialną:
Odpowiadają Ministrowie
I jemu jako swojej głowie,
I Radzie państwa z swych zarządzeń
A nawet mimowolnych zbłądzeń. —
By musiał rząd prawości służyć
I strzegł i cieniu się nadużyć,
Nadała sama już ustawa
Ludności te ochronne prawa,
O których wspomniał pan Starosta.
Rachuba każe liczyć prosta,
Że kto podstępem i gwałtami
We walkach życia dłoń swą splami
I tak najwyższej władzy dopnie,
Gnieść innych będzie zbyt pochopnie
We wszystkich widząc tylko wrogów,
Co chcą go strącić z władzy progów. —
Gdy władza w takim spocznie ręku,
To władzca się nie zlęknie jęku,
Lecz głębiej jeszcze się zanurzy
W niewinnych łez i krzywd kałuży.
Że podejrzliwy władzca taki
Lub choćby jego posiepaki
Znający drgania strun najsłabsze,
Gdy ludzkich ofiar chuć się naprze,
Gdy porwie silniej nim zawziętość,
Na żadne prawa, żadną świętość
Oglądać się nie będzie wcale,
Lecz brnąć w okrutnym tym zapale,
Dopóki naród sam w rozpaczy
Tym gwałtom kresu nie wyznaczy

I z jego świętokradzkiej dłoni
Nie wyrwie siłą krwawej broni,
Nie wydrze mu przemocą miecza,
Przed którym nic nie zabiezpiecza, —
Historja nam przykłady daje.
Jak szczęsne przeto są te kraje,
Gdzie sama groźna ta potęga
Strzec praw i ustaw zaprzysięga!
  Co dawniej było niepojętem,
Iż coś dla władzy ma być świętem,
To przeszło teraz w rzeczywistość.
Dziś wolną każda osobistość,
Jak długo ustaw nie naruszy!
Dziś równą jest nie tylko w duszy,
Nie tylko przed obliczem Boga!
Otworem dziś każdemu droga
Nie tylko do nagrody nieba,
Lecz do dostojeństw, władzy, chleba,
W doczesnem nawet krótkiem życiu!
Nie ryje dzisiaj nic w ukryciu,
Lecz wszystko się odbywa jawnie!
Nikt bliźnich nie śmie gnieść nieprawnie
I gwałty się nie łatwo zdarzą,
Gdy prawu jest korona strażą. —
  Jak długo świat ten istnieć będzie,
Silniejszy słabszych za narzędzie
Do własnych celów swych wyzyska
Dla bogactw, sławy lub igrzyska.
Po wszystkie głównie były czasy
Wyzysku celem ludu masy,
Co żyły przez ubiegłe wieki
Bez żadnej zgoła praw opieki
Na łaskę zdane panów możnych,
Jak gdyby stada owiec trwożnych. —
Czy ich niewolnikami zwano,
Czy też helotów miały miano,
Musiały zawsze w ciężkiej pracy
Bez jakiejkolwiek za to płacy
Swym panom służyć wbrew swej woli.
Nie poprawiła im niedoli
Idea boska chrześcijaństwa,
Choć głośno ją przyjęły państwa.
Raziło nawet to niemile,
Gdy ucisk w całej istniał sile,
Swawola lud dręczyła sroga,
A z ambon równość w obec Boga,
Braterstwo — chłopów, szlachty, panów,

Płynęły miodem z ust kapłanów.
W minionym wieku już przy schyłku
Otrząsnął świat się z pleśni pyłku,
Gdy pierwszy rzucił lud paryski
Wolności szczerej jasne błyski,
I choć wśród krwawych egzekucji
Ochrzczone mianem rewolucji
Rozlały się człowiecze prawa
Po Europie jakby lawa
Paląca zapleśniałe prądy,
Aż prysły wreszcie te przesądy,
Wśród których trzeba było błądzić,
By módz bezpieczniej państwem rządzić. —
I otóż w całej Europie
Przestano deptać już po chłopie,
Już nikt za cząstkę inwentarza,
Za bydlę chłopa nie uważa,
Co w wrogiem jarzmie robocizny
Od lat najmłodszych do siwizny
Pracować musiał w pocie czoła,
By pańska była twarz wesoła;
Już przestał pod tym żyć obuchem,
Iż był związany jak łańcuchem
Do gleby swej rodzinnej wioski.
Już poczuł w sobie obraz boski,
Gdyż choć we dworze pan bogatszy,
Na niego się jak brata patrzy
I żądeł szału w nim nie topi. —
Już dzisiaj uwłaszczeni chłopi
Przeczuwać rozpoczęli sami,
Że też są obywatelami,
Że jak obywatele inni
I oni prawa mieć powinni
A nie stać w księdze ustaw gorzej,
Niż stoją w obec łaski Bożej,
I same już poznały trony,
Że lud ten, dotąd uciśniony,
Znoszący ciężki los z pokorą,
Tych tronów może być podporą,
Zaczęto przeto szczerze radzić,
Jak nierówności ustaw gładzić,
By mogła czujna władz opieka
Strzec równowagi praw człowieka.
I rośli praw tych zwolennicy
Płoszeni zrazu jakby dzicy,
I zwyciężyło już ich grono,
Gdy teraz właśnie ogłoszono,

Że wszyscy równi w obec prawa,
Że jedna tylko jest ustawa,
Że nie ma już wyjątków żadnych
Czy to dla panów czy podwładnych,
Że każdy pełną ma swobodę
By tylko nie na czyjąś szkodę
Osiedlić się, gdzie zechce święcie,
I wybrać jakie chce zajęcie,
I zbierać swojej pracy ziarna,
Jak długo mu ustawa karna,
Lub własna jego nieudolność
I taka sama bliźnich wolność
Nie stanie ostro na przeszkodzie,
Nie zaprze drogi w tym pochodzie.
I znikły możnych przywileje,
I ciepły masom wiatr już wieje.
Lecz aby sami urzędnicy
Koniecznie strzegli praw granicy,
By swojej atrybucji skali
Koniecznie ściśle przestrzegali,
By ich ktoś skłonny do przekroczeń
Nie łatwo uwieść mógł do zboczeń,
By więc miast dobrej służyć sprawie,
Sprawiedliwości i ustawie,
Przy całym władzy swej połysku
Nie pomagali do wyzysku,
I aby interesowani,
Gdy ktoś ich w takich prawach zrani,
Domagać nań się mogli kary,
Na straży stoją jak filary,
Na których groźne wieją bicze,
Ustawy państwa zasadnicze. —
  Choć urzędnicy muszą zważać,
By nie śmiał ustaw nikt obrażać,
Dla uniknienia jednak cieniu,
Że działać mogą w uniesieniu,
Lub więzić tajnie i nieprawnie,
Odbywać ma się teraz jawnie
Rozprawy karne tylko w sądzie,
I nie na martwych akt przeglądzie,
Lecz przez słuchanie żywych osób,
A nadto w taki jeszcze sposób,
Że gdy ktoś drukiem coś rozszerzy
I za to karać go należy,
Lub w jakimś złym zamiarze w duszy
Spokojność państwa czemś naruszy,
Lub gdy się sądzą cięższe zbrodnie,

Przysięgli orzec mają zgodnie,
Czy winien czynu oskarżony,
Za który ma być zasądzony,
Nie może przeto być obawy,
By mógł z przysięgłych sędziów ławy
Przez jakąś osobistą napaść
Niesprawiedliwy wyrok zapaść.
Nie wolno z rządu dziś nikomu
Do prywatnego wchodzić domu
By jakąś odbyć w nim rewizję,
Bo mógłby z sądem wejść w kolizję.
Nie wolno listów tknąć pieczęci,
By wiedzieć, co się w myślach święci,
I znając myśli te najskrytsze
Niebacznych w sidła wplątać chytrze,
Nie wolno ludzi aresztować
I kajdanami ich krępować,
Gdy z sądu nie ma przyzwolenia,
Jedynie bowiem sąd ocenia,
Czy do tych kroków są powody,
By komuś nie wyrządzić szkody,
Lub najniewinniej nie bezcześcić,
I zaraz musi to obwieścić
Osobie interesowanej
W godzinie nawet przepisanej.
By sędzia ufność miał niepłonnie,
Że ustaw będzie strzegł bezstronnie,
By wielka wiała zeń powaga,
Ustawa sama dopomaga,
Gdyż sędzia z tego właśnie względu
Nie może działać nic z urzędu,
Lecz bez wytężającej troski
Załatwiać ma gotowe wnioski
Czy to obrony, czy to skargi,
A gdyby znaszły się zatargi
Rozstrzygać zaraz je w zarodku;
Gdy przeto stoi tak w pośrodku,
Nie może łatwo z drogi zboczyć
I wielkiej władzy swej przekroczyć.
Uwaga ludzi wytężona
I oskarzyciel i obrona,
I dalszy jeszcze tok instancji
Udziela wszystkim dość gwarancji,
Że sędzia teraz niezawisły
W wyrokach będzie bardzo ścisły,
Że jak bez kar nie pozostawi
Występków żadnych i bezprawi,

Tak strzegł niewinnych będzie wiernie,
By ich nie tknęły kary ciernie,
A tak, — bogatym i ubogim, —
Strażnikiem będzie ustaw drogim.
A zresztą — najważniejsze sprawy
Należą do przysięgłych ławy.
Gazety wprawdzie z szumem krzyczą,
Że najznaczniejszą jest zdobyczą
Swoboda druku, wolność prasy,
Przedwczesne jednak te hałasy,
Gdyż wszelkie druki perjodyczne
Utwory bruku stujęzyczne,
Puszczone luzem bez kontroli
Przebrały miarkę by swawoli,
By przeciwnikom swym dokuczać,
I zamiast prawdą lud pouczać,
To stronnictw powiązane grupy
Chcąc dla się wszystkie zgarnąć łupy
Na żadną nie zważając tamę,
Przez podstęp, męty i reklamę
Za pośrednictwem druku właśnie
Szerzyły by potworne baśnie.
Ci tylko mają pełną wolność,
Co większą swego ducha zdolność
W poważnem chcą okazać dziele,
Ci pisać mogą całkiem śmiele,
A nawet i z obwódką czarną,
Dopóki im ustawą karną
Granice określone dadzą
I kryć nie każą się przed władzą,
Gdyż książki większe niż broszury
Od wszelkiej wolne są cenzury.
By wszystko to nie było cieniem,
Mydlaną bańką, urojeniem,
Lecz grunt pod sobą miało trwały,
Ustawy będą uchwalały
Obydwie Izby Rady państwa
Złożone z chłopów i mieszczaństwa,
Inteligencji tudzież panów,
A więc ze wszystkich klas i stanów,
Na tle tych ustaw zasadniczych
Jak nietykalnych praw dziewiczych.
W skład państwa wchodzą różne kraje,
Co różny język i zwyczaje
I cechy mają narodowe
I instytucje szczegółowe,
Co innych krajów nie obchodzą

A własnym dziatkom życie słodzą
Na swojskie ich gromadząc łono.
Dotychczas cechy te niszczono
I chciano, aby wszystkie kraje
Jednakie miały obyczaje.
Kazano już każdemu dziecku
I czuć i myslеć po niemiecku.
Szeroko gębę chłop rozziawiał,
Gdy przed nim się urzędnik zjawiał
I z wielkim do biedaka krzykiem
Przemawiał obcym tym językiem.
Czamarki, czapki, śpiewy, modły,
Rządowi w Wiedniu oczy bodły,
Dopóki wreszcie nie odkryto,
Że do niczego to kopyto,
Na które lud się nagjąć nie da,
Bo mowy, wiary nie zaprzeda.
I ustał wreszcie ten wandalizm,
I górą teraz federalizm
Łączący państwa wszystkie kraje,
I w każdym normy Sejm wydaje
Odrębne, swojskie, narodowe,
A przez to miłe, choć surowe.
I nasz już z tego kraj korzysta,
I u nas mowa brzmi ojczysta
I będzie odtąd brzmiała wszędzie,
W kościele, w szkole i w urzędzie.
To są monarszej łaski dary,
Te konstytucji są filary
W treściwych przedstawione ramach,
— A na nie — nie tak łatwym zamach!“
Szeroko gębę jam rozziawił,
Gdy tak nam pan Komisarz prawił.
I patrzę, czy się kto nie zraża
Tak śmiałą mową Komisarza,
Bo gdyby dawniej to powiedział,
Z pewnością był by w twierdzy siedział.
I widząc, jak mu gratulują,
Jak szczerze, z serca mu dziękują,
Zapragłem także sam w podzięce
Uścisnąć mu obydwie ręce, —
Gdy ksiądz Dyrektor naprzód sunie
I prosto staje na trybunie,
I dłużej na niej głową kiwa,
Nim łza mu z oczu padła tkliwa,
Nim aż do głębi poruszony
Wydobył te serdeczne tony:

„Aczkolwiek nie mam płynnej mowy,
Ujrzawszy jednak grunt gotowy,
Albowiem nie masz tu, niebogo,
Pomiędzy nami dziś nikogo,
Co nie miał w sercu by wdzięczności
Dla tej prawdziwej ofiarności,
Jak ją okazał Panujący,
Niech okrzyk, proszę, wzleci brzmiący:
Niech w cnej pamięci najcnotliwszy
Monarcha nasz Najmiłościwszy
Franciszek Józef pierwszy żyje!“ —
I wyprężone wszystkich szyje
Ten okrzyk z całych piersi wznoszą
I wiwat! wiwat! ciągle głoszą,
I wiwat! wiwat! gdzieś w oddali
W powietrznej brzmi ten okrzyk fali
I dalej toczy się wesoło,
Jak gdyby lasy naokoło
Monarchy umysł tak wspaniały
Uwielbić także głośno chciały.
I mnie się silniej pierś podniosła,
I mina wyżej mi urosła,
I ku mnie zapach wzleciał wonny,
Gdy chórem zabrzmiał hymn koronny:

Boże Ojcze, Twoje dzieci
Otaczają ołtarz Twój,
Gdy Twój ogień żar w nich wznieci,
Rozżarzone serca gój,
Niech Twa jasność ich oświeci
I mądrości wskaże zdrój,
By odkrywszy tajemnice
Spojrzeć mogli w Twoje lice.

Boży Synu, Zbawicielu,
Coś dla ludu przelał krew,
Twym przykładem zachęć wielu,
Poświęcenia czyny krzew,
Niech obficie i w weselu
Wzniosłych ofiar wschodzi siew,
By nikogo krzyża godło
W walce życia nie zawiodło.

Duchu Święty, naszem echem,
Przed obliczem Ojca bądź,
I ożywczym Twym oddechem
Świeże racz weń życie tchnąć,

By z niebiańskim wciąż uśmiechem
Ku nam zechciał wzrok swój gjąć,
I w swej pełni Majestatu
Pełnię łask udzielał światu.

Wszechmogąca Trójco Święta,
Z trzech spojona osób tych,
W powszechności niepojęta
Dla śmiertelnych zmysłów mdłych,
Pokrusz zdradne piekieł pęta,
Niechaj nie tkną Świętych Twych
Chcących w odświątecznej szacie
Przy Twym stanąć Majestacie.

Dziś do Ciebie wznosim dłonie
Harmonijny tworząc chór,
Dodać blasku racz koronie
Zespolonej na Twój wzór,
Niech królewska skroń zapłonie
Jakby słońce z pośród chmur!
Ty zaś słodka Matko Boża
Naszej strzeż Królowej łoża! —

Już północ.

Hm! Dawniej tego nie bywało!
Gdy kilku chłopców się zebrało
I poszli w jakieś lasu gąszcze
Czy na rośliny, czy na chrząszcze,
Wracali jeszcze w dzień do miasta!
A dziś minęła jedenasta
I północ prawie już za pasem,
A cała szkoła gdzieś za lasem! —
Cóż robią tam w tak późnej porze?
Czy przy muzyce tańczą może?
Czy może skoczne pląsów sztuki
Należą teraz w plan nauki? —
Kto wie! bo nowa ma być era!
I sztubak w górę nos zadziera,
Gdy wie, że skóra jego wolna!
Że jakaś tam ustawa szkolna
Zabrania rozum ztąd napędzać
I każe skórę ich oszczędzać!
Cóż do nauki go zniewala? —
I rekrut teraz kpi z kaprala,
Gdy dla ochrony swej powagi
Nie trzyma mu nad karkiem lagi
Pomocnej bardzo w każdym względzie!
I gdzież subordynacja będzie? —
Ha! Tylko chłopi się spanoszą,
Bo jeśli prawdę pisma głoszą,
To teraz chłop na równi z panem,
A gdy go nazwiesz słusznem mianem,
To o obrazę cię zaskarży!
I gdzież chamowi to do twarzy?
I nie śmie się go aresztować,
Ni kuć, ni bić, ni rewidować,
Ni dotknąć nawet namacalnie,

Jak chyba tylko kryminalnie!
I jakiż teraz posłuch będzi
We wojsku, w szkole, czy urzędzie?
Nie! Dawniej tego nie bywało!
Aż trzęsło się rekrucie ciało,
Gdym rzucił okiem w bystrym biegu
Po hajdamackim ich szeregu!
A teraz? — Będzie źle i kwita!
Bo cóż dziś chłopcom w głowie świta?
Ha! — Ot, aż komuś wstyd powiedzieć!
Nad książką im się niechce siedzieć,
I w głowie puste im wybryki!
Zawcześnie rwie się do muzyki,
Do tańców, zabaw i miłostek,
Do fajek, picia, kart i kostek!
Dziś życie tylko im hulaszcze,
Przyjemnie powonienie głaszcze,
Przyjemnie nudy szkolne skraca,
A twarda im nie pachnie praca!
W nauce nie chcą szukać smaku,
Po własnym widzę to chłopaku!
A gdy kazanie człek ułoży,
Zepsują sami profesorzy!
Ot, dziś na przykład, trzeba było,
By wszystko w las gdzieś wyruszyło
I do północy tam siedziało!
Nie! — Tego dawniej nie bywało! —
Gdym wieczór po nad samym zmrokiem
Po niebie bystro powiódł okiem
I ujrzał w górze dwa balony,
To byłem sam rozciekawiony,
Co też to może być za siła,
Co je tak mocno w górę wzbiła,
Że jak dwa ptaki nieruchome
W powietrze wpiły się znikome
I na niem płyną gdzieś po wierzchu;
A później nieco, już o zmierzchu,
Na szczycie tej najwyższej góry
Ujrzałem jasne iskier sznury,
Widziałem, jak się rakiet kulka
Co raz to wyżej po nich tulka,
Nim wzleci w górę jakby sokół
I pęknie, siejąc gwiazdki w okół,
Co dłużej świecą, nim zagasną,
Na jednem miejscu barwą jasną. —
A potem może w pół godziny
Na drodzem ujrzał obłok siny,

Lecz gdy się z góry spuścił, zniżył,
I bardziej ku mostowi zbliżył,
Ujrzałem same w nim dziewczątka!
Wróciły spiesznie niebożątka,
A chłopcy jeszcze tam zostali
I pewnie w tany się zabrali! —
Od trzech już godzin w tamtej stronie
Nie darmo jasna łuna płonie;
Od lamp i świec pochodzić musi! —
Hm! Jeszcze się to gdzie podusi,
Nabawi chrypki nieprzyjemnej,
Gdy zgrzane pójdzie w nocy ciemnej!
Czyż dnia do zabaw było mało?
Nie! — Dawniej tego nie bywało!
  Tak bjada stróż przemyskiej wieży
Czekając, rychło pół uderzy.
A wie on, co subordynacje,
Bo służył dwie kapitulacje,
Nim objął obowiązki stróża.
I znowu bystrzej wzrok zanurza
Pod koła niebieskiego wozu
Szukając dziatwy tam obozu,
Zkąd jasny w górę blask wychodził.
I naraz czoło wypogodził,
Gdy ogniem łuna błysła górą,
A dołem dymu zaszła chmurą,
Gdy dym ten gęsty, czerwoniawy,
Podobny do gorącej lawy
Co raz się w większe kłęby zwijał.
Co r z to wyżej w górę wzbijał,
Co raz czarniejsze toczył słoje,
Aż odkrył wreszcie źródło swoje:
Pochodnie taki dym sprawiały!
I widok odkrył się wspaniały,
Gdy z po pod kłębów tego dymu
Jak z pod osłony baldachimu
Zabłysły świateł dwa szeregi.
Niebawem skryły się za brzegi,
Lecz poznać można po obłoku,
Że na dół z góry schodzą stoku,
Aż na widaczu spadzistości
Zabłysły w takiej wspaniałości,
Że wieży oświeciły ganek.
Zrobiono mały tu przestanek,
A gdy się skupił orszak cały,
Gdy rzędy świateł się zrównały,
Zagrała ich kapela marsza.

Po krajach drogi młodzież starsza
Pochodnie gorejące dźwiga,
To górą po nad głowy miga,
By lepiej módz przyświecać niemi,
To znów przyciska je do ziemi,
By spopielałą warstwę skruszyć
I smolną ich czuprynę wzruszyć! —
W pośrodku mniejsze zaś chłopczyki
W dwa rzędach długie niosą tyki,
A na nich lampy kolorowe,
Zielone, białe i różowe,
Wycięte z papierowej masy
Po dziesięć z każdej niższej klasy.
A między nimi liczni goście,
Jak poznać można już po wzroście,
Studencką oświetleni łuną
Ku miastu za kapelą suną. —
Ten barwny orszak pań i panów
I dziatwy mija wnet Kazanów
I wchodzi w dół na równą drogę. —
Stróż mógłby alarm bić na trwogę,
Gdy nagle ze snu by zbudzony
Półsenny wzrok w te rzucił strony
I ujrzał czerwoniawą chmurę
Wznoszącą się powoli w górę,
Ku miastu prącą ze Zasania,
A nie znał przyczyn jej powstania. —
A gdy się chmura ta ceglasta
Stoczyła już w pobliże miasta,
Stanęła nagle nieruchomo
I teraz z przodu więcej stromo,
A z pod jej mglistych fałdów dolnych,
Przy świetle lamp, pochodni smolnych,
Na most nasz orszak się wysuwa
I silniej stróża wzrok przykuwa. —
Studentów rzędy i ich goście
Już nie przechodą w mgle po moście.
Lecz widną dla każdego oka
Jest ich szeregów sieć szeroka,
I głośno dla każdego ucha
W krzykliwe instrumenty dmucha,
Aż mury im wtorują echem.
I przeszedł orszak ten z pośpiechem,
I został tylko kurz na wety
Jak gdyby ogon u komety
Co raz wolniejszy, co raz rzadszy,
Stróż jednak ciągle jeszcze patrzy

Jak gdyby swego chciał urwisza...
Dlaczegoż naraz taka cisza?
Dlaczegoż teraz blask nie lada
Na jedne kamienice pada?
Czy mają prosto od Starostwa
Rozchodzić już się do domostwa?
Czy może czujna patrol grodu
Wzbroniła dalej im pochodu
I każe wszystkie światła gasić?
Czy może chce się im grymasić
I stawiać opór nocnej straży? —
Lecz światło się jednako jarzy,
W jednakim kamienice blasku...
I „wiwat!“ nagle w wielkim wrzasku
Powietrze po trzy kroć przerzyna.
I jakaż wrzasków tych przyczyna?
I cóż to się właściwie znaczy? —
Ha! Pan Bóg to tam wiedzieć raczy,
Bo juścić chyba nie Staroście
Wiwaty wznoszą tam przy moście. —
  Po zmianie blasku widać chyżej,
Że teraz znowu idą wyżej,
Lecz nie do domu na spoczynek,
Bo kiedy już minęli rynek,
Zajaśniał kościół Jezuitów
Od dołu aż do krzyża szczytów
I długo w tej jasności płonie,
Bo w celach po tym to zakonie
Jest pomieszkanie Dyrektora,
Więc do wiwatów młodzież skora
Z pewnością mu dobranoc życzy,
Gdyż głośno, długo „wiwat!“ krzyczy.
Dlaczegoż jednak znów się wraca?
Czyż jeszcze nie skończona praca?
Czy dziś w Przemyślu w żadnym domu
Nie wolno zmrużyć ócz nikomu?
Czy dziś za jakim bądź przybłędą
Przez całą noc się włóczyć będą
Do czego to się wszystko zdało?
Hm! Tego dawniej nie bywało!
I jakież tam ich wiodą czary,
Gdzie ledwie stoi cyrkuł stary?
Dlaczegoż w jego wchodzą bramę?
Już czas położyć temu tamę!
I czemuż tam tak długo bawią?
I na czem oni czas tam trawią?
Czy może stara kamienica

Studentom w nocy mózg oświeca
Szukając w gwiazdach światła wzorów?
A dużo mieści profesorów,
Wiwatom więc nie będzie końca
Aż gdzie przy samym wschodzie słońca!
Bo w gwiazdach żaden się nie zgubi,
Wiwaty jednak każdy lubi
I każdy z nich ma miłość własną. —
Ej nie! — bo światła naraz gasną
I wszystko cień przybiera zwykły,
Gdy gardła chłopców „wiwat!“ krzykły.
Ktoś trzęsie tym studenckim światem
I jego pewnie tym wiwatem
Uczczono głośno naostatek
Z wdzięcznością wykształconych dziatek.
On pewnie nimi tak kierował
I tę majówkę im zgotował.
O tak! bo okrzyk ten jedyny
Nie zabrzmiał tutaj bez przyczyny. —
I otóż wreszcie cyrkuł stary
Dopełnił tych okrzykow miary.
Rozeszli wszyscy się w spokoju,
By spocząć po dzisiejszym znoju,
Pokrzepić snem strudzone ciała,
I — wielka cisza już nastała. —
I było tu przed chwilą szumnie,
Gdy miasto przechodzili dumnie
Studenci strojni w leśne wianki,
Gdy przerywały pauz przestanki
Grzmocące, huczne ich okrzyki,
Gdy brzmiał donośnie dzwięk muzyki
I każde rozweselał ucho,
A teraz — głucho, głucho, głucho! —
Przed chwilą chciwie mnóstwo źrenic
Patrzyło z okien się kamienic
Bodajby tylko choć z ubocza
Na różnobarwne lamp przeźrocza,
Od których wielka jasność biła,
Łagodna taka, taka miła,
Że rozkosz czuło się przyjemną,
A teraz — ciemno, — ciemno, — ciemno!
Przed chwilą najbujniejsze życie
W rozkosznym wiło się zachwycie
Strojącym nerwy do podskoków
Wśród wrzenia młodych zdrowia soków,
I ruch panował bardzo żywy,
I głośno brzmiały serc porywy,

Rubasznie nawet, nawet tłusto,
A teraz — pusto, pusto, pusto! —
Niekiedy słychać stuk w oddali,
Gdy w okna kto, lub we drzwi wali,
Czasami skrzyp po kamienicach
Już w dalszych słychać gdzieś ulicach,
Gdzieniegdzie nawet i światełko
Przebija w dali się przez szkiełko,
Gdzieniegdzie słychać głos człowieka,
Gdzieniegdzie jakiś pies zaszczeka,
Lecz trwa to wszystko bardzo krótko.
I stróżów chłopak wszedł cichutko,
A stary nic już nań nie zrzędził,
Lecz spać czemprędzej go napędził.
I wszystko już na łóżkach leży,
— Niejeden nawet bez wieczerzy,
Bo któżby tam do niego wstawał
I jeść mu o północy dawał, —
I cisza teraz już bez przerwy
Znieczula im strudzone nerwy. —
Wschodząca tarcza półksiężyca
Niczyich oczu nie zachwyca,
A migot gwiazd z niebieskich wzgórzy
Tem mocniej im powieki mruży
I nocne wskrzesza im widziadła. —
Ha! Gdyś do spania się pokładła,
To spij niewinna szkolna młodzi!
Niech żadna mara ci nie szkodzi
I miłych marzeń ci nie płoszy,
Śnij, śnij przynajmniej o rozkoszy,
Gdy głód cię trapi, gdyś ubogim,
A gdy się we śnie znajdziesz błogim,
Niech anioł stróż nad tobą czuwa
I zdrową marzeń myśl wysnuwa.

Dobranoc ci młodzi niewinna,
Niech żaden nie budzi cię strach,
Niech twa wyobraźnia dziecinna
W skrzydlatych kołysze cię snach!
Wesoło jak rybka we wodzie
W falistych marzeniach się wznoś,
Gdy wolność już błysła w zarodzie,
Z zapałem nowinę tę głoś:
Że konstytucja ma już moc,
Więc dobra noc, więc dobra noc!

Niedawno mógł każdy się chlubić,
Kto urząd we władzy swej miał,

Że z ludzi każdego mógł zgubić,
Gdy sam to, lub nad nim kto chciał,
Od teraz już taką chimerę
Uważać należy za baśń,
Gdy nową więc mamy już erę,
Wzajemna nie zgubi nas waśń,
A więc spokojnie ludu śpij,
O raju śnij, o raju śnij!

Zapragła coś chuć świętokradzka.
Otworem stał każdy jej dom,
Wpadała rewizją znienacka,
Sumieniu urąga i łzom,
By znaleść choć coś w nieporządku,
Łokciowy prowadzi się spis,
I szpera po każdym zakątku
I wącha za łupem jak lis,
I szarpie za najtkliwszy nerw,
Tak było wpierw, tak było wpierw!

Lub przedtem zaczaja się chytrze,
Pajęczą rozpuszcza się nić
By poznać twe myśli najskrytsze
I pewnie w swych sidłach cię mieć,
Przejmuje i czyta twe listy,
Zabłębia się w myśli twej tok,
Na brzeg cię popycha spadzisty
I kusi do szału co krok:
Tak dusze w sidła chwyta czart,
A to nie żart, a to nie żart!

I w każdej rodziny pożycie
Rządowy ten wciska się klin,
I pcha ją otwarcie lub skrycie,
Dopóki jej nie ma wśród min!
Widocznie potęga i władza,
By schwycić i chytrych na lep,
Na takich się minach zasadza
I trzyma każdego za łeb!
Inaczej mógłby runąć sam
Tyrański kram, tyrański kram!

Takimi środkami to carat,
By mógł uszczęśliwić swoj lud,
Wszechwładny rozwija aparat,
I prze najdzielniejszych pod knut,
Dociera do głębi tajemnic

Niekiedy się łasząc jak pies,
I wrzuca setkami do ciemnic
I szydzi z ich jęków i łez,
A ludziom głosi chmurą sług,
Że tak chce Bóg, że tak chce Bóg!

Że ofiar niewinnych zaś jęki
Do tych nie dostaną się sfer,
Co zwykły skinieniem swej ręki
Urzędy nadawać i ster,
Już tok sam przeróżnych instancji
I dziwny wzajemny ich wpływ
Zupełnej udziela gwarancji,
Inaczej by władca był krzyw!
Otaczać bowiem musi tron
Wesoły ton, wesoły ton!

I kipi i rwie ci się wnętrze,
I gnie równowagi się oś,
Gdy depce twe prawa najświętsze,
Jak tylko możniejszym jest ktoś,
I chciałbyś przynajmniej przed światem,
Piekący wynurzyć swój jęk,
Lecz spotkasz ze świeżym się batem,
A włada cenzury nim sęk,
Co nie przepuści nic na jaw
Z tak mętnych spraw, z tak mętnych spraw!

I u nas z nierządu i brudów
Wysoki podnosił się mur,
Co tron nasz przegradzał od ludów
I gniótł formalizmem swych biór,
Lecz runął, a runął bez śladu
Dawniejszych spleśniałych już form,
Gdy ludność przesiąknął duch ładu
Wśród nowych prawideł i norm,
I ciepły konstytucji prąd
Sam przejął rząd, sam przejął rząd.

Daleko od tronu czy blisko,
Nikt teraz nie może się mścić,
Gdy święte domowe ognisko
Ustawa już każe mu czcić,
Bezkarnie nie wolno nikomu,
Choć miałby ochotę sam rząd,
Rewizji nasyłać do domu,
Gdy nie upoważni go sąd,

Bo teraz sądu jawnych lic
Nie ujdzie nic, nie ujdzie nic!

Więc choćby zapałał kto chęcią,
By kogoś cichaczem módz zgnieść,
Gdy listy pod cudzą pieczęcią
Przejmował i poznał ich treść,
Nie będzie miał nawet odwagi
Otwarcie pochwalić się z tem,
Bo sam by odsłonił fakt nagi,
Że środkiem posłużył się złym:
Wypleni się z zjadliwych kast
Intrygi chwast, intrygi chwast!

I wolność już prasy istnieje,
Nikt przeto nie będzie cię gniótł,
Bo gdyby w prywatne twe dzieje
W zbrodniczy ktoś sposób się wplótł,
Twe szczęście domowe chciał zburzyć
I zgnieść cię doszczętnie był rad,
To możesz twe żale wynurzyć,
Niech dowie o wszystkiem się świat!
A komu tylko miła cześć,
Nie będzie gnieść, nie będzie gnieść!

Jak długoć na sercu nie leży
Zgwałcenie, lub krzywda i jęk,
Spokojnie spać możesz młodzieży
Gdyż żaden nie zbudzi się lęk!
Gdy tylko masz czyste sumienie,
Osłoni twój anioł cię stróż,
Nie zwabią ułudy cię cienie,
Ni trwoga nie zmiesza wśród burz,
I możesz kpić z piekielnych jędz,
Dobranoc więc, dobranoc więc!



Znaczniejsze omyłki druku.

Na	str.	7	w wierszu	2	ma być	pokazuje	zamiast	pokozuje
„	„	9	„	26	„ „	brudy	„	brduy
„	„	9	„	45	„ „	znaczy	„	znaccy
„	„	10	„	35	„ „	niedobrego	„	niedobaego
„	„	12	„	4	„ „	słońca	„	słońce
„	„	12	„	23	„ „	zalotów	„	zalolów
„	„	14	„	20	„ „	huczną	„	huszną
„	„	14	„	20	„ „	niewidzianą	„	niewidomą
„	„	24	„	20	„ „	sidła	„	sidło
„	„	24	„	21	„ „	powidła	„	powidło
„	„	29	„	34	„ „	drogą	„	drugą
„	„	30	„	26	„ „	żarem	„	razem
„	„	30	„	37	„ „	Co	„	Bo
„	„	30	„	38	„ „	srodze	„	wodze
„	„	31	„	23	„ „	wiecznej	„	niecnej